

CANDACE SCHULER

TO MIAŁ BYĆ
TYLKO ROMANS

ROZDZIAŁ 1

Znów na ścianie pojawił się napis. Grube smugi farby przecinały czerwoną pręgą świeżo położony tynk i gładką powierzchnię boazerii. Upłynął prawie tydzień od poprzedniego ekscesu i Andie nabrała nadziei, że wandal wreszcie dał spokój. A jednak była w błędzie. Napis ze ściany krzychał: STRZEŻ SIĘ, DZIWKO!

Na widok tych słów, najwyraźniej adresowanych do niej, Andie poczuła lęk. Niespokojnie rozejrzała się wokół siebie, zastanawiając się, czy ktoś nie ukrywa się w jednym z pustych pomieszczeń i czy zaraz nie zajdzie jej od tyłu. Była zupełnie sama. Nawet najpracowitsi członkowie ekipy remontowo - budowlanej, którą kierowała, zjawia się nie wcześniej niż za dziesięć czy nawet piętnaście minut.

Odpędziła przykre myśli. Wiedziała, że na ogół ludzie, którzy wypisują na murach obrzydliwe i sprośne teksty, rzadko kiedy mają odwagę posunąć się dalej. Stosowali taktykę typową dla tchórzów. Chcieli tylko nastraszyć.

Andie, której nie brakowało rozsądku i siły woli, zdążyła się uodpornić na okazywaną jej przez kolegów po fachu niechęć, a nawet wrogość. Mężczyźni na budowach krzywo patrzyli na kobietę, która wykonywała typowo, ich zdaniem, męską robotę.

Wszystko zaczęło w dniu, w którym zjawiała się w siedzibie cechu, żeby zdać egzamin wstępny na kurs czeladniczy dla instalatorów budowlanych. W sali pełnej mężczyzn była jedną z pięciu kobiet. Andie nie miała praktyki, zdobyła jednak wiele punktów, rozwiązując testy, tak że w sumie egzamin przeszła śpiewająco. Nikt nie mógł zakwestionować jej wyniku. Choć chętnych było wielu, dostała się na kurs, pokonawszy w punktacji niejednego mężczyznę.

Nie było łatwo. Koledzy z kursu jej nie oszczędzali. Uznali, że przy niej nie muszą się kontrolować - przeklinali, opowiadali wulgarne dowcipy. Zdarzało się jej płakać do poduszki i chwilami nawet zastanawiała się, czy nie rzucić nauki.

Nie dała jednak za wygraną. Skończyła kurs dla instalatorów, który obejmował instalacje wodno - kanalizacyjne. Otrzymała mistrzowski dyplom hydraulika. Nauczyła się też stolarki oraz podstaw instalacji elektrycznych i w końcu zdobyła uprawnienia do prowadzenia robót budowlanych. Zamieściła ogłoszenie reklamowe w „Panoramie Firm” w dziale „Usługi” i zaczęła działać na własny rachunek.

Zmagania z przeciwnościami losu nie załamały Andie, przeciwnie, zahartowały ją. Przestała być wrażliwą i nieśmiałą dziewczyną, która czerwieniła się z byle powodu. Potrafiła już radzić sobie w grupie, w razie konieczności wykazywała zdecydowanie i stanowczość. Przekonała się także, iż najlepszą obroną przed niewybrednymi męskimi zaczepkami było po prostu ich ignorowanie.

Andie westchnęła z rezygnacją, spojrzała na duży, męski zegarek, który nosiła na rękę, zwilżyła szmatę terpentyną i zabrała się do ścierania czerwonej farby. Nie zdążyła zaschnąć, więc dość łatwo dawała się usuwać z drewnianych deseczek staroświeckiej, rzeźbionej boazerii pokrywającej dolną część ściany. Andie zdecydowała, że potem przetrze powierzchnię delikatnym papierem ściernym, do końca usuwając zabrudzenie, i drewno będzie gotowe do następnego etapu wykańczania. Ze ścianą ponad boazerią był większy kłopot. Farba wsiąkła głęboko w świeżo położony tynk. Andie uznała, że trzeba będzie go zerwać i od nowa przygotować podłoże.

Przed nadejściem robotników mogła zrobić tylko jedno. Rozmazać ślady farby tak, by obelżywy epitet stał się mniej czytelny. Nie było sensu rozdmuchiwać sprawy, a tym samym dawać satysfakcji nieznanemu sprawcy.

Usłyszawszy za plecami skrzypienie drzwi, drgnęła nerwowo.

- Ach, to ty. - Uspokoila się na widok siostry. - Śmiertelnie mnie przeraziłaś. Czemu się skradasz?

- W biały dzień weszłam frontowymi drzwiami i ty to nazywasz skradaniem? - zapytała Natalie. Położyła neseser na poziomej kładce wysokiego rusztowania, ustawionego przy sięgającej pierwszego piętra ścianie foyer. Otworzyła oba zamki i uniosła wieko. - Jeśli się idzie na wysokich obcasach, głośno stukających na murowanym chodniku, jest fizyczną niemożliwością... - Pod grubymi szklami eleganckich okularów Natalie zmrużyła powieki. - A więc mamy nowy napis - stwierdziła, spoglądając na zniszczoną ścianę. - Co wypisał tym razem?

- To co zwykle - odparła Andie bagatelizującym tonem.

Odeszła od ściany i wytarła ręce w poplamioną szmatę, udając, że nie przywiązuje większej wagi do całego wydarzenia. Takim zachowaniem tylko wzbudziła ciekawość siostry. A jeśli Natalie czymś się zainteresowała, nie ustąpiła, dopóki nie zgłębiła sprawy.

- Przyniosłaś cynamonowe bułeczki? - spytała Andie na widok białej torby z piekarni wystającej z nesesera. Miała nadzieję wciągnąć Natalie w rozmowę na temat znaczenia solidnych porannych posiłków. Młodsza siostra uwielbiała pouczać. Na każdy temat robiła wykłady. - Przed wyjściem z domu nie zdążyłam nic zjeść.

Natalie podała torbę siostrze.

- Masz tu niskokaloryczne rogaliki z otrębami. Obsłuż się sama - poleciła.

Przeszła obok niej i zbliżyła się do zdewastowanej ściany. Usiłowała odczytać napis. Andie otworzyła torbę i udawała, że interesuje ją wyłącznie jedzenie. Mówiła siostrze prawdę. Rzeczywiście była głodna, a ponadto z pełnymi ustami nie będzie w stanie odpowiadać na liczne pytania, którymi niewątpliwie zarzuci ją Natalie.

Młodsza siostra z uwagą przyglądała się napisowi, starając się odcyfrować poszczególne fragmenty.

- Slz... slr... - Nie mogła odczytać pierwszego wyrazu. Następne dwa były jeszcze trudniejsze. - Sle... Dwi... dzwi...

Nie miało to żadnego sensu. Spojrzała na siostrę, szukając u niej pomocy, lecz Andie tylko wzruszyła ramionami i na migi pokazała, że nie może mówić z pełnymi ustami. Przełknęła kęs. Postanowiła odciągnąć uwagę Natalie.

- Co u taty i dzieciaków? - spytała. Dwie młodsze latorośle Andie spędzały lato u dziadka nad jeziorem Moose w północnej Minnesocie. Najstarszy, osiemnastoletni syn, Kyle, był w Los Angeles u ojca i macochy numer dwa. Panowanie macochy numer jeden, sekretarki, z którą uciekł były mąż Andie, nie trwało długo. - Marzą już o powrocie do domu?

- Niestety nie. Emily zadurzyła się w chłopaku, który w porcie sprzedaje przynętę, i nagle zaczęła wykazywać ogromne zainteresowanie rybołówstwem. - Natalie rzuciła siostrze współczujące spojrzenie. - Nie przejmuj się. Chłopak ma zaledwie piętnaście lat i traktuje Emily jak powietrze.

- Dzięki Bogu - wyszeptała Andie. Jej córka niedawno skończyła dwanaście lat.

- Christopher poznaje tajniki surfingu. Wszyscy przekazują ci pozdrowienia. - Natalie poprawiła okulary na nosie i jeszcze bliżej podeszła do ściany.

- Stz... str... - mruzczała pod nosem.

- A tata? - spytała Andie. - Co u niego?

- Dzięki Bogu, to samo co zawsze. Twierdzi, że liczba przestępstw w Minneapolis znacznie wzrosła, odkąd przeszedł na policyjną emeryturę. - Uśmiechnęła się lekko. - Tata nie powiedział, że oba te fakty mają ze sobą ścisły związek, ale jest o tym przekonany. - Nagle z twarzy Natalie zniknął uśmiech. Zaciśnęła wargi. - Strzeż się, dziwko - odczytała wreszcie. Zaniepokojona popatrzyła na siostrę. - Mówiłaś, że to nic takiego - zwróciła się do niej z wymówką. - A tymczasem ktoś ci grozi.

- Przesadzasz.

- Przedtem nigdy ci nie groził.

- Teraz też tego nie robi. A dziwką nazywał mnie już przedtem.

- Kto to może być? - spytała zbulwersowana Natalie. Jak ktoś miał czelność nazywać jej siostrę dziwką! Jej zdaniem Andie była najłagodniejszą, najmiłszą i najlepszą istotą pod słońcem. Nawet w poplamionym farbą kombinezonie i wysokich roboczych butach wyglądała jak delikatna porcelanowa laleczka.

- Och, to może być każdy. Na początek weźmy moich kolegów, którzy przegrywają ze mną. Niektórzy są przekonani, że ten duży kontrakt na remont dostałam wyłącznie ze względu na swoje pojętą przedsiębiorczość, innymi słowy, przez łóżko. Uważają, że sypiam z członkami rady nadzorczej Pałacu Belmonta. Wszystkimi, jak leci. - Andie zrobiła oburzoną minę. - Wiem o tym, ponieważ nie kryją przede mną własnych opinii. Zresztą o tym już rozmawialiśmy.

- Tak, ale... - Zdegustowana Natalie potrząsnęła głową. Pracowała również w tak zwanym męskim zawodzie i aż za dobrze знаła te problemy. - Zachowują się tak, jakby twoje osiągnięcia nie mówiły same za siebie. Ten ostatni kontrakt dostałaś dlatego, że należysz do najlepszych przedsiębiorców

budowlanych w okolicy, a w dodatku nowoczesnych i solidnych. Zawsze mieścisz się w budżecie i terminowo wykonujesz każdą robotę. Nikt nigdy nie skarżył się ani na ciebie, ani na jakość twojej pracy. Czy dla tych neandertalczyków to nic nie znaczy? Czy oni tego nie widzą?

- Dla części z nich liczy się tylko jedno. Że jestem kobietą. A skoro jesteśmy już przy temacie neandertalczyków... - Na twarzy Andie pojawił się łobuzerski uśmiech. - Co u Lucasa?

- Och, ten Lucas. - Natalie roześmiała się lekko. Męski szowinizm jej męża nieustannie wywoływał pomiędzy nimi sprzeczki, na szczęście niegroźne. Ten były marynarz o imponującej posturze był całkowicie zwariowany na punkcie swej drobnej żony. Jego gorące uczucie nie osłabło ani odrobinę, mimo że od ślubu minęło prawie sześć lat. - W ten weekend, kiedy byliśmy nad jeziorem, on i tata stworzyli wspólny front i usiłowali przekonać mnie, że czas najwyższy, abym skróciła godziny pracy i mniej się w nią angażowała.

- Już? - Andie obrzuciła wzrokiem szczupłą sylwetkę siostry. - Przecież jeszcze nawet nic nie widać!

- Tylko dzięki świetnemu krojowi zakietu. - Natalie wygładziła nie istniejące fałdki jasnozielonego kostiumu. - Przytyłam, możesz mi wierzyć. W ostatnią sobotę musiałam nawet włożyć jedną z koszul Lucasa, bo już nie mogłam dopiąć szortów. Co, oczywiście, dało tacie do ręki dodatkowy argument. - Natalie ściszyła głos do teatralnego szeptu. - A teraz wyznam ci tajemnicę : żadna kobieta w widocznej ciąży nie ma prawa pracować jako prywatny detektyw. Zwłaszcza, gdy ma męża, który chce i jest w stanie utrzymać rodzinę. W przeciwieństwie do jej biednej siostry, która...

- Która nie ma nikogo, kto by się nią opiekował - dokończyła Andie tym samym tonem. Potrząsnęła głową. - Mówiłam mu tysiąc razy, że nie mam najmniejszego zamiaru

ponownie wychodzić za mąż. Ale czy on w ogóle słucha, co się do niego mówi? Oczywiście, że nie. W oczach taty jestem tylko kobietą i nikiem więcej. A kobiecie jest potrzebny mężczyzna, który o nią zadba. Nie wiem jak...

- Tata martwi się o ciebie. - Natalie przerwała potok żalów siostry. - Podobnie jak my wszyscy.

- Nie musicie. Sama świetnie potrafię o siebie zadbać - szybko zapewniła Andie.

- Świetnie potrafisz zadbać o wszystkich z wyjątkiem własnej osoby - poprawiła ją Natalie. - I robisz to, od kiedy ten twój wredny mąż zwiął do Kalifornii ze swoją sekretarką. Nie sądzisz, że nadszedł czas, abyś zainteresowała się jakimś mężczyzną? Dzieciaki czują się dobrze, są zadowolone i na większą część lata masz je z głowy. Trafił ci się doskonały kontrakt. Kiedy się z niego wywiążesz, twoja firma znacznie zyska na opinii. Wszystko idzie ci jak z płatka. Powinnaś wziąć sobie trochę wolnego i wreszcie mieć czas dla siebie.

- Po co? Co miałabym robić? - chciała wiedzieć Andie. Już niemal zapomniała, do czego służą urlopy.

- Iść do kina, poczytać książkę lub... - Natalie wzruszyła ramionami. - Och, jest mnóstwo rzeczy. Mogłabyś pooglądać galerie sztuki, odwiedzić muzeum, iść do pedikiurzystki. Albo zdecydować się na przygodę i znaleźć sobie kochanka. Swoją drogą, bardzo by ci się to przydało... - Wyciągnęła rękę i pogłaskała z czułością policzek siostry, serdecznym gestem odgarniając jej z czoła jedwabisty blond kosmyk.

- Czasami, słonko, trzeba się trochę zabawić.

- Nie mogę sobie na to pozwolić - oświadczyła Andie.

- Przynajmniej dopóki nie skończę roboty.

- Co to znaczy, że nie możesz sobie na to pozwolić?

- spytała zaniepokojona Natalie. - Chodzi o finanse? Byłam przekonana, że twoja firma jest w dobrej kondycji.

- Jest.

- Dlaczego więc od czasu do czasu nie stać cię na kilka wolnych dni?

- Bo moja zawodowa reputacja nie jest jedynym powodem, dla którego zdobyłam ten kontrakt. Musiałam złożyć znacznie korzystniejszą ofertę niż wszystkie inne firmy budowlane z okolicy. I teraz mam budżet napięty do ostateczności.

- Och, Andrea! Chyba nie powinie ci się noga? To byłoby okropne, zwłaszcza teraz, gdy wreszcie wyszłaś na prostą.

- Dam sobie radę pod jednym jedynym warunkiem: uda mi się skończyć w terminie remont Pałacu Belmonta i nie przekroczę limitu wydatków - wyjaśniła Andie. - Poradzę sobie, choćby nie wiem co - dodała z determinacją.

- I zapracujesz się na śmierć.

- Jeśli będę musiała.

- Och, Andrea! - powtórzyła Natalie.

Z mieszaniną litości, podziwu i dumy popatrzyła na siostrę, która wprawdzie wyglądała jak porcelanowa laleczka, ale miała niezwykle silną osobowość. Dwa tygodnie po maturze, mając osiemnaście lat, wyszła za męża za człowieka, który uważał, że miejsce żony jest w domu, przy nim, a w przyszłości także przy dzieciach. Mimo że w szkole wykazała się wybitnymi zdolnościami i ofiarowano jej aż dwa uniwersyteckie stypendia, przejęta rolą mężatki oraz wyobrażeniami o szczęśliwej rodzinie, porzuciła myśl o studiach i całkowicie podporządkowała się woli męża.

Przez jedenaście lat była wierną, lojalną i kochającą żoną. Pomagała mężowi w pracy badawczej i przepisywała jego artykuły, ułatwiając zrobienie doktoratu. Wydawała urocze małe przyjęcia, aby dopomóc mu w karierze. Dostosowywała się do jego życzeń. Chodziła do opery, którą lubił, mimo że wołała filmy muzyczne. Ubierała się ściśle według męzowskich upodobań, starała się myśleć jak on i nigdy przez

jedenaste lat ani o grosz nie przekroczyła sum, jakie wydzielał na prowadzenie domu. A kiedy trzecie dziecko leżało jeszcze w pieluchach, pan i władca uciekł z sekretarką.

W ciągu jednej nocy Andrea straciła prawie wszystko, co liczyło się w jej życiu - męża, dom, przyzwoity standard życia, pozycję społeczną i szacunek do samej siebie. Na szczęście pozostały jej dzieci. Nie mając żadnych kwalifikacji, a także pieniędzy, powzięła życiową decyzję. Postanowiła wyuczyć się jakiegoś zawodu.

Dziewięć lat później kobieta, która kiedyś swą użyteczność oceniała na podstawie jakości przyrządzanych potraw i bieli koszul męża, całe dni instalowała rury i mocowała armatury, które ważyły niemal tyle co ona sama. Dzięki ogromnemu wysiłkowi i żelaznej woli Andrea stworzyła sobie i dzieciom przyzwoitą egzystencję. Żeby to osiągnąć, pracowała bez wytchnienia.

Natalie usiłowała przekonać siostrę, że nie musi tak harować, gdyż rodzina będzie szczęśliwa, mogąc jej pomóc. Wiedziała jednak, że Andrea pozostanie głucha na te argumenty. Odkąd rzucił ją mąż, bez przerwy obstawała przy tym, że sama sobie poradzi.

- Czy remont Pałacu Belmonta jest naprawdę aż tak ważny, żebyś ryzykowała utratę wszystkiego, co z takim trudem zdobyłaś? - spytała Natalie.

- Wiesz, że tak - spokojnie odparła Andie. - To prestiżowa sprawa. Potem nie będę musiała więcej troszczyć się o reklamę. Posypią się nowe zlecenia i nie trzeba będzie wydeptywać bruków, aby zdobyć robotę. W każdym razie na to liczę - dorzuciła. Machinalnie odstukała w boazerię.

- A więc tym bardziej musisz coś z tym zrobić. - Natalie wskazała zniszczoną ścianę. - Zamazywanie wstrętnego napisu, żeby nie odczytała go twoja ekipa, nie wystarczy. Dotychczasowe szkody są wprawdzie kłopotliwe, ale dają się

usunąć, mimo że to wymaga czasu i dodatkowego wysiłku. Jeśli jednak teraz nie powstrzymasz wandalę, następnym razem gotów zrobić coś, co uniemożliwi ci dotrzymanie terminu lub narazi na dodatkowe koszty, a to dla twojej firmy byłoby prawdziwą klęską.

Andie też o tym myślała. Jak każdy rozsądny przedsiębiorca budowlany, koszty robocizny oszacowała z zapasem, ale dodatkowe dni pracy kosztowałyby ją więcej, niż mogła sobie pozwolić. Zdawała sobie z tego sprawę, ale nie widziała żadnego wyjścia.

- Co, twoim zdaniem, powinnam zrobić? - spytała siostrę.

- Od razu zawiadomić policję - bez namysłu odparła Natalie. - Pozwól im złapać wandalę.

- Och, tata natychmiast by się o tym dowiedział! - Na samą tę myśl Andie zmartwiała. - W ciągu pięciu minut zjawiliby się tutaj wraz z kolegami. Na wszelkie sposoby usiłowałiby mnie chronić, traktując jak małą, niezaradną dziewczynkę. Nie, piękne dzięki. - Andie uniosła hardo podbródek. - Poradzę sobie bez jego pomocy. Bez niczyjej pomocy.

- Andrea, to jest wandalizm. Ktoś włamuje się na prywatny, zamknięty teren. Chyba nie pozostawiasz placu budowy bez żadnej ochrony?

- Jasne, że nie.

- A więc człowiek, który się tu dostał, popełnił więcej niż jedno przestępstwo. Kto wie, na co jeszcze go stać.

- Człowiek, który się tu dostał, jest rozżalony, bo przegrał z kobietą, i chce, żebym o tym wiedziała. Pragnie mnie wystraszyć, zagnać do garnków, bo tam jego zdaniem jest miejsce kobiety, a nie na budowie. Jeśli wezwę policję i rozdmucham sprawę, ten człowiek wygra. Zależy mu na tym, abym zrobiła wiele szumu wokół całej sprawy. Utwierdzi się w swojej opinii, że kobiety nie nadają się do tej roboty. Jeśli

go zignoruję, odbiorę mu całą frajdę. Zabierze puszkę z farbą i wróci do domu.

- A jeśli tego nie zrobi? - Natalie przyciskała siostrę do muru. - Jeśli zdecyduje się wyjść z ukrycia i zaatakować? Wtedy co? Uważasz, że też dasz sobie radę?

- Nie będę musiała. Faceci, którzy malują na murach wredne napisy, czerpią satysfakcję z cudzego przerażenia. A jeśli ofiary go nie okażą, gra przestaje ich bawić. Dalej się nie posuwają.

- Nie zawsze tak jest - zaproponowała Natalie. Andie potrząsnęła głową.

- Nie doszukuj się żadnego podobieństwa do prowadzonej przez ciebie sprawy. Człowiek, który mnie prześladowa i który zniszczył ścianę, nie jest kryminalistą.

- Jest - zaprotestowała młodsza siostra. - Oczywiście, że jest.

- Nie we własnych oczach. Posłuchaj, Natalie, ja wiem, kto to jest. Znam psychikę tego człowieka. - Andie położyła rękę na ramieniu siostry. - Wiem, jak rozumuje, gdyż z takimi jak on dziesiątki razy pracowałam na budowach.

- Mówisz, że wiesz, kto to jest? I do tej pory nie zgłosiłaś tego policji? Andrea, to zupełny idiotyzm!

- Nie, źle mnie zrozumiałaś. Nie mam pojęcia, kim jest, ale należy do pewnego typu mężczyzn, z którymi pracowałam. Jest jednym z tych, którzy robili mi głupie żarty i złośliwie utrudniali pracę. Albo majstrem, który wynajdywał dla mnie najgorsze roboty. Takie, jakie wykonywali tylko niewykwalifikowani robotnicy. I czekał. Liczył na to, że będę się użalała, i oświadczę, że nie dam rady. Ale nie doczekał się. Nie płakałam. Nie reagowałam na tego rodzaju przykrości. Zaciskałam zęby i starałam się pracować, jak tylko potrafiłam najlepiej. Ta metoda okazała się skuteczna. Majster szybko dał mi spokój, podobnie jak inni dowcipnisie.

Natalie podniosła wzrok i popatrzyła na siostrę ze współczuciem.

- Nie miałam pojęcia, że było aż tak źle. - Ujęła dłonie Andie. - Dlaczego nic nie mówiłaś?

- Bo byłoby ci przykro i uzalałabyś się nade mną. Powiedziałałabyś od razu Lucasowi, a on wystąpiłby z pięściami w mojej obronie. A tata? Tata szalałby. Złościłby się, krzyczał i usiłował namówić mnie, żebym wraz dziećmi przeszła na jego utrzymanie. A ja byłam wtedy tak bardzo zgnębiona i przerażona stosunkami na budowie, że mogłabym się poddać. - Andie ścisnęła rękę siostry. - Musiałam przejść szkołę życia. Nauczyć się dbać o siebie.

- Ale jakim kosztem!

- Nie mogło być aż tak źle, skoro dałam sobie radę, nie zrezygnowałam i pracuję w tym zawodzie. Zarabiam więcej, niż gdybym tkwiła w jakimś biurze. Korzystam ze związkowych przywilejów. Nie mam szefa. Sama sobie jestem sterem, żeglarzem i okrętem. No i fizycznie czuję się znacznie lepiej niż kiedykolwiek przedtem, - Andie uniosła ramiona i dumnie naprężyła mięśnie. - A poza tym nie każdy facet pracujący na budowie musi być łobuzem. Większość to spokojni, zwykli ludzie, których, podobnie jak mnie, interesuje tylko robota. Niektórzy są nawet życzliwi. Tylko ten - wskazała ręką na ścianę - jeszcze nie wie, że podział na zawody męskie i żeńskie już nie istnieje. On myśli... Donośny, ostry gwizd przeciął powietrze.

- Och, moja droga, tylko popatrz na ten seksowny kuperek! - Przez uchylone drzwi dobiegł sprzed domu wesoły damski głos. Towarzyszył mu perlisty śmiech.

- Synku, zostaw ją i chodź szybko do mamuski! - wykrzyknęła jakaś inna kobieta. - Przekonasz się, że będzie ci bardzo dobrze!

W przestronnym foyer Pałacu Belmonta zapadła cisza. Siostry ze zdziwieniem popatrzyły na siebie.

- Czyżbyś umówiła się tu z Lucasem? - z uśmiechem na twarzy spytała siostrę Andie.

ROZDZIAŁ 2

Kobieta, która pozwoliła sobie na niedwuznaczną propozycję pod adresem Jima Nicolosiego, była średniego wzrostu, dobrze zbudowana, i miała krótkie ciemne włosy, gdzieś tam poprzetykane siwizną. Wokół talii umocowała pas na narzędzia. Jim spojrzał na nią z lekkim uśmiechem. Nie wyglądał na speszonego.

- Dziękuję za komplement, droga pani - powiedział uniżonym tonem, kiedy znalazł się pod ostrzałem spojrzeń kobiet stojących na chodniku przed Pałacem Belmonta. Jak zwykle przed rozpoczęciem pracy popijały kawę i prowadziły lekką rozmowę. - Miło wiedzieć, że człowiek jest dobrze oceniany.

- Och, mogłabym ocenić cię jeszcze lepiej, seksowny zadeczk - odezwała się druga. Miała ze dwadzieścia trzy lata, gęszcz skręconych jasnych włosów opadających aż na ramiona i dobrą figurę. - Daj mi pół godzinki, a tak cię docenię, że...

- Wstydz się, Tiffany. Jak możesz tak się zachowywać! - surowo upomniała ją trzecia. Była najwyższa. Miała śniadą cerę, indiańskie rysy twarzy, ciemne włosy i zielone oczy.

- Jak możesz coś takiego mówić do obcego człowieka? - Kiedy napotkała wzrok Jima, który spojrzał na nią z uśmiechem, spuściła oczy.

- Jak wiesz, zawsze zachowuję się nieprzyzwoicie - oznajmiła roześmiana Tiffany. Rzuciła Jimowi uwodzicielskie spojrzenie. - A ty to lubisz, synku. Mam rację? Gdybyś zechciał, moglibyśmy skoczyć sobie za starą stodołę.

- Hmm... to ciekawa propozycja. - Jim zmierzył wzrokiem Tiffany. Z aprobatą spoglądał na jej wysportowaną sylwetkę. - Gdyby nie dawna wojenna kontuzja... - Zawiesił głos, z którego przebijał żal.

- Mogłabym nad tym popracować, seksowny kuperku - ofiarowała się Tiffany.

- Daj wreszcie spokój temu człowiekowi - odezwała się starsza kobieta. - Na dobre wystraszysz biedaka.

- Wcale nie wygląda na przerażonego. - Tiffany spojrzała Jimowi w oczy. Zalotnie zatrzepotała rzęsami. - Boisz się mnie, przystojniaku?

- Trzęsę się jak osika - odparł Jim.

- Mogę zacząć potrząsać czymś innym, jeśli ty...

- Tiffany, daj mu wreszcie spokój - tym razem ostrzej upomniała koleżankę starsza kobieta. - Zobaczysz, pewnego dnia ktoś wytoczy ci proces o molestowanie. - Zwróciła się do Jima. - Co mogę dla pana zrobić?

Pytała znaczącym tonem, z wyraźnym seksualnym podtekstem. Jima zamurowało.

- Słucham? - Zamilkł. Skrępowany, nie wiedział, co powiedzieć. Przecież ta kobieta mogłaby być jego matką. Jak mogła składać mu niedwuznaczną propozycję? Nie miał pojęcia, jak się zachować.

Tiffany prychnęła z dezaprobatą.

- I kto to mówi o straszaniu biedaka? - karcącym tonem zwróciła się do starszej kobiety. - Teraz seksowny zadek myśli, że ty na niego lecisz.

- Ustaliliśmy, że nie przyszedłeś tu podrywać - podjęła starsza kobieta. - Czego więc chcesz? Zjawileś się na inspekcję? Jesteś dostawcą? A może szukasz roboty? O co ci chodzi?

- Uff... - Jim odetchnął. Miał nadzieję, że się nie zaczerwienił. - Przyszedłem w sprawie pracy. Powiedziano, że mam rozmawiać z Andrea Wagner. Może to pani? - zapytał, chociaż dobrze wiedział, jak wygląda Andrea Wagner - pokazywano mu jej zdjęcie. Ale delikwent, który stara się o

pracę, a on udawał właśnie kogoś takiego, ma wiedzieć tylko tyle, ile mu się powie.

- Niestety, nie - odparła kobieta. - Jestem Dot Lancing. Pracuję tu jako stolarz. A to Mary Free - wskazała wysoką kobietę o indiańskich rysach twarzy. - Jest naszym elektrykiem. Jej uczennica to pożeraczka mężczyzn, Tiffany Wilkes. A ten ponury facet siedzący na schodach i udający, że nas nie zna... - wycelowała palec w stronę budynku - to Pete Lindstrom. Też stolarz. Przywitaj się, Pete.

Mężczyzna, którego Jim zauważył dopiero teraz, mruknął coś pod nosem i ponownie zajął się swą kawą i gazetą. Jim skinął mu głową, a potem zwrócił się do Dot:

- A Andrea Wagner?

- Andie jest w środku. - Wskazała szerokie, frontowe drzwi prowadzące do wnętrza pałacu. - Zaraz na prawo.

- Dziękuję.

Zasalutował i ruszył po schodach na górę. Idąc trzymał się jednej strony, tak by znów nie zakłócić spokoju Pete'owi Lindstromowi.

- Hej, przystojniaku! - zawołała Dot. - Tylko nie próbuj jej czarować ani tym bardziej podrywać. Jeśli to zrobisz, z miejsca wylecisz i potłuczysz sobie ten swój zgrabny, seksowny kuperek.

Stojąc już pod portykiem, Jim pokiwał głową i znów odwrócił się w stronę uchylonych drzwi. Uprzedzono go, że Andrea Wagner to twarda sztuka. Pomyślał wtedy, że szkoda, aby taka ładna kobietka zachowywała się jak dragon w spódnicy.

Teraz, kiedy przestąpił próg Pałacu Belmonta i zobaczył ją stojącą pośrodku ogromnego foyer, sięgającego pierwszego piętra, przyszło mu na myśl dokładnie to samo. Żałował jeszcze bardziej niż poprzednio.

W pierwszej chwili sądził, że patrzy na bliźniaczki. Stały na wprost siebie z lekko opuszczonymi ramionami, z identycznymi jasnymi włosami koloru dojrzałej pszenicy. Miały taką samą delikatną budowę ciała. Szybko jednak rzuciły mu się w oczy różnice.

Jak przystało na kobietę interesu, jedna z nich nosiła spokojne, eleganckie uczesanie. Była ubrana w dobrze skrojony kostium z krótką spódniczką, spod której wystawały wspaniałe, długie nogi. W uszach miała duże złote obręcze, złotą broszkę w kształcie półksiężyca przypiętą do klapy żakietu, a na ładnie zarysowanych wargach czerwoną szminkę. Wydawała się Jimowi wyższa dzięki pantoflom na gigantycznych obcasach. Stojąc na ziemi gołą stopą, byłaby pewnie zupełnie niska.

Druga kobieta była wyższa. Nosiła krótką, chłopięcą fryzurę. Miała na sobie bawełnianą koszulkę bez rękawów, jakie noszą mężczyźni na budowach, i spodnie poplamione farbą. Wokół talii przepasała pas z narzędziami. Na nogach miała buty wysokie aż po kolana. Jej twarz była całkowicie pozbawiona makijażu. A mimo to wyglądała bardzo atrakcyjnie. Króciutkie włosy odsłaniały małe, kształtne uszy i uwydatniały delikatny zarys dolnej części twarzy i szczupłość szyi. Brak szminki na wargach sprawiał, że przyciągały wzrok swym ślicznym wykrojem i różową barwą. Nawet męski strój nie był w stanie przyćmić jej niezwyklej kobiecości.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam - odezwał się Jim, stając w drzwiach.

Gdy obie zwróciły ku niemu twarze, odkrył między nimi dalsze różnice.

Drobniejsza i niższa miała ogromne, brązowe oczy, barwy czekolady, skrzące się ciekawością i inteligencją. Oczy drugiej były koloru nieba nad Minnesotą w pogodny, zimowy dzień.

Jasnoniebieskie. Tak czyste jak lód w górach. I nieprzeniknione.

Kobiety przyglądały mu się ciekawie. W ich oczach dostrzegł nie skrywaną wesołość. Wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- To nie Lucas - odezwała się ta w jasnozielonym kostiumie.

Obie wybuchnęły perlistym śmiechem.

Jim poczuł się niewyraźnie. Miał ochotę sprawdzić, czy nie rozpiął mu się rozporek. Zastanawiał się, czy ten dzień będzie dla niego do końca feralny. Te kobiety się z niego nabijały. Peszyły go i onieśmiały, a bardzo tego nie lubił.

W innych okolicznościach poradziłyby sobie, ale teraz musiał milczeć. Miał do wykonania określone zadanie.

- Czy jedna z pań to Andrea Wagner? - zapytał, siląc się na spokój. Przenosił wzrok z jednej na drugą, tak jakby nie wiedział, kto jest kim.

- Ja jestem Andrea Wagner - nie ruszając się z miejsca, oznajmiła kobieta w roboczym stroju. - A to moja siostra, Natalie Bishop - Sinclair. - Spojrzały na siebie i znów się roześmiały. - Siostra właśnie wychodzi. Prawda, Nat?

- Tak. Wychodzę. Oczywiście. - Natalie sięgnęła po neseser. - Obiecuj, że przemyślisz to, o czym mówiłam - powiedziała do siostry miękkim głosem, całując ją w policzek.

Andrea odwzajemniła się uściskiem.

- Przyrzekam, że pomyślę - mruknęła. Ton wskazywał jednoznacznie, że zrobi tylko tyle i nic więcej.

- Ależ ty jesteś uparta. - Natalie lubiła mieć ostatnie słowo. Odwróciła się w stronę wyjścia, spojrzała na Jima stojącego przy drzwiach, a potem znów zerknęła z uśmiechem na siostrę. - Jeśli nie weźmiesz sobie do serca mojej pierwszej rady, to przynajmniej skorzystaj z drugiej. W tej drobnej sprawie, o której rozmawialiśmy.

- W jakiej drobnej sprawie? Natalie znów popatrzyła na Jima.

- Pamiętaj, jak bardzo ci się to należy - dodała z uśmiechem.

Andie zrozumiała, co siostra ma na myśli.

- Cześć, kochana. - Lekko popchnęła ją w stronę wyjścia.

Rozbawiona Natalie, jeszcze raz rzuciwszy znaczące spojrzenie w stronę mężczyzny, który grzecznie się odsunął, aby zrobić jej przejście, opuściła pałacowe pomieszczenie.

Andie odwróciła się do nieznanego.

- Przepraszam za nasze zachowanie - powiedziała, mając nadzieję, że nie poczerwieniała. Czasami miała ochotę gołymi rękoma udusić siostrę. - Nie śmiałyśmy się z pana. - Zamachała ręką. - To tylko...

- Nic się nie stało - szybko uspokoił ją Jim. - Mam trzy siostry. Wiem, jak potraficie się zachowywać wy, dziewczyny. - Ugryzł się w język. Chyba należało powiedzieć „kobiety” -

Z tymi wojującymi feministkami nigdy nic nie wiadomo. Większość z nich wpada w furję, gdy ktoś ośmieli się urazić ich uczucia. A z tego, co mówiono mu o Andrei Wagner, wynikało, że źle znosi męskie docinki i żarciki. Ta dama już poczerwieniała na twarzy, mimo że ledwie otworzył usta. Na szczęście, chyba nie obraziła się za „dziewczyne” lub przynajmniej nie zamierzała demonstrować swojej dezaprobaty.

Wyciągnął do niej rękę.

- Jestem Jim Nicolosi - przedstawił się.

Na twarzy Andrei Wagner dostrzegł lekkie wahanie, zanim podała mu dłoń. Była drobna, delikatna, ze zgrubieniami od ciężkiej pracy. Uścisk był mocny, lecz krótki.

- Czym mogę panu służyć? - spytała oficjalnym tonem. Nie było w nim ani odrobiny poprzedniej wesołości. Stała

przed nim kobieta interesu. W porę przypomniał sobie ostrzeżenia Dot Lancing, żeby nawet nie próbował czarować szefowej, powiedział równie rzeczowym tonem:

- Przychodzę z polecenia Dave'a Carlisle'a. Mówił, że szuka pani stolarza znajdującego się na pracach wykończeniowych.

- Przysłał pana Dave? - powtórzyła Andrea. Zamyśliła się na chwilę. - To dziwne.

Dave Carlisle był przyzwoitym facetem. Nie dyskryminował kobiet ani mniejszości narodowych. Wykonywał swoją robotę i nie obchodziło go nic więcej. W ciągu ostatnich paru lat skierował do Andie parę osób, wiedząc, że praktykując u niej, zdobędą doświadczenie i będą traktowane przyzwoicie. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Z reguły zatrudniała ludzi polecanych przez Dave'a, wiedząc, że nie przysłałby jej nikogo bez podstawowych kwalifikacji.

Mężczyzna, który stał teraz przed nią, wcale nie wyglądał na początkującego a Andie mogła mu zaoferować tylko pracę dla ucznia, a co za tym idzie niską płacę. Uznała, że może znalazł się w sytuacji przymusowej. Oceniała, że musiał mieć trzydzieści kilka lat. I pewnie dlatego, że nie był młody, Dave skierował go do niej, licząc, że uwzględni trudny start i dotychczasowe niepowodzenia.

Nie miała zamiaru wysłuchiwać żalów tego człowieka na jego ciężkie życie. Był jej pilnie potrzebny uczeń specjalizujący się w wykończeniowej obróbce drewna, gdyż tydzień temu poprzedni rzucił pracę. Czy zatrudniając tego człowieka, mogła narażać harmonijną współpracę całej ekipy?

Jim Nicolosi stanowił bowiem zagrożenie - był piekielnie przystojny. Sam jego wygląd zachęcał do grzechu. Wysoki, dobrze zbudowany, o szerokich ramionach, umięśnionym torsie, wąskich biodrach i długich nogach, prezentował się

imponująco. Miał czarne włosy dłuższe niż jej własne. Skręcały się nad uszami, a na karku sięgały kołnierzyka.

W jego brązowych oczach pojawiały się co chwila łobuzerskie, wyzywające błyski, z których wynikało, że świetnie zdaje sobie sprawę z własnej atrakcyjności i wrażenia, jakie niezmiennie wywiera na kobietach. Oczywiście, musiałby być idiotą, gdyby o tym nie wiedział, ale Andrei nie o to chodziło. Nie miała żadnych wątpliwości, że jego obecność w zespole wywoła komplikacje.

Uprzytomniła sobie nagle, że zaczyna rozumować jak szowinistka. Wygląd Jima Nicolosiego nie miał nic wspólnego z jego profesjonalną przydatnością. Były to sprawy całkowicie odrębne. A reakcja innych ludzi, w tym przypadku kobiet, była wyłącznie ich sprawą, a nie tego człowieka. Jeśli jednak go zatrudni, sama będzie musiała się pilnować, żeby nie poddać się jego nieodpartemu męskiemu urokowi.

Przyszły jej na myśl słowa Natalie: „Pamiętaj, jak bardzo ci się to należy”.

W głębi serca Andrea musiała przyznać, że Natalie miała rację. Kiedy ostatni raz...? Od tamtej pory upłynęły całe lata. A stojący przed nią mężczyzna samym wyglądem byłby w stanie nawet zakonnice, przynajmniej w myślach, sprowadzić z drogi cnoty.

- Czy pan wie, że mogę zaoferować panu tylko pracę dla ucznia? - spytała, mając nadzieję, że problem sam się rozwiąże.

- Tak, wiem. Dave mnie uprzedzał. Nie mam papierów, ponieważ jeszcze nie zrobiłem formalnych uprawnień, muszę więc pogodzić się z niską zapłatą. Wypadek pokrzyżował mi wszystkie życiowe plany.

Było to bliskie prawdy. A właściwie prawda, uzmysłowił sobie Jim. Miał wypadek i nie uzyskał zawodowych uprawnień. Powody nie były ważne, skoro wystarczały nagie

fakty. Powiedziano mu, że Andrea Wagner ma miękkie serce i lituje się nad ludźmi, którym się nie powiodło.

Spojrzał na nią i od razu mógł się przekonać, że tak istotnie jest. Na twarzy Andrei dostrzegł wyraz współczucia i sympatii. Był pewny, że da mu pracę. Czuł to.

- A ten pański wypadek... - zaczęła. Mobilizowała się do zadania koniecznych pytań. Mężczyzna nie wyglądał na ułomnego, ale nigdy nic nie wiadomo, a ona nie mogła sobie pozwolić na zatrudnianie człowieka, który nie będzie w stanie wykonać powierzonej mu roboty. Bez względu na to, kto go polecał. - Czy pozostały jakieś trwałe ślady, które mogą utrudniać panu pracę?

- Jestem w stanie ją wykonywać - odparł cierpkim tonem.

Zabolało go całkowicie beznamienne pytanie tej kobiety. A więc pomylił się. Był przekonany, że od razu zaoferuje mu pracę. A ona co? Otworzyła te swoje śliczne różowe usteczka i na zimno zaczęła wypytywać o jego zdolność do pracy; W porządku, był na tym punkcie trochę przeczulony, nawet bardzo, a Andrea Wagner zupełnie nieświadomie dotknęła go tam, gdzie bolało najbardziej. Zakwestionowała kompetencje.

Już chciał powiedzieć, żeby się wypchała, gdy w jej oczach dojrzał przebłysk życzliwości. Szybko zmienił taktykę. Gdyby Andrea Wagner go nie zatrudniła, nie mógłby wykonać zadania. Denerwowanie jej nie byłoby rozsądnym posunięciem.

- Mam pewien problem z pracą na dużych wysokościach

- przyznał niechętnie. Popatrzył na potężne rusztowanie przy przeciwległej ścianie. Kobiety uwielbiały odkrywać męskie słabości. Przynajmniej tak zawsze twierdziły jego siostry.

- Źle się czuję na dachach. Z jednego spadłem. Przy okazji dorobiłem się lęku wysokości. - Tak właśnie było, znów nie musiał mijać się z prawdą. - Ale poza tym mogę

pracować wszędzie i robić wszystko - szybko zapewnił. - Znam się na stolarce budowlanej i meblowej, a także na układaniu parkietów. Potrafię kłaść kafle. Jestem też dobry, jeśli chodzi o drobne elementy dekoracyjne - dodał, wskazując gestem wewnętrzne schody, w których balustradzie brakowało rzeźbionych, drewnianych tralek.

Andie skinęła głową. Umiejętności mężczyzny zrobiły na niej wrażenie. Większość z nich mogła z powodzeniem wykorzystać. Zwłaszcza że będzie mu za to, jako uczniowi, płaciła grosze. Nadal jednak miała obiekcje. Ten mężczyzna sprawi kłopoty. Takie czy inne. Z góry to wiedziała.

- Moja ekipa składa się głównie z kobiet - oznajmiła, nadal w myślach szukając argumentów przemawiających za oddaleniem tego człowieka. - Specjalista od instalacji przeciwpożarowej w zeszłym tygodniu skończył robotę. W tej chwili pracuje dla mnie niewielu mężczyzn. Majster murarski Dan Johnston i jego ludzie zjawiają się sporadycznie, tak że nie może pan tu liczyć na męskie towarzystwo. W pełnym wymiarze zatrudniam teraz tylko trzech mężczyzn. Stolarza Pete'a Lindstroma i dwóch uczniów. To Booker Pitt i Matthew Barnes, jeszcze młodzi chłopcy. Pracują na budowie podczas letnich wakacji. Od razu wyjaśniam, żeby nie było żadnych nieporozumień, że uczniowie wykonują tutaj większość brudnej roboty.

- Jasne - przytaknął Jim.

- A fakt, że jestem kobietą, nie oznacza, iż pobłażam bardziej niż mężczyzna. Od moich pracowników wymagam punktualnego przychodzenia do pracy i solidnego jej wykonywania - dodała na wszelki wypadek. - Nie toleruję nieróbstwa.

- Jasne - ponownie zgodził się Jim.

- Kiedy majster mówi: skacz, to uczeń skacze. A większość moich majstrów to kobiety. - Andrea zmrużyła

oczy i popatrzyła badawczo na stojącego przed nią mężczyznę. - Jeśli nie potrafi pan słuchać poleceń wydawanych przez kobiety, to nie ma tu dla pana miejsca.

- Już mówiłem, mam trzy siostry. Wszystkie starsze ode mnie. Jestem przyzwyczajony do otoczenia kobiet i robienia tego, czego sobie życzą.

Słowom Jima towarzyszył uśmiech. Szeroki i rozbajający, bez cienia seksualnego podtekstu. Uśmiech, który zdawał się mówić: jestem tylko dużym, nieszkodliwym i przyjacielskim chłopcem. Nie należy się mnie obawiać.

W tej chwili był w nieszczęśliwie przyjacielskim nastroju, kiedy tak Andrea Wagner stała tuż przed nim, badawczo wpatrując się w niego ogromnymi, niebieskimi oczyma, z zaciśniętymi wargami i pionową zmarszczką przecinającą czoło. Miała najjaśniejszą skórę, jaką kiedykolwiek widział. Delikatną i przezroczystą jak u jego dwuletniej siostrzenicy, a jej krótkie włosy wyglądały jak z jedwabiu. Stała na tyle blisko, że tuż pod dolną wargą dostrzegł nieznaczną bliznę, a także małe perełki w uszach. Poczł również zapach perfum.

Nie spodziewał się, że taka osoba - zagorzała feministka pracująca na budowie może nosić perłowe kolczyki. I używać perfum. Fakty pozostawały jednak faktami.

Zapach otaczający Andreę Wagner był delikatny, podobnie jak ona sama. Ni stąd, ni zowąd skojarzył się Jimowi ze wspomnieniem pierwszego intymnego zbliżenia w jego życiu. Te perfumy noszą nazwę Charlie, przypomniał sobie. Swego czasu używała ich Patty Newcomb, dziewczyna, która po długich namowach oddała mu się na tylnym siedzeniu chevroleta jego ojca w samochodowym kinie pod gwiazdami pewnej letniej, sobotniej nocy. Od tamtej pory ten znajomy zapach zawsze wprawiał go w podniecenie.

Teraz nie powinien. Seks kolidowałby z zadaniem.

- Tak długo jak nikt nie zażąda, abym zaparzył kawę, wszystko będzie dobrze - zapewnił przyszłą szefową, usiłując wprowadzić nieco lżejszy ton i trochę się rozluźnić.

Do Andrei Wagner chyba nie dotarł jego żart.

- A więc dobrze - powiedziała z krótkim westchnieniem. - Przyjmuję pana na dwutygodniowy okres próbny, tak jak każdego pracownika. Jeśli po upływie tego czasu jeszcze pan tu będzie, dostanie pan tę robotę.

Późnym wieczorem Jim wykręcił numer, który mu podano, i przez telefon złożył pierwszy raport.

- Udało się - powiedział do mężczyzny po drugiej stronie linii. - Jutro zaczynam.

Słuchał przez dłuższą chwilę, a potem zapewnił swego rozmówcę:

- Nie, ona nie podejrzewa niczego.

ROZDZIAŁ 3

Dot Lancing wsunęła głowę do niewielkiego pomieszczenia, w którym urządzano właśnie nową łazienkę dla pałacowego biura.

- Wybywam - oznajmiła, zwracając się do pary nóg w spodniach wystających spod umywalki. Postukała palcem w marmurowy blat.

Andie aż podskoczyła. Z trudem opanowała się, żeby nie krzyknąć ze strachu.

- Co takiego?

- Czas do domu, dziecino.

- Już? - Andie oderwała dłonie od opornego złącza, które nie dawało się rozkręcić, i spojrzała na zegarek. Uważała, żeby nie uderzyć się w głowę kluczem do rur z długą rączką. Dochodziła szósta. Nie miała pojęcia, że już tak późno. - Możesz chwilę poczekać? - spytała, kładąc klucz obok siebie.

Dot oparła się ramieniem o framugę,

- O co chodzi? - spytała, gdy Andie wygramoliła się spod umywalki i usiadła na podłodze.

- Co sądzisz o nowym pracowniku?

- Masz na myśli przystojniaka? Andie zmarszczyła czoło.

- Nie powinnaś tak go nazywać.

- Stwierdzam jedynie stan faktyczny.

- Faktyczny czy nie, to bez znaczenia. W każdym razie zachowujecie się nieodpowiednio. Co do tego nie mam wątpliwości. Jak facet się uprze, to złoży skargę w związku. Po co ci takie kłopoty?

Dot wzruszyła ramionami.

- Nie sądzę, abym musiała się tym przejmować. Przecież to tylko zabawa. On świetnie zdaje sobie z tego sprawę.

Andie też o tym wiedziała. Przez całe popołudnie do jej uszu docierały dwuznaczne żarty, jakie wymieniali Tiffany i

Jim. Raz nawet swoim dowcipem rozśmieszył Mary Free. Ale to nie było w porządku.

- Zachowujecie się nieodpowiednio - powtórzyła.

- Rozumiem. - Dot nie zwykła wdawać się w dyskusje z szefową. - Powiem reszcie.

- Będę ci wdzięczna. - Andie wstała z ziemi. Podniosła w górę ramiona, żeby się przeciągnąć i rozprostować Kości. - Jak mu dziś szło?

- Przydzieliłam Jimowi najpierw łatwą robotę. Nakładał drugą warstwę tynku na ściany w salonie na piętrze. A kiedy skończył, poleciłam mu zająć się marmurowym kominkiem w głównej pałacowej sypialni. - Dot mrugnęła porozumiewawczo do Andie. Czyszczenie i odnawianie marmuru wymagało czasu, skrupulatności i cierpliwości. - Facet zna się na robocie i widać, że ma do niej smykałkę. - W ustach Dot była to nie lada pochwała. - Aż trudno uwierzyć, że jest uczniem.

- Podobno miał jakiś wypadek - wyjaśniła Andie. - Dlatego jeszcze nie zdał egzaminu na czeladnika.

- A więc tak ma się sprawa - mruknęła pod nosem Dot. - Zastanawiałam się, skąd wzięły się te wszystkie blizny.

- Jakie blizny?

- Pracując przy renowacji kominka, kilka razy podciągał koszulkę, żeby obetrzeć twarz. U dołu pleców, po prawej stronie, ma dwie paskudne szramy.

- Mówił, skąd się wzięły?

- Nie pytałam - odparła Dot. - Tiffany coś o nich napomknęła, lecz Jim szybko zaczął żartować na temat starej, wojennej kontuzji. - Odsunęła się od framugi. - Andie, dziś spotykamy się w parę osób u Varga na drinku. Chcemy uczcić fakt, że w teście ciążowym Tiffany wskaźnik nie zabarwił się na różowo. Pójdiesz z nami?

- Nie, dziękuję. - Andie potrząsnęła głową. Spojrzała na umywalkę. - Trzeba to dokończyć.

- Robota nie zając. Nie ucieknie.

- Dziś muszę zrobić instalację. - Szybko położyła się znów na podłodze.

- Nie zostawaj tu do późna - przestrzegła Dot.

Andie oparła ręce na brzegu umywalki, żeby wsunąć się jeszcze głębiej. Przedtem jednak spojrzała w górę. Zaskoczył ją dziwny ton głosu pracownicy.

- Odczytałam napis na ścianie foyer, zanim go zlikwidowałam - wyjaśniła.

- Powinnaś więc wiedzieć, że to zwykła głupota. Nic więcej. Jakiś nieudacznik wylewa żale na kobiety pracujące na budowach i tyle.

- Być może - przyznała Dot. W jej głosie przebijało powątpiewanie. - Jednak na wszelki wypadek nie zostawaj tu długo sama. Pozamykaj wszystko i wyjdź, zanim zrobi się ciemno.

- Dobrze, dobrze, ciociu Klociu - beztróska powiedziała Andie. - Złóż w moim imieniu gratulacje Tiffany i pozwól jej wypić tylko jednego drinka. - Uznając rozmowę za zakończoną, Andie wsunęła się pod umywalkę.

Było już po siódmej, gdy udało się jej wreszcie założyć armaturę. Mała łazienka w podziemi pałacu była bardziej nowoczesna i funkcjonalna niż trzy tego typu staroświeckie pomieszczenia, z pietyzmem restaurowane na piętrze. Andie hołdowała zasadzie, że bez względu na to, czy robi suflet, czy instaluje umywalkę, praca musi być wykonana perfekcyjnie.

Z tylnej kieszeni spodni wyciągnęła miękką szmatkę i starannie starta pył z marmurowego blatu. Na tle kremowego marmuru, poprzecinanego cieniutkimi różowymi żyłkami, blad różowa porcelana umywalki wyglądała przepięknie. Jutro w łazience zostaną położone kafelki, a potem stylowe

tapety w drobniutkie pączki róż. Kiedy do pałacu dostarczą kopię lustra z epoki królowej Anny i powiesi się je nad umywalką, mała łazienka będzie skończona. Na długo przed planowanym terminem.

Z uśmiechem zadowolenia na twarzy Andie zgasiła lampę i w półmroku, przez piwniczne pomieszczenia biurowe, ruszyła w stronę światła widocznego przez drzwi u szczytu schodów. W Minnesocie w połowie lata zaczynało się ściemniać dopiero po dziewiątej wieczorem, dlatego zamiast pozamykać drzwi i iść do samochodu, Andie postanowiła dokonać przeglądu wszystkich pałacowych pomieszczeń. Chciała sprawdzić stan zaawansowania robót oraz przygotować w myśli wykaz najpilniejszych prac.

Pałac Belmonta był budowlą wiktoriańską wzniesioną w epoce królowej Anny około roku 1895. Został wyposażony przez architekta w charakterystyczny spadzisty dach i galeryjki wokół wieżyczek. Głęboki portyk, podtrzymywany klasycznymi kolumnami, zdobiły gzymsy. Biegły po obu jego stronach wokół budynku, podkreślając umyślną asymetrię fasady. Duże, sięgające piętra okna wykuszowe i wieża w lewej przedniej części dodawały pałacowi majestatycznego uroku.

Zbudował go bogaty przemysłowiec, który zbił fortunę na rudzie żelaza i budowie statków w Duluth w stanie Minnesota. Jego młoda żona uznała jednak tamtejszy klimat nad jeziorem Superior za zbyt zimny i ostry, więc kazał wznieść dla niej tę imponującą siedzibę nad jeziorem Isles w Minneapolis, nazywaną od jego nazwiska Pałacem Belmonta.

Niestety, mimo czterdziestu lat szczęśliwego pożycia małżeństwo nie doczekało się potomstwa. Po śmierci wdowy pałac przejął jeden z krewnych, a ten z kolei zapisał go w spadku bratankowi, który nie miał ochoty utrzymywać tak dużej, starej budowli. W końcu Pałac Belmonta przeszedł w

ręce władz miejskich za nie zapłacone podatki, a potem kupiła go prawie za bezcen fundacja historyczna. To ona teraz dokonywała rekonstrukcji starego budynku i przeistaczała go w żywy relikwiarz dawnych czasów. Po renowacji i wyposażeniu zabytkowych wnętrz w meble z epoki lub ich szlachetne repliki, stary, majestatyczny pałac miał zostać otwarty dla zorganizowanych grup zwiedzających, a także udostępniany na prywatne bale i przyjęcia oraz inne imprezy organizowane na cele dobroczynne.

Wystarczyło, aby Andie zamknęła oczy, a w wyobraźni widziała pałac taki, jaki niegdyś był i jaki będzie. W całej jego krasie. Było jeszcze wiele do zrobienia. Żmudnych prac wykończeniowych wymagały podłogi. Nie pomalowano ścian. Kilku z nich nawet brakowało i trzeba było je postawić. Na całkowitą rekonstrukcję czekały główne schody. Marmurowy zabytkowy kominek, bardzo zniszczony, trzeba było przywrócić do dawnego stanu. Okna pokrywały grube warstwy kurzu i pyłu powstałego podczas remontu. Kryształowy żyrandol, będący dokładną repliką oryginalnego, spoczywał w otwartej drewnianej skrzyni stojącej w jadalni. Wokół walały się bibułki, w które był owinięty podczas transportu. Skośne promienie słońca stojącego nisko na niebie odbijały się w kryształowych ozdobach żyrandola i wysyłały wielobarwne błyski światła, które tańczyły na drewnianej podłodze, stanowiąc milczącą zapowiedź, jak pięknie będzie wyglądało to miejsce po przywróceniu mu dawnej świetności.

Andie uśmiechnęła się do swych myśli. Podeszła do skrzyni i z trudem założyła ciężkie wieko. Mimo że kryształowy żyrandol nie był jednym z tych oryginalnych dzieł sztuki z epoki wiktoriańskiej, które niebawem ozdobią wnętrza pałacu, zasługiwał na pieczołowite traktowanie. Andie postanowiła, że jutro przypomni ekipie, że tak delikatny

przedmiot nie powinien być poddawany działaniu pyłów ani też narażany na uszkodzenie.

Potem dotarła na piętra, gdzie przez cały dzień trwały intensywne prace. Chciała się przekonać, co zostało zrobione. Drugie piętro, na którym znajdowały się pomieszczenia dla służby i nie używane pokoje dziecięce, było już prawie gotowe. Na części tynkowanych ścian położono już pierwszą warstwę farby. Założono i odrestaurowano gzymsy. Pociągnięto nowe przewody elektryczne, zgodnie z obowiązującymi normami technicznymi i przepisami bezpieczeństwa. W spartańskiej łazience dla służby Booker, uczeń hydraulika, zdołał już zamontować wannę i umywalkę. Ściany też były gotowe. Andie była bardzo zadowolona.

Na pierwszym piętrze prace postępowały wolniej, gdyż pieczołowita rekonstrukcja była czasochłonna. Tu ściany i sufity ozdobiono przed laty rzeźbioną drewnianą boazerią, przemyślnymi ornamentami z gipsu i listwami przypodłogowymi. Znajdujące się tutaj łazienki były istnym cudem epoki - dowodem osiągnięć techniki okresu późnowiktorjańskiego i przepychu. Znajdowały się tu ręcznie malowane porcelanowe umywalki, wanny z żaluzjowymi zamknięciami, obudowane mahoniowym drewnem i marmurem. Należało przywrócić im piękno lub zastąpić nowymi, jeśli nie nadawały się do odnowienia.

Dot i grupa jej uczniów bardzo przyspieszyli prace przy boazeriach w wielkiej sali pośrodku pałacu. Mary Free wraz z Tiffany skończyły ciągnąć przewody elektryczne w orzech z pięciu sypialni. Aby stały się niewidoczne, układano je pod listwami przypodłogowymi i innymi drewnianymi elementami ścian.

W salonie na pierwszym piętrze pracował Jim Nicolosi. Pouzupełniał i wygładził tynki, tak że były gotowe do piaskowania. Na samym końcu zostaną pokryte ręcznie

drukowanymi, żółtymi, jedwabnymi tapetami, które projektant wewnątrz wybrał dla tego pomieszczenia.

Andie obejrzała wyniki pracy Jima Nicolosiego. Oczywiście, każdy z odrobiną doświadczenia potrafi tynkować ściany, uznała, kierując kroki ku drzwiom prowadzącym do głównej sypialni. Dopiero tutaj będzie mogła się przekonać, czy nowy pracownik rzeczywiście jest tak dobrym fachowcem, jak twierdziła Dot. Sprawdzianem jego umiejętności był efekt jego pracy przy renowacji zabytkowego kominka.

Andie przesunęła czubkami palców po fragmencie staroświeckiego kominka z jasnozielonego marmuru, który Jim doskonale oczyścił i odnowił, wacikami i odpowiednimi chemicznymi środkami centymetr po centymetrze usuwając wiekowe plamy. W paru miejscach ubytki marmuru zostały wypełnione dobranym kolorystycznie specjalnym klejem. Gdy całkowicie wyschną, trzeba będzie przecierać je drobnoziarnistym papierem ściernym tak długo, aż przestaną różnić się od reszty. Ta mrówcza praca została wykonana tak dobrze, jakby jej własną ręką. Najwyraźniej Jim Nicolosi wie, co jest warta cierpliwość w robocie. Jest człowiekiem...

Andie zrobiło się nagle gorąco, gdy przypomniała sobie uwagę Tiffany, przypadkowo dosłyszana po południu. Do Andie nie dotarła odpowiedź Jima, na którą jej pracownice zareagowały wybuchem śmiechu.

- Przystojniaku, masz powolne dłonie - oznajmiła Tiffany.
- Lubię mężczyzn o takich rękach.

Przechodząc obok otwartych drzwi w drodze do piwnic; Andie nie zwróciła na to uwagi.

Aż do tej chwili. Poczzerwieniały jej policzki. W głowie zaczęły powstawać erotyczne wizje. Zastanawiała się, jak by to było, gdyby dotykał jej mężczyzna o powolnych dłoniach.

- Wszystko przez ciebie, Natalie - mruknęła do siebie, gdy przez jej piersi i brzuch przeszła fala gorąca.

Gdyby nie idiotyczna uwaga młodszej siostry, że powinna wziąć sobie kochanka, Andie nie stałaby teraz na wprost kominka z dłonią przyciśniętą do zimnego, jasnozielonego marmuru, podziwiając efekt pracy Jima Nicolosiego i zastanawiając się, jak by to było, gdyby tak samo, ostrożnie i powoli, pieścił jej ciało.

Andie dokładnie pamiętała, od jak dawna nie dotykał jej żaden mężczyzna. Osiem lat. Osiem długich lat upłynęło od okropnego, tylko jednego zbliżenia ze współpracownikiem byłego męża. Tak bardzo wówczas pragnęła być pożądana. Chciała się również zrewanżować byłemu mężowi za to, że ją zdradzał. Wybrany przez nią mężczyzna świetnie nadawał się na kochanka z obu tych powodów. Andie wiedziała, że natychmiast pójdzie do Kevina i opowie mu o tym, co zrobiła. Eksperyment okazał się całkowitym niewypałem. Nie dał żadnej satysfakcji, przeciwnie, pozostawił niesmak.

Gdy Kevin z nową żoną wyjechał na drugi koniec kraju, rewanż przestał mieć jakikolwiek sens. Od tamtej pory Andie w zasadzie ani razu nie miała ochoty na seks. Aż do dziś.

„Pamiętaj, jak bardzo ci się to należy” - powiedziała Natalie.

- Jasne - mruknęła do siebie Andie. - Tak jakby to zależało tylko ode mnie.

Oprócz badawczych, krótkich spojrzeń rzucanych w kierunku szefowej, Jim Nicolosi nie okazywał jej szczególnego zainteresowania. I nie okaże, Andie była tego więcej niż pewna. Miał obok siebie seksowną Tiffany Wilkes, w każdej chwili gotową się z nim przespać, co dawała jednoznacznie do zrozumienia. W porównaniu z ponętą, kobiecą, dwudziestotrzyletnią uczennicą elektryka - Andie wyglądała nieciekawie. Mężczyzn pokroju Jima Nicolosiego,

o takim jak on błysku w oczach, nie interesują kobiety o chłopięcej urodzie. Poza tym był od niej młodszy, a ona miała troje dzieci i być może należał się jej seks, ale była osobą trzeźwą i zrównoważoną. I nigdy nie uwikłałaby się w romans z własnym pracownikiem.

A poza tym nie szukała partnera.

Nie chciała się z nikim wiązać.

Ani teraz.

Ani nigdy.

Sprawa zamknięta, jak by powiedziała Natalie. Koniec. Kropka.

Andie odsunęła się od kominka, odwróciła i nagle natrafiła ciałem na umięśnioną męską pierś. Krzyknęła ze strachu i wyrzuciła przed siebie obie ręce, gotowa do obrony.

- Hej, szefowo - odezwał się Jim, łapiąc Andie za ramię, gdyż przy gwałtownym ruchu straciła równowagę. - Spokojniej.

- Spokojniej? - Andie bezwiednie zacisnęła palce na koszulce Jima. - Spokojniej? Jak mam zachowywać się spokojniej, jeśli ktoś zniecka zachodzi mnie od tyłu?! - wykrzyknęła niemal histerycznie.

- Przepraszam. Nie miałem zamiaru...

- Najpierw śmiertelnie przestraszyła mnie Natalie, podchodząc na palcach, tak że jej nie słyszałam. Przed kwadransem Dot walnęła nieoczekiwanie w blat umywalki, a ja o mały włos nie rozbiłam sobie głowy o rury.

- Przepraszam - powtórzył. - Tylko...

- A teraz pan tu się zakradł jak... jak... - Usłyszawszy własny rozhisteryzowany głos, Andie zacisnęła zęby. Uprzytomniła sobie, że nadal trzyma się kurczowo koszulki Jima, jak przestraszone dziecko.

Do licha z tobą i twoim gadaniem, Natalie! Dot była zresztą taka sama. Obie ją nastraszyły, mówiąc, że łobuz,

który zniszczył ścianę, może zaatakować. Teraz czuła się jak idiotka. I pewnie też robiła takie wrażenie.

Puściła koszulkę Jima Nicolosiego i lekko wygładziła zmiętą tkaninę.

- Przepraszam - mruknęła, odwracając wzrok.

- To ja panią przepraszam. Czuję się winny. - Uspokajającym gestem przesunął dłonie wzdłuż ramion Andie. - Powinienem od drzwi zwrócić na siebie uwagę. Na przykład wykrzyknąć pani imię lub zagwizdać.

- Tak - potwierdziła Andie. Powagą usiłowała pokryć zakłopotanie. - Powinien pan.

- Następnym razem tak zrobię - obiecał.

- Tak, to... - spojrzała na Jima, żeby jej słowa, wzmocnione surowym spojrzeniem, zabrzmiały dobitniej, lecz niespodziewanie dla samej siebie zakończyła niepewnie: - konieczne. - Tak jakby w ciągu sekundy przestrogi Natalie i Dot przestały się liczyć.

Patrzyła mu teraz prosto w twarz.

Z bliska oczy Jima Nicolosiego okazały się niezupełnie brązowe. Pokryte licznym bursztynowymi i złotymi plamkami, odbijały światło jak pięćdziesięcioletnia brandy w kryształowej karafce Waterforda. Były tak złociste jak stara, dobra brandy i tak samo ogniste. Potrafiłyby każdą kobietę ściąć z nóg. Andie niemal czuła, że z nią tak właśnie zaczyna się dziać.

- No i jak? Chyba wypadł całkiem nieźle.

- Co takiego? - spytała niezbyt przytomnie, speszona wzrokiem Jima Nicolosiego i dotykiem jego rąk, powolnych rąk, na swoich obnażonych ramionach. Zastanawiała się, jak by to było czuć je na reszcie ciała.

- Mówię o kominku - wyjaśnił Jim. - Wiem, że jestem tylko uczniem, ale ta robota chyba mi się udała. Wypadł całkiem przyzwoicie. - Przymrużył jedno oko. - Prawda?

- Och, chodzi panu o kominek. Jest ładny. Ładny. Jest... - zgubiła wątek.

Jim Nicolosi miał pięknie wykrojone usta. Wydatne, ale nie za pełne, z wyraźnie zarysowanymi kącikami, grubsze w środku. Były to zmysłowe usta. Idealne do długich, powolnych pocałunków i czułych słówek szeptanych w ciemnościach.

- Jest... ? - odpowiedział Jim, a na jego ładnie wykrojonych wargach pojawił się lekki uśmiech.

Andie patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby w ogóle po raz pierwszy w życiu widziała mężczyznę. Jej niebieskie oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Ich spojrzenie było łagodne i niewinne niczym u niemowlęcia. Bezwiednie rozchyliła różowe wargi. Zapraszały do pocałunku. Białe, alabastrowe policzki pokrywał delikatny rumieniec. Niemal czuło się przyspieszone bicie jej serca.

Jim zmienił zdanie. Uznał, że seks nie powinien skomplikować mu zadania.

Zafascynowane spojrzenie Andie sprawiło, że pochylił głowę. Zaprzagnął skorzystać z zaproszenia rozchylonych warg.

Andie zupełnie się zatraciła. Straciła kontrolę nad swoim ciałem i nad powstałą sytuacją. Czowała, jak rozpala stojącego przed nią mężczyznę. Wiedziała, że zaraz ją pocałuje.

Gdy usta Jima zbliżyły się do jej warg, nagle oprzytomniała. Wróciło poczucie rzeczywistości. Głośno wciągnęła powietrze i nieznacznie się cofnęła.

- Co pan robi? - spytała. Było to pytanie skierowane bardziej pod jej własnym adresem niż do Jima.

Uniósł brwi.

- Zamierzam panią pocałować.

- Nie. - Wyszwoleodziła się z jego rąk, które ciągle spoczywały na jej ramionach, i odsunęła jeszcze dalej. Stała za plecami Jima. - Nie.

Odwrócił się, by ani na chwilę nie tracić jej z oczu.

- Nie - powtórzyła. - Chodziło mi o coś zupełnie innego - skłamała, usiłując zapanować nad pożądaniem i zakłopotaniem. - Chciałam zapytać, co pan właściwie tu robi o tak późnej porze.

- Pracuję. Czyżby pani o tym zapomiała? - odparł, w pełni świadom, co dzieje się z Andie. - Pracuję tu od dziś. Od rana.

- Czas pracy dawno się skończył. Wszyscy wyszli ~ spojrzała na zegarek - przeszło godzinę temu.

- Ale pani została.

- Jestem szefem. Nie ma w tym nic dziwnego.

- A ja jestem świeżo przyjętym pracownikiem. W okresie próbnym - przypomniiał. - Nie sądzi pani, że moja praca do późna też jest w pełni uzasadniona?

- Nie lubię wazelinarzy - warknęła Andie, żałując wypowiedzianych słów, zanim jeszcze dostrzegła zmarszczkę na czole Jima. - Przepraszam. Naprawdę nie lubię lizusów, ale nie zamierzałam mówić panu, że... że... - Przyłożyła rękę do czoła i odetchnęła głęboko. - Przepraszam - powtórzyła. Rzuciła Jimowi niepewny uśmiech. - Jestem dziś trochę zmęczona.

- Ma pani jakieś zmartwienie - oświadczył.

- Tak, chyba mam - przyznała.

- Jakie? - zapytał. Był ciekaw, czy Andie powie mu prawdę.

Nie powiedziała. A przynajmniej nie całą. I nie wyjawiała prawdziwego powodu swego niepokoju i zdenerwowania.

- Na śniadanie jadłam tylko płatki, a na lunch jajko na twardo. Jest już późno, więc zgłodniałam. A kiedy jestem

głodna, robię się zła. Naprawdę. Poświadczą to moje dzieci - dodała. Z rozmysłem. Na wypadek gdyby jeszcze zechciał ją pocałować. Oświadczenie mężczyźnie, że ma się dzieci, jest jak kubeł zimnej wody na głowę. To najlepszy sposób, żeby zastopować zaloty. - Może pan je sam zapytać.

- Ma pani dzieci?

- Troje. - Podniosła w górę właściwą liczbę palców. - Najstarsze ma osiemnaście lat.

- Osiemnaście lat? - Jim wiedział, że Andie ma dzieci. Zaznajomiono go ze wszystkimi ważnymi faktami dotyczącymi jej życia - lub tak mu się przynajmniej wydawało. - Ma pani osiemnastoletnie dziecko?

- Syna. Tej jesieni rozpoczyna studia na Uniwersytecie Kalifornijskim.

- Rodząc go, musiała pani być jeszcze dzieckiem.

- Miałam dwadzieścia lat.

- Dwadzieścia - powtórzył Jim. Andie obserwowała, jak w myśli dodaje lata. - Wcale nie wygląda pani na trzydzieści osiem. Och, do licha, wygląda pani na dziewczynę, która dopiero co uzyskała prawa wyborcze.

Udała, że nie słyszy pochlebstwa, ale uwaga Jima zrobiła jej przyjemność. W każdym razie przekazała mu to, co powinien o niej wiedzieć. Teraz już raz na zawsze będzie miała święty spokój.

- Zna pan chyba powiedzenie, że pozory mylą?

- Tak, znam - przyznał. - Skoro pani jest głodna i ja też od dawna nic nie miałem w ustach, to może wpadniemy coś przegryźć? - zapytał nieoczekiwanie. Zobaczył, jak oczy Andie rozszerzają się ze zdziwienia. O mały włos, a byłby się roześmiał. Od razu ją przejrzał. Była pewna, że na dobre odstraszyła go od siebie. - Oboje musimy coś zjeść - dorzucił, zanim zdążyła odmówić - więc możemy zrobić to razem.

Chyba że... chyba że na panią czekają dzieci lub... lub jest już pani z kimś umówiona.

- Nie, ja...

- A więc dobrze się składa. Jak widzę, nie ma problemu.

- Jestem brudna - powiedziała, chwytając się pierwszej z brzegu wymówki. Jej wygląd nie miałby żadnego znaczenia, gdyby poszli na drinka do baru Varga. Robotnicy bywali tam często. Kolacja jednak to zupełnie co innego, W każdej przyzwoitej restauracji, do której miałyby ochotę pójść, kierownictwo niechętnym okiem patrzyłoby na parę ludzi w roboczych, poplamionych ubraniach. - Oboje jesteście brudni.

- Nie szkodzi. Znam mały bar z hamburgerami, gdzie nie zwraca się większej uwagi na stroje gości. W Glen Lakes. Wracając do domu, pewnie pani przejeżdża obok tego miejsca. Bar nazywa się Bryłka Złota.

Andie potrząsnęła głową.

- Chyba nie...

- Szybko coś przegryziemy - zapewnił Jim. - Zwyczajnie, jak dwaj koledzy po skończonej robocie. I przyrzekam solennie, że szefowej nie będę się podlizywał. - Podniósł rękę i położył na sercu. - Słowo skauta.

Znów pożałowała swoich słów. To przeważało. Powzięła decyzję.

- Zgoda, ale to tylko koleżeńska kolacja. I nic więcej.

- Oczywiście. - Jim z powagą skinął głową. - Będziemy mówić tylko o sprawach zawodowych. O nowoczesnych metodach osuszania zawilgoconych murów, a pani będzie mogła wytknąć mi wszystkie błędy w robocie, które popełniłem pierwszego dnia.

Andie roześmiała się i nagle z przyjemnością pomyślała o czekającym ją wieczorze.

ROZDZIAŁ 4

Bar Bryłka Złota był niewielki. Znajdowały się w nim kontuar z wysokimi stołkami, kilka kącików z ławami, odgradzonych od sali drewnianymi przepierzeniami, oraz parę stolików na środku. Stały tu żelazne krzesła z siedzeniami wybitymi tworzywem imitującym skórę. Stoły zdobiły papierowe obrusy, a ściany przeróżne lokalne ogłoszenia o zaginionych domowych zwierzętach i sąsiedzkich rozgrywkach sportowych. Wszędzie wałały się reklamy firm. Na jednej ścianie powieszono w ramach wycinki prasowe i całe stronice z artykułami bądź tylko wzmiankami o Bryłce Złota, w których zachwalano podawane tu hamburgery. Dochodzące z kuchni smakowite zapachy zdawały się potwierdzać te opinie. Andie poczuła się bardzo głodna.

Usiedli naprzeciw siebie za jednym z przepierzeń i zamówili po piwie i hamburgerze oraz porcję smażonych krążków cebuli.

Rozmowę zaczął Jim.

- Jak to się stało, że taka ładna dziewczyna jak ty nosi teraz pas z narzędziami? - zapytał, porzucając oficjalną formę i przechodząc na „ty”.

Andie rzuciła mu znad kufła chłodne spojrzenie.

- Chciałem powiedzieć kobieta - poprawił się z uśmiechem, ale bez śladu poczucia winy. - Jak to się stało, że taka jak ty kobieta wylądowała na budowie?

- Pytasz dlaczego? - Andie odjęła od ust ciężki kufel i ustawiła go starannie na kwadratowej papierowej podstawie. - A czy kobiety, które pracują na budowie, są gorsze niż inne?

- Nie. Oczywiście, że nie. To tylko dość nietypowe. Aż do wczoraj widywałem na budowach najwyżej jedną lub dwie.

- Lepiej się przyzwyczaj do ich widoku - poradziła sucho.
- Coraz więcej kobiet uczy się zawodów technicznych.

- Nie rozumiem dlaczego. Przecież to ciężka i brudna praca.

- Nie cięższa niż kelnerki przez cały dzień obsługującej stoliki lub sprzedawczynie w stoisku z kosmetykami w jakimś magazynie, sterczącej za ladą przez osiem godzin dziennie i przez cały czas pokazującej klientkom szminki i cienie do powiek. - Oba te zajęcia dostarczały Andie przed laty minimum środków do życia, zanim zdecydowała się wyliczyć zawodu. - Na budowie płace są lepsze. Znacznie lepsze - podkreśliła.

- Wcale nie jestem tego pewny - zaproponował Jim. Andie rzuciła mu niechętnie spojrzenie.

- To miała być miła i przyjacielska rozmowa - przypomniała. - Czyżbyś zapomniał?

- Nie ja sprowokowałem dyskusję.

- Fakt - przyznała Andie. - Zapomnijmy o złym początku, dobrze?

- Dobrze.

Niestety, dla Jima było za późno.

Zaczął już wyobrażać sobie Andie prawie naga. Jedynie z cienką, jedwabną, czarną przepaską na biodrach i w pantoflach na wysokich obcasach. Z obnażonym biustem tańczącą w rytm żywej rockowej muzyki. Jim miał zdumiewająco bogatą wyobraźnię. Podsuwała mu przed oczy przeróżne obrazy. Nie musiał nawet ich zamykać.

Była niska i szczupła, lecz doskonale zbudowana. Miała drobne i gładkie ramiona. Piersi też były małe, ale o idealnym kształcie, z różowymi sutkami, w identycznym odcieniu jak wargi. Skóra odcinająca się od czarnego jedwabiu przepaski wydawała się jeszcze bledsza i bardziej alabastrowa...

Poruszył się niespokojnie. Sięgnął po kufel i opróżnił go prawie do dna. Miał nadzieję, że piwo ostudzi zmysły i rozgorączkowane ciało. Nie pomogło. Nadal widział Andie w

cienkiej, czarnej przepasce wokół bioder, tańczącą w rytm muzyki. Poruszając piersiami i biodrami.

- Wspominałaś, że masz troje dzieci - podjął konwersację, gorączkowo szukając jakiegoś tematu, który pozwoliłby oderwać jego uwagę od erotycznych wizji. - Czy nie musisz biec do nich od razu po pracy?

- Teraz nie ma ich w mieście. Dwoje młodszych, Christopher i Emily, spędza wakacje z moim ojcem nad jeziorem Moose. Kyle, ten osiemnastolatek, na lato pojechał do Kalifornii, do swojego ojca.

- Trudne było rozstanie z mężem? - zapytał Jim, dostosowując się do tonu rozmowy.

- Nie. Zaplanowane z premedytacją i przeprowadzone z zimną krwią.

- Jak to się stało?

- Mąż wybrał się w podróż służbową ze swoją sekretarką. Nie miałam pojęcia, że nie zamierza wrócić, dopóki nie zawiadomił mnie listownie, dokąd mam odesłać jego rzeczy.

- Niemożliwe! - Jim nie mógł sobie wyobrazić, że jakiś mężczyzna potrafiłby zachować się aż tak bezlitośnie. - Naprawdę się spodziewałaś, że spakujesz jego manatki i odeślesz?

- Najgorsze w tym wszystkim było to, że tak właśnie zrobiłam. Dokładnie tak, jak sobie życzył w liście. Co do joty wykonałam instrukcję. - Na widok pełnego niedowierzania wzroku Jima uśmiechnęła się lekko. - Byłam wtedy zupełnie kimś innym niż teraz. Byłam... - Urwała, wzruszyła ramionami, usiłując znaleźć właściwe słowo. - Byłam nikim. Podnóżkiem pana i władcy.

- Zmieniłaś się.

- Och, tak. - Andie znów się uśmiechnęła. - Musiałam. Żeby przeżyć.

- To było z pewnością niezwykle trudne.

- Ale konieczne. - Andie uznała, że zbyt wiele już powiedziała. Historia jej życia była smutna i nieciekawa. - A ty? - zmieniła temat. - Jak to się stało, że wylądowałeś na budowie?

- Mój stryj miał firmę budowlaną - odparł bez chwili namysłu. - Pracowałem dla niego przez wszystkie szkolne wakacje.

- Ach, tak. - Andie ze zrozumieniem skinęła głową. W ten sposób zaczynało wielu mężczyzn. Mieli stryja, innego krewnego lub ojca, którzy chętnie dawali im robotę. - A więc dzięki rodzinnej protekcji.

- Tak - przyznał Jim.

- Dlaczego nie pracujesz u stryja?

- Kilka lat temu przeszedł na emeryturę. Zlikwidował interes i przeniósł się na Florydę.

- Nie miał synów, którym mógłby przekazać firmę?

- Nie. A ja nie byłem zainteresowany jej kupnem. W każdym razie nie wtedy. A później... - Urwał i się zamyślił.

Andie pomyślała o bliznach na jego ciele, które dostrzegła Dot. I o tym, że nie chciał mówić o swoim wypadku. Zastanawiała się, co wówczas utracił.

- Byłeś żonaty? - spytała prosto z mostu. Bardzo ją to interesowało.

- Nie.

- A zaręczony?

- Też nie.

- Mieszkałeś z kimś?

- Raz. Gdy byłem jeszcze w aka... to znaczy, kiedy po raz pierwszy wyprowadziłem się z domu. Czy to się liczy?

- Z kobietą?

- Nie.

- To się nie liczy - uznała Andie. - Proces cywilizowania zaczyna się dopiero wtedy, kiedy mężczyzna mieszka z kobietą.

- Zapominasz o moich trzech siostrach.

- Ach, tak. Rzeczywiście. Wspominałeś chyba, że wszystkie starsze, prawda? - Andie zamyśliła się na chwilę. - W porządku. Siostry się liczą. - Odchyliła się, aby kelner mógł postawić na stole hamburgery i miseczki pełnej smażonych krążków cebuli. - Dobrze żyjesz z rodziną? - spytała, gdy znów zostali sami.

- Tak. Dość dobrze. - Jim uniósł górną część bułki i zaczął smarować hamburgera ostrą, brązową musztardą. - Razem obchodzimy wszystkie urodziny, widujemy się podczas wakacji i od czasu do czasu spotykamy na niedzielnych kolacjach. Na ogół w domu Janet, mojej najstarszej siostry, gdyż nasi rodzice po przejściu na emeryturę przenieśli się na Florydę i zamieszkali ze stryjem i jego żoną. Janet wraz z mężem, dziećmiakami i psami mieszka w Edina w starym, podupadłym domostwie z dużym ogrodem warzywnym i podwórzem. - Jim zakręcił słoiczek i odstawił na bok. - Janet uważa, że dom to wszystko - powiedział bez śladu sarkazmu, a nawet z nutą dumy i podziwu w głosie. - Świetnie wychowuje dzieci.

- A pozostałe siostry? - Andie sięgnęła po krążek cebuli. Biorąc go do ust, podświadomie myślała o dłoniach Jima. - Co robią?

- Jessie jest wziętą prawniczką, ma elegancką kancelarię. - Jim przykrył hamburgera połówką bułki, spłaszczył dłonią całość i obydwoma rękoma podniósł do ust. - A Julie jest policjantką.

- Policjantką? - zdziwiła się Andie. - Naprawdę? Mój tata jest policjantem, a właściwie był. Pracował w policji w

Minneapolis. W zeszłym roku przeszedł na emeryturę. Może się znają?

Jim mało się nie zadławił kawałkiem hamburgera.

- Wątpię - mruknął, kiedy wreszcie udało mu się przełknąć duży kęs. - Julie pracuje w policji w Eden Prairie.

- Nigdy nie wiadomo, kto kogo zna. - Andie wzięła nóż do ręki i zgrabnie przecięła na pół swojego hamburgera. - Tata był policjantem prawie czterdzieści lat. Zna mnóstwo ludzi i większość policjantów w całej Minnesocie. - Ujęła w obie ręce połówkę hamburgera. Zatrzymała ją w pół drogi między ustami a talerzem. - Być może Natalie też zna twoją siostrę. Nat jest prywatnym detektywem - poinformowała. - Dużo pracuje dla prawników w całym mieście. Muszę ją o to zapytać, gdy się spotkamy. - Uśmiechnęła się do Jima. - Prawda, że świat jest mały? - Zgrabnie ugryzła hamburgera.

- Mały - przytaknął Jim. Dzięki Bogu, nie miała pojęcia, jak bardzo mały.

Zupełnie zapomniał, że jej ojciec był policjantem. Wyleciało mu także z głowy, że siostra, drobna, ale energiczna, jest prywatnym detektywem, gdyż ciągle miał przed oczyma obraz ponentnego, obnażonego ciała Andie. Do licha, już od dawna kobieta aż tak nie zawróciła mu w głowie. Przecież od samego początku wiedział, że przede wszystkim powinien zająć się tym, do czego się zobowiązał.

Jednym haustem wypił resztkę piwa i głośno odstawił kufel na stół.

Andie podniosła głowę. Uśmiechnęła się znad hamburgera.

- Miałeś rację. Jest smaczny - pochwaliła. Wzięła do ust następny, mały kawałek.

Począł, aż przełknie, zanim zadał nurtujące go pytanie:

- Czy orientujesz się, kto zniszczył ścianę w pałacu? Spojrzała na Jima rozszerzonymi oczyma.

- A ty skąd o tym wiesz?
- Od twoich pracowników. Przez cały dzień nie mówili o niczym innym.

Andie nie miała pojęcia, że za plecami gadają na jej temat.

- Nic dziwnego. Ludzie lubią plotkować. Zwłaszcza o swoich szefach.

- Co...?

- Czym mogę jeszcze służyć? - zapytał kelner. Spojrzał na opróżniony kufel Jima. - Jeszcze jedno piwo?

Zniecierpliwiona Andie pokręciła głową.

- Nie, to wszystko. Dziękujemy - odrzekł grzecznie Jim.

- Prosimy o rachunek.

Z kieszeni fartucha kelner wyciągnął świstek papieru i położył na stole.

- Płaci się przy barze - oznajmił i już go nie było.

- Co mówili? - spytała Andie.

- Że jakiś wandal od miesiąca niszczy pałacowe ściany.

- Jim dotknął dłoni Andie. - Skończ hamburgera, zanim zrobi się zimny - dodał i wrócił do tematu: - Dot powiedziała, że przez tydzień był spokój, do dzisiejszego ranka, dopóki nie pojawił się napis.

Andie kiwnęła głową.

- Czy chodziło o tę ścianę w foyer, zamazaną czerwoną farbą? - zapytał Jim.

Znów przytaknęła skinieniem.

- Tylko maluje?

Wahanie Andie trwało zaledwie sekundę. Gdyby Jim jej nie obserwował, pewnie by tego w ogóle nie zauważył.

- Tak - odparła.

- Jesteś pewna?

- Tak. Oczywiście, że jestem pewna. - Odłożyła na talerz resztę hamburgera. - Właściwie dlaczego mnie o to wypytujesz? To nie powinno cię interesować.

- Zostałem członkiem twojej ekipy - odparł spokojnie.
- Znalazłem się, jak to się mówi, na linii ognia. Lubię wiedzieć, kogo mam za przeciwnika.
- Nie masz nikogo. To ja mam. A zresztą to zupełna błahostka. Nawet nie warto o tym wspominać. - Andie zrobiła się nagle nerwowa, jak ktoś, kto ma coś do ukrycia. - Dot z igły robi widły. Pozostali też.
- Jeśli tak uważasz... - obojętnym tonem powiedział Jim. Położył rękę na zaciśniętej dłoni Andie.
- Tak właśnie uważam. - Gwałtownym ruchem strąciła rękę Jima. - Przestań się mną zajmować. Nie znoszę, gdy ktoś tak się zachowuje.
- Przepraszam, nie chciałem. Miałem tylko na myśli...
- Wiem, co miałeś na myśli - wpadła mu w słowo. - Uważasz mnie za głupią, małą kobietkę. Biedaczka nie ma pojęcia, co się dzieje i co z tym zrobić - dodała, przedrzeźniając głos Jima. - O to chodzi: trzeba się nią zaopiekować.
- Nie zamierzał się przyznać, że go rozszyfrowała. Czyżby jego słowa zabrzmiały protekcjonalnie? A może jednak?
- Zaraz zaproponujesz mi pomoc i opiekę. Mam rację? Tak właściwie było, ale dlaczego czuł się winny? Co było złego w proponowaniu komuś pomocy?
- Zamierzasz użyć swych kontaktów, żeby powęszyć i wykryć, kto za tym stoi, i w ten sposób położyć kres wybrykom. Lub... Och, nie. Zrobisz zupełnie inaczej. Przyłapiesz wandala na gorącym uczynku. Licząc na to, że popatrzę na ciebie z podziwem i powiem, że jesteś duży, silny i taki odważny... - Andie przyłożyła dłonie do piersi, jak zrobiłaby zapewne bohaterka staroświeckiego romansu. - Piękne dzięki, nie skorzystam z pomocy.

 Jima zaniepokoiły te słowa.

- Jakich kontaktów? - zapytał ostrożnie. Co ta kobieta mogła wiedzieć o jego powiązaniach?

- Od dziewięciu lat pracuję w budownictwie i mam wiele własnych kontaktów. I w każdej chwili mogę z nich skorzystać.

Odetchnął z ulgą, ale nie zdążył nic powiedzieć, ponieważ Andie nie dała mu dojść do głosu.

- Ale tego nie zrobię - oświadczyła z emfazą. - Tę drobną sprawę potrafię rozwiązać sama, bez niczyjej pomocy. Ani twojej, ani żadnego innego mężczyzny!

Jim odchrząknął.

- W każdym razie miałem dobre intencje. Usiłowałem pomóc.

- I co?

- Muszę uczciwie przyznać, że potraktowałem cię odrobinę protekcyjnie. Przepraszam, wcale tego nie chciałem. Już więcej nie popełnię podobnego błędu. - Położył rękę na środku stołu, otwartą dłonią do góry. - Zostaniemy przyjaciółmi?

Andie ogarnęły mieszane uczucia. Jim był niezwykle męski, obarczony wszystkimi wadami typowymi dla macho. Arogancki, pewny siebie i władczy, przekonany niezmiennie o słuszności własnych poglądów i nieomylności sądów. Gdy przychodziło do kontaktów z tak zwaną słabą płcią, zawsze wiedział, co dla niej jest najlepsze.

Miał też zalety. Był miłym kompanem przy kolacji. Dopóki nie zaczął wtykać nosa w nie swoje sprawy. Gdy mu zwróciła na to uwagę, spokorniał. Wykazał skruchę. Przeprosił i przyznał, że potraktował ją protekcyjnie, oraz obiecał poprawę. I... i... miał najładniejsze i najbardziej pociągające usta, jakie kiedykolwiek widziała u mężczyzny! Właśnie w tej chwili w ich kącikach błąkał się lekki uśmiech, od którego robiło się jej gorąco.

- Od tej chwili nie zaofiaruję ci ani żadnej rady, ani pomocy, chyba że zostanę o to wyraźnie poproszony. - Uśmiech na wargach Jima przeistoczył się w nieznaczne skrzywienie ust. - No, przynajmniej będę się starał. Zgoda?

Gniew Andie powoli topniał.

To, że ten człowiek był arogancki i apodyktyczny, w gruncie rzeczy nie miało znaczenia. Przecież nie kierował jej posunięciami, nie miał też żadnego wpływu na jej życie. Nie zamierzała za niego wyjść. Nie zamierzała nawet się z nim spotykać. Chciałaby tylko...

Chciałaby tylko pójść z nim do łóżka, uprzytomniła sobie ze zdumieniem.

Dzisiejszej nocy.

Wyciągnęła rękę i nakryła nią dłoń Jima.

- Zostańmy przyjaciółmi - powiedziała ciepłym, miękkim głosem z uśmiechem, który sprawił, że Jim zaczął się zastanawiać, co ta kobieta przed chwilą sobie wymyśliła i do czego zmierza.

ROZDZIAŁ 5

Ściągnęła go do siebie bez żadnych trudności. Kiedy szli w stronę parkingu, wspomniała mimochodem, że w domu nie ma nikogo. Po dżentelmeńsku ofiarował się jechać tuż za nią i sprawdzić, czy bezpiecznie dotarła na miejsce. Przez chwilę udawała, że się wzbrania. Twierdziła, że to niepotrzebne, a on - co było do przewidzenia - nalegał.

Przebywanie w towarzystwie macho miało, jak się okazuje, także dobre strony. Byli aroganccy i despotyczni, ale ich wrodzony instynkt opiekuńczy sprawiał, że łatwo było nimi manipulować, jeśli się do tego podeszło z właściwej strony. Fakt ten Andie zaczynała doceniać dopiero teraz, mimo że od pewnego czasu Natalie usiłowała jej to uzmysłwić. Powinna była słuchać siostry.

- Zdaje się, Nat, że powinnam cię przeprosić - szepnęła Andie pod nosem, spoglądając we wsteczne lustro w chwili, gdy podjeżdżała pod dom.

Jim Nicolosi dotrzymał słowa. Rzeczywiście przyjechał tuż za nią. Widziała silne światło reflektora wielkiego, czarnego harleya - davidsona, kiedy zbliżył się i zatrzymał tuż obok jej wozu.

Wyłączył silnik i nagle Andie otoczyła cisza małej uliczki spokojnej dzielnicy mieszkaniowej w letni wieczór. Teraz słyszała tylko własne serce. Waliło jak młotem.

Andie zapragnęła tego, co, zdaniem jej siostry, od dawna się jej należało.

I chciała dostać to od tego właśnie mężczyzny.

Zacisnęła palce na wewnętrznej klamce i popchnęła drzwiczki, akurat gdy Jim otwierał je od zewnątrz. Wpadła w jego ramiona.

- Przepraszam - powiedziała, spoglądając na niego ukradkiem.

- Nic się nie stało - odparł z taką miną, jakby się spodziewał, że Andie zaraz zdecydowanym ruchem uwolni się z jego objęć.

Nie uczyniła tego, ale była wyraźnie zdenerwowana.

Uważaj, kolego, przestrzegł się w duchu Jim. Nie mógł sobie pozwolić na komplikacje.

Położył dłonie na obnażonych ramionach Andie, niemal dokładnie tak jak wcześniej w pałacu, i postawił ją pewnie na nogi.

Zawahała się. Mogłoby się wydawać, że nie chce odsunąć się od Jima. Pewnie się boi i wstydzi do tego przyznać. Bez względu na to, jak silną udawała kobietę, musiała się przejąć tym, co działo się w pałacu. Każda kobieta zdenerwowałaby się czymś podobnym. Może z wyjątkiem jego siostry Julie, zaprawionej w bojach policjantki.

- Chcesz, żebym wszedł do środka i pozapalał lampy? - zapytał.

Andie nie miała pojęcia, że uwodzenie mężczyzny może być tak łatwe.

- Zgodzisz się to zrobić? - spytała cichym głosem.

- Oczywiście. To żaden problem - odparł i wziął ją za rękę. Szli w ciemnościach zwirową ścieżką biegnącą wzdłuż trawnika, a potem po schodkach do drzwi małego domu. Stanęli. Jim wyciągnął rękę do Andie. - Klucz.

Wcisnęła mu go w dłoń i odsunęła się na bok. Jim pierwszy wszedł do środka. Zapalił światło, a potem przytrzymał drzwi.

- Poczekaj, aż się rozejrzę - oznajmił i ruszył w głąb mieszkania.

Instynkt podpowiadał Andie, żeby go posłuchała i została przy wejściu. Uczyniła jednak dokładnie co innego.

Nadal trochę zdenerwowana, przeszła przez środek nie oświetlonego holu i skierowała kroki ku kuchni. Weszła do

środka i zapaliła górną lampę. Rzuciła okiem na automatycz -
ną sekretarkę i z ulgą stwierdziła, że nie mruga czerwone
światełko. Od pewnego czasu odbierała nieprzyjemne
telefony. Z drugiej strony linii za każdym razem dobiegało
ciężkie, męskie sapanie. Gdyby dziś to się powtórzyło, pewnie
od razu straciłaby dobry nastrój.

- Andrea?

- Jestem w kuchni! - odkrzyknęła. - Skręć w prawo i
przejdź przez hol. Dobrze mi zrobi filiżanka kawy - oznajmiła
z uśmiechem na widok Jima stojącego w drzwiach. - Masz
ochotę? Zaparzę w parę chwil.

Komplikacje, przypomniał sobie Jim. Wisiały w
powietrzu. Kobieta i mężczyzna. Sami w pustym domu.

- Chyba powinienem już iść - powiedział bez
przekonania. - Zrobiło się późno, a jutro muszę wstąpić
wcześnie. - Uśmiechnął się do Andie. - Mam nową, bezlitosną
szefową, która za spóźnienie obetnie mi dniówkę - dorzucił.

- Wypij tylko małą kawę - kusiała. - Jako toast za
bezpieczne eskortowanie mnie do domu. A w razie czego
usprawiedliwię cię przed szefową. Obiecuję.

- W porządku. - Nic się nie stanie, jeśli napije się kawy.
Nikom to jeszcze nie zaszkodziło. - Zgoda - przystał. - Tylko
jedną filiżankę.

Andie odwróciła się plecami do gościa, żeby ukryć
uśmiech satysfakcji. Jim skapitulował błyskawicznie. Była
przekonana, że reszta też pójdzie jak z płatka. Zastanawiała
się, dlaczego przedtem się denerwowała. Nie było powodu.
Uwodzenie szło jej nadzwyczaj gładko.

- Proponuję, abyś przeszedł do saloniku i tam się
rozgościł. A ja przyniosę kawę, kiedy tylko będzie gotowa. -
Gdy się zawahał, wygoniła go z kuchni jednym machnięciem
ręki. - Znajdziesz tam odtwarzacz, a w szafce stos płyt
kompaktowych. Wybierz coś kojącego.

Jeśli chodzi o muzykę, miała zróżnicowane gusta. Świadczył o tym zestaw płyt. Byli tu Willie Nelson, Mary Chapin Carpenter, George Jones i Pasty Cline obok Mozarta i Chopina, a także bogata kolekcja muzyki rockowej od połowy lat pięćdziesiątych do wczesnych siedemdziesiątych. Jim zobaczył też nagrania Nine Inch Nails i Nirvany, ale te należały pewnie do osiemnastoletniego syna Andie.

Jim sięgnął po Chopina, przedkładając go nad rocka. Nie miał najmniejszego zamiaru słuchać Micka Jaggera użalającego się nad tym, jak trudno osiągnąć zaspokojenie, ani Roda Stewarta wyśpiewującego, że to jest ta noc, gdyż o zaspokojeniu nie mogło być mowy, no i z pewnością nie była to właśnie ta noc.

Ale czy muzyka Chopina była kojąca? Ledwie rozbrzmięły pierwsze łagodne tony koncertu fortepianowego, w saloniku zamrugały światła i zaraz potem przygasły.

- Prawda, że teraz lepiej? - odezwała się Andie, gdy odwrócił się, żeby zobaczyć, co spowodowało zakłócenie. - Przyjemniej niż przy ostrym świetle. Tak kojąco.

Znów użyła tego słowa, pomyślał. Kojąco. Niestety, to określenie w żaden sposób nie dotyczyło stanu, w jakim sam się znajdował.

- Czuj się jak u siebie. - Rzuciła mu promienny uśmiech. - Jeśli masz ochotę, oprzyj nogi na stoliku.

Andie postawiła tacę z kawą na wywoskowanym blacie sosnowego stolika stojącego przed kanapą i usiadła, podciągając pod siebie bosc stopy. Taca była pleciana z oryginalnej wikliny. Leżała na niej rozpostarta jasnoniebieska serwetka, na której ustawiono filiżanki z delikatnej, białej porcelany w drobniutkie jasnoniebieskie kwiatki. Był też mały talerzyk z biszkoptami, kryształowa karafka i dwa kieliszki.

Jim milczał.

- Usiądź - Andie wskazała miejsce obok siebie na kanapie.

Jim nadal stał bez ruchu i wpatrywał się w nią w milczeniu.

Wreszcie spełnił jej życzenie.

- Wolisz brandy wlaną do kawy czy osobno? - spytała, sięgając po karafkę.

Dopiero teraz Jim pojął, o co naprawdę tu chodzi.

Przyćmione światła. Nastrojowa muzyka. Zaproszenie, żeby się rozluźnić i usiadł wygodnie. Ona już tak się czuła, gdyż zdążyła ściągnąć pantofle. No i brandy.

Była to scena żywcem z jednego ze starych filmów z Doris Day i Rockiem Hudsonem, w których wieczna dziewczica, to znaczy Doris, znajdowała się na progu utraty czci. Z jednym drobnym wyjątkiem. Tym razem to on grał rolę dziewczicy.

Przytrzymał palce Andie na karafce.

Poczuła dreszcze przebiegające przez ciało. Niecierpliwie i w napięciu czekała na następny ruch Jima.

- Czy przypadkiem nie zamierzasz mnie uwieść? - zapytał nagle.

Andie poczerwieniała. Nie przypuszczała, że będzie musiała cokolwiek mu wyjaśniać. Była przekonana, że Jim momentalnie zorientuje się w sytuacji i weźmie sprawę w swoje ręce.

- Andrea?

Powoli, bardzo powoli puścił jej palce i przeciągnął dłonią wzdłuż ręki i ramienia aż do szyi i podbródka. Delikatnie, czubkiem palca odwrócił do siebie twarz Andie.

Nadal miała spuszczone oczy. Milczała.

- Spójrz na mnie - powiedział miękko głosem. Posłusznie podniosła wzrok.

To, co w nich zobaczył, potwierdziło przypuszczenia.

- Do licha - mruknął - ? więc naprawdę usiłujesz mnie uwieść.

- Masz coś przeciwko temu?

- Hm... To znaczy... - W kącikach ust Jima pojawił się figlarny uśmiezek. - Mógłbym zaprotestować i oświadczyć, że nie należę do łatwych facetów, którzy... i tak dalej. Sama wiesz. Ale...

- Ale co? - spytała szeptem.

- Oboje wiemy, że byłoby to gigantyczne kłamstwo.

- A więc nie chodzi o twoją cnotę. To chcesz mi powiedzieć?

- Mniej więcej.

- Ulegasz pokusom?

- Jasne.

- No to... - Andie przysunęła twarz bliżej ust Jima. Czekwała na pocałunek. Przymknęła powieki.

- Jest jeszcze jedno pytanie - powiedział cicho, odwlekając czekającą go przyjemność.

Andie westchnęła i otworzyła oczy.

- Jakie?

- Co sobie o mnie pomyślisz i czy jutro rano będziesz mnie nadal szanowała?

Parsknęła śmiechem.

- To zależy od tego, jak się spiszesz dzisiejszej nocy - oznajmiła odważnie, przyciskając wargi do jego ust. Nie była w stanie dłużej czekać.

Nie musiała mówić, co powinien robić. Sam świetnie wiedział.

Zanurzył palce w jej miękkich włosach, a potem spracowaną, pełną odcisków dłonią objął policzek, równocześnie przesuając palcem po dolnym obrysie twarzy.

Andie nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo trwał pocałunek, sekundy czy godziny, ale był dokładnie taki, jaki

powinien być. Na przemian miękki i delikatny, łagodnie nakłaniający do odwzajemnienia, oraz mocny i gorący, domagający się odpowiedzi. Wargi Jima albo lekko przesuwały się po jej własnych, albo przenikały głębiej. Drażnił ją językiem i zaraz potem łagodził mocną pieśczołą. Wszystko to było niezwykle podniecające.

W końcu uniósł głowę i spojrział jej w oczy. Oboje byli rozpaleni. Oddychali ciężko i nierówno. Pożądali się coraz bardziej.

Jim uniósł się na łokciu.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - zapytał szeptem. Skinęła głową. Była pewna, ale...

- Nie biorę pigułek - wyznała odważnie. Bądź co bądź, jest przecież kobietą nowoczesną, a one same dbają o siebie.

- Ale mam kilka...

- Ja też - odparł. Uśmiechnął się przy tym łobuzersko.

- Bez nich nigdy nie wychodzę z domu.

- Skoro tak... - Andie ujęła w dłonie twarz Jima - przestań gadać i pocałuj mnie.

- Dobrze, proszę pani - szepnął chrapliwie.

Objął Andie jedną ręką, wsuwając ją pod kark, a drugą odgarnął bawełnianą koszulkę i zaczął pieścić piersi. Przez cały czas obsypywał Andie pocałunkami. Delikatnymi i czułymi. Raz szybkimi, a raz powolnymi. Całował policzki, okolice nosa i powieki. Szeroko rozwartymi ustami przesuwał po szyi. Ssał i całował piersi, a potem wziął do ust naprężony sutek.

Doznania były niesamowite. Andie wygięła się w łuk, dopominając się dalszych, mocniejszych pieśczoł. Zapragnęła otrzymać wszystko, co tylko mógł jej ofiarować. To, czego była pozbawiona przez wiele długich lat. Ocierała się biodrami o ciało Jima. Pragnęła, aby ją wziął. W jego

ramionach przeistoczyła się - drżała od miotających nią namiętności, pożądała do bólu każdym nerwem ciała.

- Powoli, słonko, powoli - szepnął, usiłując ją uspokoić.

- Zwolnij tempo. Nie musimy się spieszyć. Przed nami cała noc.

Wsunęła palce w jego grube, jedwabiste włosy.

- Teraz - zażądała. Wszystko w niej krzyczało: Teraz, teraz, teraz!

Nie mógł się oprzeć tej prośbie. Podniósł się na łokciach i zsunąwszy z kanapy, ukląkł obok na podłodze. Andie wyciągnęła ręce i na ślepo zaczęła szarpać go za koszulkę, żeby przyciągnąć z powrotem do siebie.

Uwolniony się od ruchliwych rąk, rozpiął spodnie Andie. Pod sztywnym, poplamionym roboczym kombinezonem miała bawełniane, bardzo skąpe majteczki, białe w delikatne różowe kwiatuszki, i biały podkoszulek, który podciągnął jej aż pod szyję, kiedy całował piersi.

Jim przesunął dłońmi po szczupłych, długich nogach i płaskim brzuchu. Małe, idealnie ukształtowane piersi wieńczyły sterczące, różowe sutki. Zamierzał ją pieścić długo i bardzo powoli, ale Andie złapała go mocno za rękę, nakłaniając do przyspieszenia tempa.

- Dotknij mnie - szepnęła.

Była gotowa. Błyskawicznie po raz pierwszy osiągnęła rozkosz. Po chwili zaczęła domagać się więcej.

- Proszę - szeptała. - Błagam... Nadal nie była zaspokojona.

Jim sięgnął do kieszeni po prezerwatywę. Po paru chwilach nachylił się nad Andie i jednym ruchem znalazł się w niej.

Wygięła ciało w łuk. Pociągnęła Jima za sobą ku otchłani szaleństwa.

Kiedy było po wszystkim, padli półżywi z wyczerpania i wysiłku.

Pierwszy oprzytomniał Jim. Uniósł brwi i ze zdziwieniem spojrzął na Andie.

- Przeszedłem sam siebie - oznajmił.

Popatrzyła na niego błędnym wzrokiem. Była jeszcze mało przytomna.

- W ogóle jestem dobry - oświadczył nieskromnie, układając się wygodniej na kanapie - ale nie aż tak.

Andie spojrzała na niego z uśmiechem.

- Byłeś wspaniały.

- Jasne - przytaknął z łobuzerskim błyskiem w oczach. - Nie to jednak miałem na myśli. Byłaś gotowa, zanim zdążyłem cię dotknąć. - Podniósł się i usiadł na brzegu kanapy. Czubkiem palca musnął pierś Andie. Natychmiast stanął na baczność różowy sutek. - O, widzę, że jesteś gotowa do następnej rundy.

Speszona obciągnęła koszulkę i lekko odepchnęła dłoń Jima. Uznała, że powinna się wytłumaczyć.

- W... tych sprawach miałam sporą przerwę - oznajmiła spokojnym głosem.

- Sporą przerwę? - powtórzył. Głaskał teraz wewnętrzną stronę jej ud. - Jaką?

Andie ponownie poczuła jak napinają się mięśnie nóg.

- Parę lat.

- Lat? - zdziwił się Jim. Na chwilę zatrzymał rękę. - Więcej niż rok?

- Tak.

- Niż dwa? - Znow zaczął głaskać skórę Andie.

- Tak - odparła i z wrażenia, jakie wywoływała pieszczota Jima, zamknęła oczy.

- Trzy?

- Ach! - Poczuła męską dłoń wysoko między udami.

- Więcej niż trzy?
- Tak... więcej.
- O ile?
- Och, jak dobrze... Osiem. Ręka Jima zamarła.
- Osiem? Nie byłaś z nikim od ośmiu lat?
- Tak.

Ogromnie go to zaskoczyło.

- Biedna - uzalił się nad nią. - Nic dziwnego, że byłaś aż tak spragniona. - Złapał Andie za rękę i wciągnął sobie na kolana. Miał teraz przed sobą jej twarz. - Zdejmijmy to wszystko - zaproponował, sięgając po rąbek koszulki.

Jak grzeczne dziecko podniosła rękę i pozwoliła przeciągnąć sobie koszulkę przez głowę. Jim ujął w dłonie obie piersi.

- Są śliczne - oznajmił, całując kolejno różowe sutki. Przesunął rękę wzdłuż obnażonego ciała Andie do talii. I niżej. - Wszystko masz takie śliczne...

Zaczerwieniła się i przytrzymała dłoń błędzącą po uwrażliwionym ciele.

Zagarnął jej dłoń i podniósł do ust. Pocałował powoli, bardzo powoli wszystkie palce. A potem położył rękę na podbrzuszu Andie. I przesunął jeszcze niżej.

- Jesteś śliczna. Wszędzie... Tu też... Powinnaś sama się o tym przekonać.

Wiła się i jęczała. Była podniecona jak nigdy przedtem. Jim przyciągnął ją do siebie, aby poznała reakcję jego ciała. Połączył się z nią powoli. Bardzo powoli.

- Spokojnie, dziecino. Spokojnie - nakazał, gdy zaczęła się rzucać jak szalona, przyspieszając nadany przez niego rytm. - Masz jeszcze bardzo wiele do nadrobienia.

Wcale nie wypili kawy. Stała nietknięta i zimna w ładnych porcelanowych filiżankach na wiklinowej tacy.

Kochali się na podłodze, leżąc na wielobarwnym dywanie. Potem na schodach. W końcu pod prysznicem, gdy letnia woda chłodziła rozpalone ciała.

Kochali się przez całą noc. Śmiejąc się i pieszcząc nawzajem. Raz szaleńczo, a raz powoli. Nad ranem byli tak wykończeni, że jak nieżywi padli na łóżko.

ROZDZIAŁ 6

Tym razem niezawodny budzik Andie nie spełnił swego zadania. Gdy o świcie Jim wstał z łóżka i zaczął się ubierać, ocknęła się na chwilę.

- Śpij dalej - szepnął, widząc, że otworzyła oczy.

Posłusznie przyłożyła głowę do poduszki i znów zapadła w sen. Obudziła się nagle kilka godzin później, kiedy ostre promienie słońca przedostały się przez szparę między okiennymi zasłonami i padły jej na twarz. Zerwała się z łóżka.

Dochodziła dziewiąta.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Andie spóźniła się do pracy, podczas gdy jej ekipa, i to w komplecie, zjawiła się na czas.

Widok błyszczącego, czarnego harleya, zaparkowanego na ulicy tuż za starą i zdezelowaną furgonetką Dot, wprowadził ją w drżenie. Musiała je opanować, zanim stanie z Jimem twarzą w twarz w jasnym świetle dnia. Była ogromnie skrepowana, a nawet przestraszona. Zdawała sobie sprawę, że spotkanie będzie dla niej niezwykle trudne.

Ostatniej nocy leżała naga w jego ramionach. Wyczyniała takie rzeczy, jakich nie robiła nigdy przedtem, przez dziewięć długich lat małżeństwa. Ostatniej nocy zaczęła naprawdę żyć.

A jednak zamierzała udawać przed Jimem, że nic się nie stało. Był jej pracownikiem i tak musiała go traktować. To, że ślady jego namiętnych pieszczot nosiła na całym ciele, nie mogło mieć znaczenia.

Piekła delikatna skóra, zaczerwieniona od szorstkiego zarostu Jima, kiedy ją całował. Bolały też miejsca, o których istnieniu zdążyła już zapomnieć. Mimo to czuła się wspaniale.

Rano, kiedy spojrzała w lustro, zobaczyła widoczne ślady zmęczenia i bezsennej nocy: obrzmiałe powieki i sine obwódki wokół oczu. Wyglądała jednak świetnie. Obawiała się, że każdy, kto na nią spojrzy, od razu się domyśli. Jak oni

to robią? - pomyślała z zazdrością o mężczyznach, a właściwie o sposobie, w jaki jej były mąż traktował kobietę, która była zarówno jego sekretarką, jak i kochanką. Nawet ówczesny partner Kevina dowiedział się o romansie dopiero wtedy, kiedy oboje wzięli nogi za pas. Aż do tamtego pamiętnego dnia wszystko odbywało się całkowicie zwyczajnie i rutynowo. Może na tym właśnie polegał cały sekret sukcesu mężczyzn?

Zamyślona, ze zmarszczonym czołem Andie wysiadła z furgonetki. Zamierzała zachowywać się jak zawsze, chociaż wiedziała, że nie będzie to łatwe. Jak co rano zapięła wokół talii pas z narzędziami, ujęła plastikową rączkę dużego srebrnego termosu, mimo że była w nim tylko resztką zimnej, wczorajszej kawy. Niechętnie przekroczyła jezdnię i starając się wyglądać absolutnie zwyczajnie, ruszyła chodnikiem w stronę pałacu. Tak jakby przyjdzie do pracy o godzinę później niż zazwyczaj nie było dla niej niczym nadzwyczajnym. Podobnie jak czerwony ślad na szyi, który ukryła pod nonszalancko zawiązaną niebieską chustką.

- Dzień dobry, Dan - powitała szefa kamieniarzy, stojącego na progu pałacu. Jego ekipa akurat wznosiła rusztowanie. Ustawiano je wokół pałacowej wieży po to, by ją wyremontować i zrekonstruować ozdobny ceglany mur.

Dan spojrzał na Andie.

- Wygląda na to, że z wieżą będzie mniej pracy, niż początkowo sądziłem - oznajmił, drapiąc się w głowę. - Trzeba dokładnie oczyścić cały mur i na zaprawę wstawić brakujące cegły. To wszystko. - Położył rozwartą dłoń na pięknej, starej cegle. - Dziś już takich nie robią.

- Niestety - powiedziała Andie. Rozmowa z kamieniarzem bardzo podniosła ją na duchu. Mniej pracy przy renowacji wieży było równoznaczne z niższymi kosztami materiału i robocizny, i oszczędnością czasu.

Dan nie zwrócił uwagi na jej późne przyjście. Miała nadzieję, że inni też tego nie zauważą.

Ale czy to było możliwe?

Reszta ekipy lepiej niż Dan Johnston znała rutynowy rozkład codziennych zajęć szefowej. A ponadto niektórzy przy każdej nadarzającej się okazji nękali ją kłopotliwymi pytaniami lub nawet pokpiwali sobie z niej. Wyprostowała ramiona i z uniesioną głową ruszyła do otwartych frontowych drzwi. Im wcześniej będzie to miała za sobą, tym lepiej.

Usłyszała za plecami jakiś hałas. Odwróciła się i spostrzegła Bookera, taszczącego dużą płytę.

Andie uśmiechnęła się do chłopaka. On nigdy nie nękał jej kłopotliwymi pytaniami. W obecności szefowej ledwie potrafił sklecić parę zdań. Powód był nieważny. W każdym razie Andie była teraz wdzięczna losowi za tę drobną niedogodność.

- Wczoraj wieczorem oglądałam pomieszczenia na drugim piętrze - powiedziała.

Rozejrzała się ukradkiem. Jima nie było w pobliżu. Przez chwilę zastanawiała się, gdzie jest, ale zaraz potem uznała, że nie powinno jej to interesować. Za to, co i jak robił, odpowiadał przed bezpośrednią szefową, to znaczy Dot, do której go przydzieliła. Pod tym względem to, co stało się ostatniej nocy, nie zmieniało niczego.

- Dobrze się spisałeś - pochwaliła Bookera. - Łazienka dla służby zaczyna ładnie wyglądać.

Chłopak uśmiechnął się. Było widać, że jest zadowolony.

- Dziękuję - powiedział, oblewając się rumieńcem.

- Daj mi znać, kiedy tam skończysz - dodała Andie, gdy zniknął w drzwiach, idąc po następną płytę. - Będę potrzebowała twojej pomocy w głównej łazience.

Usłyszawszy słowa szefowej, chłopak się zatrzymał.

- Dzięki - powtórzył, ale Andie już zdążyła się odwrócić. Szła przez salę. Nie wiedziała, że Brooker stanął jak wryty, i patrzył za nią długo z bardzo zdziwioną miną.

W jeszcze nie wyremontowanym salonie natrafiła na stolarza Pete'a Lindstroma. Piłą przycinał drewno na boazerię. Podniósł głowę znad roboty i lekko się skłonił. Z uśmiechem odwzajemniła powitanie, co miało oznaczać, że jest zadowolona z tego, co on robi, i przyspieszając kroku, wyszła z salonu.

W jadalni Mary Free stała u stóp wysokiej drabiny i przyglądała się, jak Tiffany ostrożnie zdejmuje ozdobną rozetę z sufitu, żeby pod nią doprowadzić nowe przewody elektryczne do żyrandola. Mary spojrzała na wchodzącą Andie.

- Przywieźli ręcznie malowane kafelki, na które tak czekałaś - powiedziała. - Jakieś pół godziny temu.

- Są kafelki? - ucieszyła się Andie. Na chwilę wysoki, przystojny mężczyzna przestał absorbować wszystkie jej myśli. Na te kafelki czekała od dawna i obawiała się, że nieprędko je dostanie. - Gdzie są?

- Na górze - odparła Mary, biorąc w obie ręce rozetę, którą podała jej Tiffany. - Dot mówiła, że gdy tylko się zjawisz, od razu mam cię o tym powiadomić.

- Powiedziała także coś innego. Że wczoraj kazałaś mnie pilnować, żebym wieczorem nie wypila więcej niż jednego drinka - powiedziała Tiffany. Wsunęła śrubokręt do otworka w pasie z narzędziami i wyciągnęła cienkie szczypce. - Podobno boisz się, abym nie skończyła tak źle jak ty.

- Słucham? - Myśli Andie znów były przepełnione szokującymi obrazami z ostatniej nocy.

- To znaczy nie została matką - odrzekła Tiffany. - No wiesz, jak to jest. Najpierw drinki... a potem ciążyowy test...

dzieci... - wyjaśniła. - Złóż to wszystko do kupy, a co otrzymasz? - spytała zadowolona ze swego dowcipu.

- Aha, zostaje się matką. Jasne. Rozumiem - odparła oszołomiona Andie, siląc się na uśmiech. Przeszyła ją fala niepokoju.

Och, byle nie to! - jęknęła w duchu.

Przed każdym zbliżeniem ona i Jim używali wczoraj nowych prezerwatyw. Jim w kieszonce dżinsów znalazł tylko dwie. Resztę miała Andie. Po wyjeździe starszego syna do Kalifornii, sprzątając jego pokój, znalazła otwarte opakowanie w szufladzie komody.

Andie zareagowała podobnie jak każda matka osiemnastoletniego syna. Zaskoczeniem, a nawet przerażeniem. Dla niej syn był nadal chłopcem. Przemogła się i pełna niepokoju zadzwoniła do Kalifornii. Odbyła z synem trudną rozmowę, krępującą dla obojga. O zawartości szuflady potem całkiem zapomniała.

Aż do ostatniego wieczoru.

Ostatniego wieczoru upadła tak nisko, że wzięła prezerwatywy własnego syna! Pewnie umarłaby ze wstydu, gdyby musiała się tłumaczyć Kyle'owi z braków w opakowaniu. Byłoby to jednak lepsze niż zajście w ciążę.

Mimo że uwielbiała rolę matki i chętnie miałyby jeszcze jedno dziecko, warunki jej na to nie pozwalały. No i nie mogłaby mieć dziecka z mężczyzną, który był tylko...

Nie potrafiła znaleźć odpowiedniego określenia, które brzmiałoby przyzwoicie. To ona, Andrea Wagner, odpowiedzialna matka trojga dzieci, ni stąd, ni zowąd poszła do łóżka z nieznajomym. Nabrała ochoty na przystojnego, młodego ogiera i spędziła z nim jedną noc.

Ale jaką noc!

Nie żałowała tego, co się stało.

Wiedziała jednak, że to się nie powtórzy.

I powtórzyć nie może.

A gdyby jednak miało jeszcze raz nastąpić, to tylko pod kilkoma warunkami. I sama kupi nowe opakowanie...

Co to za idiotyczne myśli! Jak mogła do nich w ogóle dopuścić!

Jest oczywiste, że to nie może się więcej powtórzyć.

- Andie, marnie dziś wyglądasz - stwierdziła Tiffany, gdy zeszła z drabiny. - Może powinnaś dłużej zostać w łóżku. Najlepiej z jakimś facetem. Mała poranna gimnastyka we dwoje dobrze by ci zrobiła na cerę. - Jej uśmiech był szczery, lecz nieco lubieżny. - Z własnego doświadczenia wiem, że coś takiego świetnie pompuje krew.

- Wszystko ci pompuje krew - z przekąsem zauważyła Mary.

Andie miała nadzieję, że się nie zaczerwieniła.

- Mówiłaś, że Dot jest na górze? - zwróciła się z pytaniem do Mary, ignorując uwagi Tiffany.

- Kazała Edowi poczekać, dopóki wraz z Jimem nie wypakują całej zawartości obu skrzyń i nie sprawdzą, czy dostawa jest kompletna, a kafelki takie jak powinny, i w dobrym stanie.

- Chyba pójdę do nich i sama rzucę okiem - oznajmiła Andie.

To, że Jim był na górze, nie miało dla niej absolutnie żadnego znaczenia. Szła tam nie po to, żeby go zobaczyć. Wymagała tego jej praca. Jak zawsze, musiała przecież nadzorować innych.

Byłoby co najmniej dziwne, gdyby od razu nie poszła na piętro, żeby obejrzeć kafelki. Od wczorajszego dnia nic się nie zmieniło. Andie nie zamierzała zachowywać się inaczej tylko dlatego, że spędziła z Jimem upojną noc. Nadal był jej pracownikiem.

- Nie uważasz, że Andie wygląda na zmęczoną? -
Wychodząc z jadalni, usłyszała pytanie Tiffany skierowane do Mary. - Czy czuje się dobrze?

- Za dużo ostatnio pracuje. Dot mówi, że ona... - Zaczęła Mary, ale odgłosy piły Pete'a zagłuszyły pozostałe słowa.

Andie wystarczyło jednak, żeby się zawahała. Stała u stóp schodów i kurczowo zacisnęła palce na brzegu poręczy.

Dot mówi...

Co ona takiego opowiada?

Dot była przeciwieństwem Brookera. Nie bała się wyrażać swych opinii przy szefowej. Była wygadana, bezpośrednia i spostrzegawcza. Rąbała prosto z mostu. Nie tak jak spokojna i powściągliwa Mary Free.

Dot była bliską przyjaciółką Andie. I na pewno nie obawiała się powiedzieć jej, co myśli o nocy spędzonej na miłosnych szaleństwach z mężczyzną, którego ledwie знаła. I do tego własnym pracownikiem.

Andie się wahała. Bała się zarówno tego, że Dot ją zwymyśla, jak i że tego nie robi.

Obie z Natalie często wyrzekały na to, że Andie żyje bez mężczyzny. Ale jak by teraz zareagowała Dot, wiedząc, co się wydarzyło?

Pewnie przemówiłaby jej do rozumu. Wytłumaczyła, że na romans z Jimem Nicolosim jest za stara. Jeśli Dot tego nie zrobi, to kto? Na pewno nie Natalie. Przecież nie kto inny, lecz własna siostra poddała jej ten pomysł.

„Pamiętaj, jak bardzo ci się to należy” - powiedziała.

A więc Andie ostatniej nocy nadrobiła trochę zaległości. Ale co teraz?

- Udać, że nic się nie stało - mruknęła do siebie pod nosem. - Nic się przecież nie stało. Nic się nie...

Na progu salonu stanęła jak wryta. Nagle zabrakło jej tchu. Wystarczyło, żeby ujrzała Jima, a natychmiast ulotniły się wszystkie postanowienia.

Promienie słońca padające od wschodu przez duże, wykuszowe okno oświetlały jego szerokie plecy i połowę twarzy. Wolno i ostrożnie przekładał coś w dużej skrzyni. Drobinki pyłu tańczące w podświadonym powietrzu tworzyły nad jego głową złocistą aureolę. Nadawały mu niesamowity wygląd. Nieziemski...

Andie gwałtownie zamrugła, żeby pozbyć się tego obrazu. Z trudem wzięła się w garść.

Ten człowiek tylko wykonywał swą pracę.

A ona ją nadzorowała.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Ani tym bardziej niezemskiego.

Jim wyjął ze skrzyni jeden kafelek, ostrożnie usunął z niego dłonią resztki materiału izolacyjnego i podał Dot. Ona z kolei odfajkowała odpowiednią pozycję w wykazie, a potem umieściła kafelek na długim, roboczym stole. Stojący obok dostawca wyglądał na zniecierpliwionego. Musiał czekać, aż skończy się sprawdzanie całej dostawy. Dopiero wtedy otrzyma pisemne pokwitowanie odbioru.

Andie zafascynowana przyglądała się Jimowi. Tymi samymi rękoma pieścił ją wczoraj tak ostrożnie, delikatnie i powoli, jakby była bezcenną figurynką z najszlachetniejszej porcelany. Na samą myśl o jego dotyku poczuła dreszcze.

Udawanie, że nic się nie stało, będzie trudniejsze, niż przypuszczała. Znacznie trudniejsze. Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i weszła na salę.

- Dzień dobry - powiedziała donośnym głosem, wszystkich obecnych obdarzając powitalnym uśmiechem. - Przykro mi, że się spóźniłam. - Podeszła do stołu, żeby

przyjrzeć się wyłożonym na blacie kafelkom. - Och, są świetne.

Większość z nich stanowiły małe, kwadratowe płytki, ceramiczne z wymalowanymi żółtymi różami z zielonymi listkami, które po ułożeniu w głównej łazience przy listwie przypodłogowej, boazerii i gzymsie będą sprawiały wrażenie przeplatających się pędów pnącej róży.

Najbardziej wymyślne i kunsztowne kafelki były większe. Po ich ułożeniu róże utworzą duży bukiet przewiązany zieloną wstążką.

- Chyba będą pasowały idealnie. - Andie wzięła do ręki kafelek i ustawiła tak, aby oświetliło go słońce. Podziwiała z bliska piękne szczegóły, nie przypadkiem odwrócona tyłem do Jima. - Czy są wszystkie? - spytała Dot. - Zrealizowali całe nasze zamówienie?

- Na to wygląda. - Dot spojrzała na Jima, tak jakby raczej u niego, a nie u stojącego obok dostawcy szukała potwierdzenia.

- To już ostatni - odezwał się Jim, wskazując na kafelek, który Andie nadal trzymała w ręku.

Dot zajrzała do wykazu.

- A więc otrzymaliśmy wszystko - stwierdziła.

- Czy może pani pokwitować odbiór? - zniecierpliwionym tonem zapytał dostawca. - Muszę jeszcze dzisiaj załatwić inne zamówienia.

Pytającym wzrokiem Andie spojrzała na swą pracownicę.

- Wszystkie kafelki są całe - oświadczyła Dot. Andie wzięła papiery z rąk Eda.

- Zejdźmy na dół - powiedziała do niego, kwitując dostawę. - Przed wyjściem chciałabym, żeby rzucił pan okiem na kafle z holenderskiej ceramiki, z których jest zrobiony piec w kuchni. Oczywiście, jeśli znajdzie pan jeszcze trochę czasu - dodała szybko, chociaż była pewna, że Ed to zrobi.

Był człowiekiem starej daty. Niechętnie załatwiał interesy z kobietami, zwłaszcza gdy to one decydowały o poważnych zamówieniach i wydawały polecenia. Kiedy jednak chodziło o pieniądze, odrzucał na bok wszystkie uprzedzenia.

- Uszkodzone kafle musimy zastąpić nowymi. Oryginalnymi, z epoki - wyjaśniała Andie. - A jeśli się nie uda, trzeba będzie zrobić identyczne.

- To żaden problem - oświadczył Ed. Wziął pokwitowanie, dał Andie kopię, a resztę papierów wsunął do tekturowej teczki. - Mam katalogi dwóch firm, które się specjalizują w reprodukowaniu starej ceramiki holenderskiej. Może je pani zaraz obejrzeć. Leżą w furgonetce.

- Dobrze. Zrobimy to od razu, żeby pana dłużej nie zatrzymywać. Dot, powiedz Pete'owi, najszybciej jak będziesz mogła, żeby skończył boazerię w holu. Powinna być już gotowa. - Andie ruszyła w stronę drzwi. - Aha, Jim - urwała i odwróciła się w jego stronę, nie patrząc mu w twarz. - Zapakuj wszystkie kafelki. Będą bezpieczniejsze w skrzyniach, zanim się za nie zabierzemy. - Głos jej brzmiał spokojnie i rzeczowo. Wydawała polecenie Jimowi jak każdemu innemu pracownikowi. - Potem możesz wrócić do wykańczania kominka w głównej sypialni. - Spojrzała na Dot. - Chyba że masz dla niego na dziś inną robotę.

Dot potrząsnęła głową.

- Ty decydujesz. Jesteś szefową.

Tak, pomyślała Andie, schodząc za Edem po schodach w drodze do kuchni. Jestem. I zamierzam nadal zachowywać się jak szefowa.

Pół godziny później do kuchni przyszła Dot. Zastąpiła szefową siedzącą po turecku na podłodze przestronnego pomieszczenia. Andie śrubokrętem odkręcała starą, sosnową obudowę dużego, porcelanowego zlewu, osłaniającą także rury i całą armaturę.

- Zastanawiałam się, gdzie się ukrywasz - odezwała się Dot. Andie nawet nie drgnęła. Ani na chwilę nie przerywała roboty.

- Mówiłaś coś?

- Wydawało mi się, że na dziś zaplanowałaś rozpoczęcie prac w górnej łazience.

- Postanowiłam zaczekać, aż Brooker wykończy łazienkę dla służby. - A Jim do końca wyremontuje kominek w głównej sypialni,, dodała w myśli. - Uważam, że ten chłopak - mówiła, oczywiście, o Brookerze - powinien być tam ze mną od samego początku. W ten sposób więcej się nauczy.

- Hmm... - Dot oparła się o kuchenny blat i skrzyżowała ręce na piersiach. - Co się dzieje?

- Ed twierdzi, że bez większego trudu uda się wymienić na nowe popękane holenderskie kafle - wyjaśniła Andie, udając, że nie rozumiała, o co chodzi Dot. - Chciałabym, żeby udało się też uratować ten oryginalny porcelanowy zlew. Jest jednak za bardzo popękany i obity. Na szczęście, rury w ścianie są w dobrym stanie i nie wymagają wymiany. W jeszcze lepszym jest ta sosnowa obudowa. Kiedy się ją oczyści i odpowiednio wykończy, będzie wyglądała wspaniale.

- Czy on cię podrywał?

- Kto? - Andie włożyła śrubokręt do plastikowego słoika po maśle orzechowym, który stał obok. - Ed?

- Nie, nie Ed. Obie wiemy, że nie jesteś w jego typie. Woli kobiety nieco bardziej uległe.

- Dzięki losowi za tę drobną dogodność. - Andie odetchnęła z udaną ulgą.

- A więc podrywał cię Jim.

- Jim? - Andie natychmiast zeszywniała, lecz nie przerywała roboty. - Nie, oczywiście, że nie. Skąd coś podobnego w ogóle przyszło ci do głowy?

- Okropnie traktujesz dziś faceta. Lodowato. Pomyślałam sobie, że czymś musiał sobie na to zasłużyć.

- Nie. - Andie skupiła uwagę na odpornej śrubie, którą od dłuższego czasu starała się wykręcić z drewna. - Niczego nie zrobił. - Tylko sprawił, że zupełnie zwariowała...

- A może to ty go podrywałaś?

- Nie. Skądże. Oj! - Śrubokręt uderzył o podłogę, a Andie skaleczyła rękę o wystającą część śruby. - Widzisz co zrobiłaś? - zwróciła się z pretensją do Dot. Zaczęła zlizywać krew płynącą cienką strużką wzdłuż palców. - Jezu, naprawdę się skaleczyłam. - Sięgnęła do tylnej kieszeni po chustkę, żeby obwiązać rękę.

- Masz ją na szyi - powiedziała Dot.

Nie namyślając się ani chwili, Andie rozluźniła niebieską chustkę.

- Piecze jak diabli - powiedziała, ściągając ją z szyi i owijając skaleczoną rękę.

- Kara za kłamstwo. Andie podniosła wzrok.

- Co to ma znaczyć?

- Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że ktoś kogoś wczoraj podrywał - oznajmiła Dot.

Zbyt późno Andie podniosła rękę, żeby zakryć czerwony ślad na szyi.

- Przespałaś się z nim?

Nie przyszło jej nawet do głowy, żeby kłamać.

- Tak - przyznała się.

Wiedziała, że zaraz będzie musiała wysłuchać długiego kazania. Bo jaka kobieta idzie do łóżka z prawie nie znanym mężczyzną? Głupia. Była pewna, że to powie jej Dot.

Czekała ją niespodzianka.

- Hej, to całkiem fajnie - orzekła przyjaciółka. - Najwyższy czas.

Andie rzuciła jej niechętne spojrzenie.

- Czyżbyś zgadła się z Natalie?
- Nie. Skąd to pytanie?
- Nieważne. - Potrząsnęła głową. - Nieważne. - Spuściła wzrok i zajęła się zawiązywaniem rogów chustki. - Sądziłam, że mnie zwymyślasz. Powiesz, że zachowałam się bardzo głupio.
- A zachowałam się?
- Jak myślisz?
- Czy użył środka ochronnego?
- Tak, oczywiście - odparła Andie, splonąwszy rumieńcem.
- To nie jest wcale oczywiste. Możesz mi wierzyć. Wielu mężczyzn tak nie postępuje - oznajmiła Dot. - No i co? Podobało ci się?
- To nie jest twój inte... - zaczęła ostro Andie, lecz szybko skapitulowała. - Tak. Bardzo - przyznała, czerwieniąc się jeszcze silniej. - Było... - istniało tylko jedno określenie - było nadzwyczajnie.
- Czy któreś z was złamało przyrzeczenie dane innym osobom?
- Nie.
- Czy kogoś skrzywdziliście?
- N - i - e - powoli odrzekła Andie. - Sądzę, że nie.
- W czym więc problem?
- Po pierwsze, jestem od niego starsza,
- O ile? - Mina Dot świadczyła o tym, co myśli na ten temat. - O parę lat? A cóż to jest?
- Po drugie, jestem jego szefową.
- No to co?
- Profesjoniści tak nie postępują. To się może odrobić ujemnie na pracy.
- Nie odbije się, jeśli zachowasz pełną dyskrecję.
- Ponadto nie szukam związku z mężczyzną na stałe? -

- Może on też nie. Pomyślałaś o tym? Mina Andie wskazywała, że tak.

- Ale czy takie podejście do... nie sprawia, że wszystko staje się takie... Och, sama nie wiem. - Wzruszyła lekko ramionami. - Takie tanie. W złym guście.

- Czy warto? To musisz chyba ocenić sama. Jeśli jednak naprawdę chcesz wiedzieć, co myślę...

- Oczywiście.

- Idź na całość.

Andie westchnęła ciężko.

- Obawiałam się, że to właśnie powiesz.

ROZDZIAŁ 7

Jim wygładzał papierem ściernym wyschnięte tworzywo, którym wypełnił ubytki w marmurze. Wzbierała w nim złość. Po jedynej w swoim rodzaju nocy wypełnionej niezwykleymi przeżyciami, ta kobieta ma czelność niemal go nie zauważać, traktować jak kogoś obcego!

„Zapakuj wszystkie kafelki” - poleciła mu lodowatym tonem. Tak jakby był tylko pracownikiem, jednym z wielu, których zatrudniała. Jak śmie zachowywać się tak, jakby między nimi nic się nie wydarzyło!

We wszystkich dotychczasowych związkach on zakreślał granice, do których oboje mogli się posunąć. I on decydował o tym, jak szybko ma się to stać. Przywykł do panowania nad sytuacją, a także do tego, że kobieta, z którą się spotykał, hamowała jego zapędy. Zwykle interesował się kobietami bardziej uległymi i mniej samodzielnymi niż Andrea Wagner. Wszystko było więc prostsze, a role, jakie na siebie przyjmowali partnerzy, bardziej tradycyjne.

Fakt, do zbliżenia z Andrea Wagner doszło zaskakująco szybko. Prawdę mówiąc, w ogóle nie liczył się z taką możliwością. I to nie dlatego, żeby Andrea mu się nie podobała. Przeciwnie, pociągała go od pierwszej chwili. Postanowił jednak nie komplikować sytuacji, dopóki nie wypełni zadania. Nigdy by nie przypuszczał, że to ona - pewna siebie i wymagająca szefowa - przejmie na początku inicjatywę. A przecież tak właśnie się stało. Bez zachęty ze strony Andrei nie ważyłby się przekroczyć pewnych granic. Ich wspólna noc okazała się czymś zupełnie wyjątkowym nie tylko dla niego, lecz także dla niej. A teraz udaje, że nic się nie wydarzyło!

Jim ze złością zmiażdżył w ręku kawałek papieru ściernego i klnąc pod nosem, rzucił nim w ścianę. Już wiedział, co robi.

Zostawi tę piekielną robotę, odnajdzie Andreę i wszystko jej wygarnie.

Uprzedziła go jednak, bo nawet nie zdążył odejść od kominka, gdy nieoczekiwanie pojawiła się w drzwiach.

- Czy możemy porozmawiać? - spytała łagodnym tonem, obdarzając Jima słabym uśmiechem.

Na jej widok trochę ochłonął. Miał nieprzepartą chęć podejść i przytulić ją, ale górę wzięła zraniona męska duma.

- Ty tu rządzisz - powiedział z obrażoną miną. - Więc mów.

Andie rzuciła mu spłoszone spojrzenie.

- Jesteś na mnie wściekły. Zasłużyłam na to swoim zachowaniem. Przepraszam - wyrecytowała jednym tchem. - Nie chciałam zranić twych uczuć.

- Wcale ich nie zraniłaś - zaprzeczył szybko Jim, chociaż chyba miała rację. - Rzeczywiście, byłem wściekły - przyznał otwarcie.

- Przepraszam. - Andie podeszła bliżej i stanęła na wprost Jima. - Chciałabym móc zacząć od nowa.

- Od nowa? To znaczy od czego? - zapytał z przekąsem.

- Od nowa, to znaczy od dzisiejszego ranka. Moje zachowanie było godne pożałowania i wstydzę się za nie.

- A ostatniej nocy?

- Ostatniej nocy?

- Czy ostatniej nocy twoje zachowanie też było godne pożałowania? - zapytał głosem zimnym i beznamiętnym, tak jakby mało go obchodziło, co zaraz usłyszy.

- Wcale się go nie wstydzę - odrzekła po chwili Andie. - Ostatnia noc była cudowna. Nie żałuję ani jednej minuty.

Zmiękło mu serce, ale duma nadal pozostawała urażona. Zanim wybaczy tej kobiecie, potrzebne będzie zadośćuczynienie.

- Dlaczego więc traktowałaś mnie dziś jak kogoś zupełnie obcego?

- To było głupie. - Andie za wszelką cenę starała się ułagodzić Jima. - Nie wiedziałam, jak postąpić. - Podniosła na niego błagalny wzrok. - I nadal nie wiem. Wybaczysz mi?

Musiał to zrobić. Stała tak blisko, wpatrując się weń z nadzieją wielkimi niebieskimi oczami... Zapach perfum drażnił mu nozdrza, a zarazem podniecał...

- Wybaczam. - Jim położył ręce na ramionach Andie i nachylił się nad nią.

- Nie. - Powstrzymała go, kładąc mu dłoń na piersi. - Nie tutaj.

Znów uraziła męskie, wybujane ego.

- Dlaczego? - zapytał podejrzliwie.

- Może nas ktoś zobaczyć - wyjaśniła szybko, tak jakby on o tym nie wiedział.

Słowa Andie dotknęły go do żywego. Zdjął dłonie z jej ramion i cofnął się o krok.

- Sądziłem, że się nie wstydzisz.

- Nie wstydzę, ale to miejsce pracy. Jestem tu szefem i muszę zachować autorytet. Nawet w zwykłych okolicznościach to rzecz trudna dla kobiety pracującej w moim zawodzie. Czy możesz sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby ktoś tutaj wszedł i zobaczył, że całuję się z jednym z moich pracowników?

- Sądziłem, że jestem kimś więcej niż tylko jednym' z twoich pracowników - oświadczył sztywno.

- Nie tutaj. Tu nie jesteś - odparła szybko, zanim zdała sobie sprawę, jak Jim to przyjmie. - Och, nie patrz na mnie takim wzrokiem - powiedziała, widząc jego ponurą minę. - Wiesz dobrze, co mam na myśli.

Wiedział, co miała na myśli. I wcale mu się to nie podobało. Wsadził ręce do kieszeni i lekko się przygarbił. Rzucił Andie pełne wyrzutu spojrzenie.

- Praca to praca - oznajmiła sentencjonalnie, jeszcze bardziej zbliżając się do Jima i zapędzając go pod kominiek. Koniecznie chciała, żeby zrozumiał jej punkt widzenia. - A przyjemność to przyjemność. I rozsądna kobieta, a właściwie każdy rozsądny człowiek, obu tych rzeczy nie łączy.

Nagle Jim poczuł się znów jak Doris Day w obowiązkowej scenie w każdym z jej filmów, kiedy to Rock Hudson zapędza ją za swoje biurko lub przypiera do ściany czy drzwi limuzyny. Z jedną drobną różnicą. Rockowi chodziło wtedy o uwiedzenie Doris, a Andie w tej chwili nie przechodziło to nawet przez myśl. Niemniej jednak Jim poczuł się głęboko urażony. Uznał, że powinien bronić swej cnoty.

Andie wyciągnęła rękę i znów położyła mu ją na piersi. Tym razem miał to być błagalny gest, a nie odmowa.

- Gdybyś zastanowił się choć przez chwilę, wiedziałbyś, że jestem... O co chodzi? - spytała, zauważywszy dziwny wyraz oczu Jima.

- Chcesz powiedzieć, że chodzi ci tylko o seks? I że mnie po prostu wykorzystujesz? - zapytał z kamienną twarzą. Ledwie udało mu się powstrzymać uśmiech. - Jestem ci potrzebny tylko w łóżku?

- Jasne, że nie - zaprzeczyła gwałtownie, mimo że Jim, używając może niezbyt fortunnych określeń, dokładnie sprecyzował to, na czym jej zależało. Nie chciała wplątywać się w żaden trwały związek. - To, co odczuwam, jest bardziej skomplikowane. Chcę, żebyśmy się... spotykali.

- Tak to też można nazwać.

Andie rzuciła Jimowi ostre spojrzenie.

- Po prostu wolę, żeby nasz związek - ciągnęła - nie stał się w miejscu pracy przedmiotem plotek i komentarzy. To

wszystko, co mam do powiedzenia - oznajmiła, z trudem nad sobą panując. Ten człowiek zachowywał się okropnie. Nie chciał jej zrozumieć. - Chyba ty też byś wolał... - Urwała na widok rozbawienia malującego się na twarzy Jima. - Co tak cię rozśmieszyło?

- Jesteś śliczna, gdy tak się przejmujesz.

Andie popatrzyła na Jima. Była zdziwiona jego reakcją. Gdzie się podziały zranione uczucia i urażone męskie ego?

- Uważasz to wszystko za dobry żart, prawda? Nie słuchałeś mnie. - Uderzyła dłonią o pierś Jima, równocześnie odpychając się od niego. - A więc dobrze. Zapomnij o wszystkim. I nie...

Złapał ją za nadgarstek, nie pozwalając odejść.

- Andrea, słonko, uważnie słuchałem twoich słów. I zgadzam się z tobą. Ja tylko...

- Nie nazywaj mnie słonkiem. - Andie usiłowała wyrwać rękę. - Puść mnie.

- Co ci się stało?

- Nie rozumiem.

- W rękę.

- W rękę? - Musiała rzucić na nią okiem, by przypomnieć sobie, co się stało w kuchni. - Nic takiego. To tylko małe draśnięcie. Puść mnie.

- Chustka jest mocno zakrwawiona. Do licha, przestań się wreszcie wrywać i stój spokojnie. Pozwól, niech obejrzę skaleczenie. Za chwilę będziesz mogła mnie uderzyć, bo widzę, że masz na to ochotę.

- Nie zamierzałam cię bić - oznajmiła, gdy Jim wolną ręką odwijał niebieską chustkę. - W przeciwieństwie do niektórych. .. - spojrzała znacząco na Jima - nie potrzebuję siły fizycznej, by zrobić swoje. Ach! Ssss! - Skrzywiła się i wciągnęła powietrze.

- Materiał przywarł do rany - stwierdził Jim, tak jakby Andie nie poczuła bólu. - Trzeba namoczyć.

- Och, na litość boską, przestań się ze mną cackać. Po prostu oderwij. - Andie zamknęła czy. - No, już. Nic mi się nie stanie.

- Kiedy nie mogę.

Otworzyła oczy. Zanim Jim zdołał ją powstrzymać, wolną ręką złapała chustkę i mocno szarpnęła. Z otwartego skaleczenia popłynęła świeża krew. Andie zaczęła delikatnie wsączać ją w chustkę.

- Daj. - Jim wepchnął poplamioną chustkę za pas z narzędziami. - Jest brudna. Masz to. - Z tylnej kieszeni wyjął czystą chusteczkę do nosa i przyłożył do skaleczenia. - Gdzie jest apteczka? - zapytał.

- Nie potrzebuję żadnej pomocy - zaprotestowała Andie. - To małe zadrażnienie. Zaraz przestanie krwawić.

- Coś takiego łatwo zainfekować.

- Nic mi nie będzie. W zeszłym roku miałam robiony zastrzyk przeciwțęzcowy.

- Gdzie jest apteczka?

- W mojej skrzynce z narzędziami. W głównej łazience. Jim zaprowadził protestującą Andie do łazienki.

- Siadaj - kazał jej usiąść na opuszczonej mahoniowej desce zakrywającej zabytkowy sedes z malowanej porcelany. - Przytrzymaj przez chwilę. - Umieścił jej palce na chusteczce i odwrócił się, żeby otworzyć skrzynkę z narzędziami.

Andie zaczęło się podobać, że tak się o nią troszczy. Obserwowała Jima, gdy sięgał po apteczkę. Był pewny siebie i nieco despotyczny, ale równocześnie taki miły... Żaden mężczyzna nie skakał tak jak on teraz wokół niej od... od niepamiętnych czasów. Prawdę powiedziawszy, od chwili gdy jako młoda dziewczyna opuszczała dom ojca.

Nathan Bishop zawsze był opiekuńczy, bez względu na to, czy kobiety sobie tego życzyły, czy nie. Natomiast mąż z zasady wymagał od Andie, żeby to ona troszczyła się o niego, wręcz mu nadskakiwała. Z wiadomym skutkiem. Przysięgła sobie nigdy więcej nie powtórzyć tego błędu. Nie zostanie niczyją żoną. Nigdy.

- Podaj mi rękę - poprosił Jim, klękając przed Andie. Obok niego na ziemi stała apteczka. - No, chyba przestało krwawić - stwierdził.

- Mówiłam ci, że tak będzie.

Zignorował tę uwagę i rozerwał opakowanie sterylnego opatrunku.

- Może trochę szczypać - uprzedził.

Szczypało, i to jak diabli, ale Andie powstrzymała się od jęku i pozwoliła Jimowi opatrzeć rękę. Delikatnie oczyścił zadrażnienie, a potem na nie podmuchał, żeby mniej piekło.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- Moja siostra Janet ma czworo dzieci, a Jessie jedno. - Wytarł własne palce, a potem wycisnął z tubki trochę aseptycznego żelu i rozsmarował wzdłuż skaleczenia. Długie, lecz dość płytkie, biegło od wierzchu dłoni aż pod palce. Zaczynało już się zasklepiać, ale Jim uznał, że należy założyć opatrunek. - Żeby zachować czystość i chronić przed ponownym otworzeniem się skaleczenia - wyjaśnił, przykładając złożoną gazę i przylepiając ją plastrami.

Andie uznała tak solidny opatrunek za sporą przesadę, ale nie miała serca powiedzieć o tym Jimowi.

- Dziękuję - szepnęła.

- Nie ma za co. - Pochylił się i pocałował jej palce tuż przy opatrunku. - Teraz już wszystko będzie dobrze - dodał miękim głosem, zupełnie jakby pocieszał małego siostrzeńca lub siostrzenicę.

Andie poczuła nagle łyzy pod powiekami. Jim był taki kochany... Zamrugwała szybko i czubkami palców dotknęła jego policzka.

- Naprawdę nie chciałam zranić twoich uczuć - powiedziała łagodnym tonem, gdy spojrzał na nią zdziwiony.

- Wiem. - Odwrócił dłoń Andie i przycisnął do własnego policzka, a potem złożył na niej lekki pocałunek. - A ja wcale się z ciebie nie śmiałem - wyjaśnił. - Rozbawiła mnie nasza głupota. Zrozumiałem, co chciałaś mi powiedzieć. I zgadzam się z tobą. Flirtowanie w miejscu pracy to nie jest dobry pomysł. - Uśmiechnął się łobuzersko. - Będziemy więc flirtować gdzie indziej. Zgoda?

Andie nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Zgoda. - Zapragnęła nagle, aby Jim na przekór wszystkiemu mocno ją teraz pocałował i przytulił. Pochyliła się i zbliżyła twarz do jego twarzy.

- Andie, przepraszam, że przeszkadzam.

Drgnęła nerwowo. Pewnie zerwałaby się na równe nogi i zaczęła się niezręcznie tłumaczyć, gdyby Jim nie przytrzymał jej za kolana. Nabrała głęboko powietrza i odwróciła głowę w stronę drzwi.

- Słucham, Brooker - powiedziała spokojnie - o co chodzi?

- Mówiłaś, żebym tu przyszedł, gdy tylko skończę robotę na górze, w łazience dla służby - wyjaśnił. Był czerwony jak rak. Nawet na czubkach uszu. Przenosił zdumiony wzrok z szefowej siedzącej na sedesie na klęczącego przed nią mężczyznę. - Więc... - zająknął się - więc jestem.

- To dobrze. Bardzo dobrze. Możemy zaczynać. - Andie spojrzała na Jima. - Już wszystko gotowe?

- Tak. Jeśli będziesz chroniła opatrunek przed brudem, nic złego nie powinno się stać.

Zatrzasnął wieczko apteczki, wziął ją do ręki i podniósł się z kolan. Cofnął się, robiąc Andie miejsce.

Wstała, spojrzała na zegarek i demonstracyjnie tak wykręciła nadgarstek, żeby Brooker mógł zobaczyć świeży opatrunek.

- Już za piętnaście dwunasta - oznajmiła. - Nie ma sensu zaczynać przed lunchem. Zróbmy więc sobie już teraz przerwę na jedzenie, a my - Andie uśmiechnęła się do Brookera - spotkamy się tutaj punktualnie o pierwszej. Najpierw zajmiemy się obudową i umywalką.

- Jeśli chcesz, możemy zacząć od razu - zaofiarował się Brooker. Popatrzył spode łba na Jima. - Lunch mogę zjeść później.

- Wolałabym, żebyś nie odkładał przerwy na jedzenie. Związek zawodowy tego nie pochwała.

- A więc... dobrze. - Brooker znów spojrzał krzywo na Jima. - Wrócę najszybciej, jak będę mógł - obiecał.

- Bądź o pierwszej! - zawołała za nim Andie, gdy już zbiegał po schodach. Zwróciła się do Jima: - Sądź, że usłyszał?

- Chyba tak. Ten dzieciak uważa cię za małą, niewinną owieczkę, która nie ma pojęcia, że czyha na nią wielki, zły wilk. Jest w tobie zakochany po uszy.

- Co takiego? Zakochany? Nie, to niemożliwe. Brooker jest bardzo nieśmiały wobec kobiet.

Jim prychnął z powątpiewaniem.

- Gdyby tak było naprawdę, Tiffany dawno by go wystraszyła na dobre. Uciekłyby gdzie pieprz rośnie.

- Możliwe, że masz rację - przyznała Andie. - Tiffany jest znana z tego, że wszyscy mężczyźni ze strachu trzęsą przed nią portkami, ale Brooker dobrze sobie z nią radzi. Jestem jego szefem - przypomniała. - Dlatego trochę go onieśmielałam.

- Słonko, ten chłopak jest w tobie zakochany. Gdyby wzrok potrafił zabijać, leżałbym teraz martwy u twych stóp.

- To śmieszne. Jest najwyżej dwa lata starszy od Kyle'a.

- A oboje wiemy, że Kyle jeszcze nic a nic nie interesuje się dziewczynami - zakpił Jim, mało subtelnie przypominając Andie, co wzięła z szuflady syna.

Poczerwieniała.

- Chodziło mi o to, że mogłabym być matką Brookera. Chłopcy nie interesują się kobietami w moim wieku.

- To dziwne - oświadczył Jim, uśmiechając się kącikiem ust. - Ja się zainteresowałem.

ROZDZIAŁ 8

- No, no, no. Najwyraźniej Brooker się nie mylił - żartobliwym tonem oznajmiła Tiffany.

Andie podniosła wzrok. Siedziała na jednej z drewnianych ław w wykuszu okiennym.

- Nie mylił? - spytała niewinnym tonem, otwierając pudełko na lunch, z wymalowanym Królikiem Bugsem. Starła się zachowywać naturalnie i nie okazywać zainteresowania rozmową.

- Powiedział, że seksowny kupe... Auuu! - wrzasnęła Tiffany, gdyż Dot kopnęła ją w kostkę. Spojrzała na nią z wyrzutem. - A to za co?

Dot rzuciła jej karcące spojrzenie.

- On ma na imię Jim. Czyżbyś o tym zapomniała?

- Ach, tak. Słusznie. Przepraszam. Na śmierć zapomniałam, że nie wolno nam nazywać go seksownym ku...
- Tiffany odwróciła się w stronę Andie. - Brooker powiedział, że przyłapał Jima na tym, jak cię obściskiwał w łazience na piętrze. Czy to prawda?

- Oj, dziewczyno, jesteś piekielnie wścibska. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że prywatne życie Andie to nie twoja sprawa? - znów z dezaprobatą w głosie odezwała się Dot.

- Nic się nie stało - uspokoiła ją zainteresowana. - To nie było nic prywatnego. Po prostu Brooker mylnie zinterpretował to, co zobaczył. Jim bandażował mi dłoń. - Podniosła w górę rękę. - Miałam mały wypadek.

- A malinka na szyi? To też wypadek?

Andie odruchowo dotknęła szyi i zasłoniła kompromitujący ślad.

Dot z westchnieniem rozłożyła ręce.

- Tiffany, przestań, na litość boską!

- O co ci chodzi? Opowiadam wam wszystko o moich przeżyciach, prawdą? Żeby było sprawiedliwie, wy też powinniście mi czasem zdradzić kilka najbardziej pikantnych szczegółów.

- Nie przyszło ci do głowy, że twoje łóżkowe sprawy mogą nas w ogóle nie interesować? - spytała Dot.

Wyraz twarzy Tiffany wskazywał wyraźnie, że czegoś takiego nie brała pod uwagę.

- Nie przyszło - mruknęła. - Przecież każdy człowiek interesuje się seksem, tylko że jeden przyznaje się do tego, a inny nie. - Spojrzała spod oka na szefową. - No więc, jak było? Jest tak doby, na jakiego wygląda?

Andie westchnęła głęboko. Jeszcze nie minął pierwszy dzień jej romansu, a już stał się na budowie głównym tematem rozmów.

- Tak czy nie? - Tiffany domagała się jednoznacznej odpowiedzi.

Andie mimo woli się roześmiała. Była naiwna, sądząc, że zachowa w sekrecie spotkania z Jimem. W tej sytuacji jedynym wyjściem było przyznać się do wszystkiego. Chciała wprawdzie uniknąć plotek, ale, jak widać, się nie udało.

- Tak. - Uśmiechnęła się na samo wspomnienie. - Jest równie dobry jak przystojny.

- Wiedziałam! Od samego początku byłam tego pewna

- entuzjazmowała się Tiffany. - A więc opowiadaj.

- Tiffany, na litość boską. Okaż trochę przyzwoitości. Nie każdy lubi mówić o swoich łóżkowych sprawach. A poza tym... - Dot odwróciła głowę i spojrzała znacząco w stronę niskiego ceglanego muru, pod którym siedzieli Brooker, Matthew i jeszcze paru chłopaków z brygady kamieniarskiej

- to nie jest miejsce na takie rozmowy.

Tiffany usiadła na ławie tuż obok Andie.

- Opowiedz wszyściutko - poprosiła, ścisząc głos. - Nie pomijaj niczego.

Przez jedną krótką chwilę Andie miała naprawdę ochotę to zrobić. Przeżycia minionej nocy były tak niespodziewane i cudowne, że marzyła o tym, aby się nimi podzielić. Zapragnęła opowiedzieć o tym, jaki wspaniały okazał się Jim. Z trudem oparła się pokusie.

- Nie mogę - odparła. - To są sprawy zbyt osobiste.

- Oczywiście. Nikt nie twierdzi inaczej, ale jesteś przecież wśród samych przyjaciół. - Tiffany położyła rękę na kolanie Andie. - No, kochaniutka, wyduś to wreszcie z siebie.

Andie sięgnęła do pudełka z lunchem, wyjęła kanapkę i zaczęła rozwijać opakowanie.

- A może zamiast tego sama nam opowiesz, co działo się wczoraj wieczorem w barze Varga? - spytała, podsuwając Tiffany jej ulubiony temat. - Z tego, co mówiłaś wcześniej, wynika, że bawiłaś się doskonale.

- Nie tak jak ty - mruknęła zawiedziona Tiffany. Na wargach Andie pojawił się lekki uśmiech.

- Pewnie masz rację - przyznała bez żenady, zatapiając zęby w kromce pełnoziarnistego chleba z tuńczykiem.

- To musiało się stać podczas przerwy na lunch - powiedziała zgnębiona Mary. - Wcześniej był w porządku. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Jasne, że był w porządku - potwierdziła Tiffany. Po raz pierwszy od dłuższego czasu w jej głosie nie pobrzmiwały żartobliwe tony. - Rano wyjęliśmy żyrandol ze skrzyni i od razu sprawdziłam dokładnie, centymetr po centymetrze, czy kryształki są w komplecie. Wszystko grało. Miałyśmy zawiesić go jeszcze przed przerwą na lunch, ale instalacja skrzynki przyłączowej trwała dłużej i nie zdążyłyśmy. - Tiffany zwróciła się do Andie: - Potem przyszedł Brooker i oznajmił, że możemy zrobić sobie przerwę wcześniej niż

zwykle. Było to Mary bardzo na rękę, bo dziś wypada dzień zastrzyku przeciwuczuleniowego, na który wozi córkę. Ustawiliśmy więc żyrandol tutaj, w kącie sali, żeby nikomu nie zawadzał i był bezpieczny.

- A kiedy wróciłam - włączyła się Mary, spoglądając na leżący na boku, obtłuczony żyrandol - wyglądał właśnie tak.

- To mógł być wypadek - oznajmiła Andie. Bardzo chciała w to wierzyć. - Może po prostu się przewrócił lub ktoś niechcący go kopnął i teraz boi się do tego przyznać. Proszę, niech to zrobi. Nie będę miała żad...

- To nie był wypadek - przerwał jej Jim. Klęczał obok żyrandola, badając uszkodzenia. - Niektóre kryształki są popękane lub obtłuczone, lecz inne zostały zmiażdżone butem. Ktoś zrobił to celowo.

- Butem? - Andie położyła rękę na ramieniu Jima i nachyliła się, wpatrując w podłogę. - Skąd wiesz?

- Popatrz tutaj. - Pokazał palcem. - I tutaj. Widać wyraźnie odcisk obcasa. - Podniósł głowę i popatrzył na stojących tuż obok innych pracowników. - Niewiele więcej da się zobaczyć, bo podchodząc blisko, zatarliście ślady.

Odruchowo wszyscy cofnęli się o krok lub dwa. Kilka osób podniosło nogi i oglądało własne zelówki, żeby sprawdzić, czy nie ma na nich cząsteczek szkła. Były.

- Nie ma szans, aby policja potrafiła tu coś wykryć - oświadczył Jim, podnosząc się z kolan. - W każdym razie więcej się nie zbliżajcie, może pozostał jakiś nie zdeptany ślad.

- Po co tu policja? Nie zamierzam jej wzywać - oznajmiła Andie.

- Dlaczego?

- A co to da? Sam powiedziałaś, że przez nieuwagę sami pewnie zniszczyliśmy wszelkie dowody.

- Mimo wszystko powinnaś zawiadomić policję. Niech zrobią parę zdjęć. - Jim wskazał ręką na widoczne na podłodze, ocalałe ślady obcasa. - Niech zbadają odciski palców pozostawione na żyrandolu. Kto wie, może znajdą winnego.

- Oprócz śladów buta, nie ma żadnych innych dowodów - zauważyła Andie. - Nic więc nie wskazuje na umyślne zniszczenie żyrandola. To na pewno był wypadek.

- Oboje wiemy, że to nieprawda.

- Co mielibyśmy powiedzieć policji? Oskarżyć kogoś o włamanie się na teren budowy? Przecież to niemożliwe. - Andie pokręciła głową. - Nie może być mowy o włamaniu. Żadne drzwi nie były zaryglowane, a niektóre stały otworem. Nie było to też wkroczenie na teren prywatny, bo pałac nie jest własnością prywatną. - Nie na darmo była córką policjanta. Świetnie znała wszelkie przepisy. - Tak więc z formalnego punktu widzenia nie popełniono tu żadnego przestępstwa.

- Masz stuprocentową rację. Wszystko, co mówisz, jest zgodne z prawdą - przyznał Jim. - Gdybyśmy mieli do czynienia z odosobnionym przypadkiem, sam też byłbym zdania, że nie warto wciągać w to policji. Ale wszyscy wiemy, że tak nie jest. Te tak zwane wypadki zdarzają się tu od dłuższego czasu.

- Jim ma rację - wtrąciła Dot. - Powinnaś zawiadomić policję.

- Nie. Sama zajmę się tą sprawą. - Andie odwróciła się do pracowników stojących za nią półkolem. - Od tej chwili wprowadzimy parę nowych zasad - oświadczyła rzeczowym tonem. - Drzwi wejściowe mają być zamknięte na klucz, chyba że w pobliżu pracuje jakaś brygada, która będzie sprawdzać, kto wchodzi i wychodzi. To samo dotyczy okien

na parterze. Opuszczając pomieszczenia, należy każdorazowo zamykać okno. Od tej zasady nie ma żadnych wyjątków.

- Będzie okropnie duszno i gorąco - zauważył Pete.

- Sprowadzę wentylatory. Tiffany i Mary, uprzątnijcie odłamki szkła, zanim ktoś się pokaleczy. A potem zawieście żyrandol. Policzcie, ile brakuje kryształków, tak żebym mogła zamówić nowe. Brooker, idź na górę do łazienki i zajmij się obudową wanny. Jeśli będziesz miał jakieś kłopoty, zwróć się do Dot. Reszta niech zabiera się do roboty zgodnie z planem. - Kiedy parę osób wyraźnie się zawahało, Andie pomachała rękoma w ich stronę. - Idźcie już. Szybciej. Nie płacę wam za stanie tutaj i gapienie się jak na uliczny wypadek.

- A co sama zamierzasz robić? - zapytał Jim.

- Pojadę do sklepu po dwa wentylatory i kilka solidnych zamków.

- Sądzisz, że to załatwi całą sprawę?

- Sądzę, że jest to krok we właściwym kierunku.

- Złożenie doniesienia na policji byłoby lepsze. Andie spojrzała z wyrzutem na Jima.

- Obiecałeś, że nie będziesz dawał mi żadnych rad, chyba że sama o nie poproszę - przypomniała podniesionym głosem.

- Mówiłem, że będę się starał.

- No to staraj się lepiej.

Chciała wyminąć Jima, lecz złapał ją za rękę.

- Co masz przeciwko policji? - zapytał. - Przecież twój ojciec był policjantem.

- Właśnie - mruknęła, wyrywając rękę.

Po powrocie wieczorem do domu Andie zastała dwie wiadomości nagrane przez automatyczną sekretarkę. Pierwsza była od córki. Druga od człowieka, który ją nękał.

Już miała ją skasować, tak jak zrobiła to ze wszystkimi poprzednimi, ale się rozmyśliła. Cofnęła taśmę i jeszcze raz wysłuchiwała całego nagrania. Nie miała żadnych wątpliwości.

Chrapliwy szept pochodził od mężczyzny, który umyślnie zniekształcał swój głos. Jego słowa nie były nieprzyzwoite ani sprośne, ale budziły niepokój. „Chcę się tobą zająć” - mówił. „Pozwól mi na to”.

- Niedoczekanie, palancie - mruknęła Andie i skasowała nagranie.

Taśma nie zdążyła się jeszcze przewinać, gdy odezwał się telefon.

Zdenerwowało to Andie. Ten człowiek nigdy nie dzwonił wieczorami. Robił to tylko wtedy, kiedy nie było jej w domu.

Złapała za słuchawkę.

- Słuchaj, ty łobuzie...

- Mamo?

- Och, to ty, Emily? - Andie odetchnęła. - Miałam do ciebie dzwonić. Co słysząc, kochanie?

Andie zalał potok słów córki spragnionej zwierzeń. Uskarżała się na przemądrzałego i drwiącego z niej starszego brata, a także dziadka, który traktował ją jak dziecko. Przez bite pół godziny opowiadała matce o wszystkim, co działo się nad jeziorem Moose. Waśnie mówiła o nowo poznanym chłopaku, który pracował na przystani, gdy do uszu Andie dobiegł dobrze znany warkot silnika harleya - davidsona.

To Jim! Myślami już z nim była. Z trudem nadażwała za opowiadaniem córki. Na całą długość rozciągnęła sznur od telefonu i ze słuchawką w ręku podeszła do okna sypialni. Widziała stąd motocykl jadący w dół ulicy. Był jednak zbyt daleko, aby w człowieku w kasku mogła rozpoznać Jima. Na samą myśl o nim serce zaczęło jej bić jak szalone. Jednym uchem słuchała Emily. Postanowiła wtrącić swoje trzy grosze.

- Wiem, że chłopcy potrafią być bardzo... - powiedziała do słuchawki.

Motocykl zwolnił i skręcił na podjazd. A więc to naprawdę był Jim! Przyjechał!

Po popołudniowej kłótni wywołanej różnicą zdań na temat wypadku z żyrandolem obawiała się, że wieczorem się u niej nie zjawi. Dlatego nie wzięła prysznic, nie zdjęła roboczych ciuchów ani...

Nagle do Andie dotarły słowa córki. Zaniepokoiła się.

- Chris przyłapał cię, jak się całowałaś? - spytała. - Z kim? - Całą uwagę skupiła teraz na rozmowie. - Aha. Rozumiem. - Znow przycisnęła dłoń do głośno bijącego serca. - Nakrył cię, jak uczyłaś się całować? Ćwiczyłaś na własnej ręce? - Dzięki Bogu, Andie odetchnęła. - Nie, Emily, to nie jest żadne zboczenie. Twój brat nie wie, co mówi. Jennifer ma rację. To znaczy częściowo. Całowanie może być rzeczą bardzo miłą. Ale tylko wtedy, kiedy ma się przy sobie odpowied...

Zadzwieczał dzwonek u drzwi, ale Andie nie przerywała rozmowy.

- Odpowiednią osobę. Dwunastoletnia dziewczyna jest jeszcze za młoda na całowanie chłopaka. Aha, Jennifer ma już trzynaście lat. Uważam, że to też jest jeszcze za wcześnie. Pytasz, kiedy można? Kochanie, to zależy od wielu rzeczy. Od tego, na ile dziewczyna jest dojrzała, jak długo zna tego chłopca i od...

Znow rozległo się dzwonienie do drzwi. Andie nadal nie reagowała, skupiając całą uwagę na radach dawanych córce.

- Od różnych rzeczy - ciągnęła. - Z całowaniem nie należy się spieszyć. Najpierw trzeba się nad tym zastanowić. Poważnie pomyśleć. Co mówisz? Aha, rozumiem. Zaraz jedziesz z dziadkiem na ryby? Nie zatrzymuję cię dłużej. Wiem, jaki bywa niecierpliwy. Kończę już, kochanie, ale obiecaj mi jedno. Że będziesz jeszcze sama ćwiczyła całowanie. Przynajmniej do końca tygodnia. A gdy przyjadę do was na weekend, pogadamy sobie więcej na ten temat. Tak.

Ja też cię kocham. Do widzenia. - Ostatnie słowa powiedziała w próżnię, bo Emily już przy telefonie nie było.

Andie z westchnieniem odłożyła słuchawkę. Córka rosła i dojrzewała w zastraszającym tempie! Jeszcze tydzień temu rozmawiała o nowych strojach dla Barbie, a dziś o całowaniu. Co przyniosą następne dni? Tego nie potrafiła przewidzieć.

Dzwonek u drzwi odezwał się znowu. Tym razem natarczywie. Dopiero teraz Andie przypomniała sobie, kto czeka na ganku. Jak szalona rzuciła się otwierać.

Jim w jednej ręce trzymał pizzę, a w drugiej butelkę wina. Był wykąpany i świeżo ogolony. Miał na sobie czystą, białą koszulkę polo, sprane dżinsy i zniszczoną, brązową skórzaną kurtkę.

- Cześć - przywitała go Andie.

- Cześć. Długo nie otwierałaś i już zacząłem się obawiać, że nadal gniewasz się na mnie.

- Dlaczego miałabym się gniewać? Jim uniósł brwi.

- Po południu byłaś na mnie okropnie zła.

- Och, nie na ciebie, lecz na to, co się stało.

- Wpuścisz mnie do środka? Pizza zupełnie wystygnie.

- Tak, oczywiście. Wchodź.

Andie szeroko otworzyła drzwi. Poczwała zapach pizzy i świeżo użytej wody po goleniu. Uświadomiła sobie, że ma na sobie roboczy kombinezon, który nosiła przez cały dzień. Poczwała się okropnie.

- Zanieśmy pizzę od razu do kuchni - zaproponowała.

Wzięła od Jima pudełko i ruszyła w głąb mieszkania. - Włożymy ją na parę minut do piecyka, to się podgrzeje. - Sprawnie zajęła się pizzą. Potem otworzyła szufladę. - Tu powinien być korkociąg.

Jim chwycił ją za rękę.

- Zdjęłaś bandaż - zauważył.

- Był brudny i ciągle o coś nim zaczepiałam.

- Nie wygląda źle - oświadczył, obejrzawszy skaleczoną dłoń. - Boli?

- Nie. - Andie cofnęła rękę i sięgnęła do szafki. - A tu są kieliszki - oznajmiła. Wyjęła dwa, ostrożnie trzymając za nóżki, i postawiła na blacie obok butelki z winem. - Otwórz. Nalej sobie i, jeśli chcesz, możesz wyjść z kieliszkiem na ganek. O tej porze jest tam bardzo przyjemnie. Ja pobiegnę na górę i szybko wezmę prysznic. - Przeciągnęła palcami po włosach. - Powinnam zrobić to wcześniej, ale po przyjściu do domu słuchałam automatycznej sekretarki, a potem zadzwoniła Emily i... - Andie wzruszyła ramionami. - A w ogóle to sądziłam, że dziś się nie zjawisz.

- Dlaczego? Przecież mówiłem, że przywiozę kolację.

- Myślałam, że to ty jesteś na mnie zły - wyznała.

- Nie na ciebie, ale na to, co się stało - powtórzył jej słowa.

- Pokłóciliśmy się. Zachowałam się niegrzecznie.

- Czyżby?

Dla Andie było ogromnym zaskoczeniem, że Jim tak lekko potraktował jej popołudniowy wybuch złości. Takie sytuacje były mąż zawsze wykorzystywał przeciw niej. Za karę przestawał się odzywać. Milczał, dopóki nie zaczęła przeproszać go za swe przewinienia rzeczywiste lub urojone.

Była to jedna z jego podstawowych metod wychowawczych. Najbardziej skuteczna. Andie spodziewała się więc identycznej reakcji Jima. Na szczęście, stało się inaczej.

- Idę wziąć prysznic - powiedziała.

- Jeszcze chwilkę. - Objął Andie za szyję. Pochylił głowę. Zdziwiona, natychmiast zeszywniała.

- Nie rób tego. Jestem okropnie brudna.

Nie zważając na protesty, mocno ją pocałował.

- Mniam. Mniam. To było dobre. - Jim przytulił Andie. -
Od samego rana miałem na to ochotę.

- A ja pragnęłam od samego rana, żebyś to zrobił.

- Naprawdę? Wcale nie dałaś poznać po sobie. Świetnie się maskowałaś przez cały czas.

Andie obdarzyła Jima ciepłym uśmiechem.

- Nie przez cały. Gdy nakrył nas Brooker, wcale się nie maskowałam.

- Rozumiem. - Jim złożył lekki pocałunek na wargach Andie. - Skaleczyłaś się i to spowodowało, że na chwilę zmniejszyła się twoja odporność na tego rodzaju przeżycia.

- Wygląda na to, że kiedy tylko znajdziesz się w pobliżu, moja odporność słabnie.

- Tak? Wobec tego mam propozycję. Pójdę z tobą na górę i umyję ci plecy. Przekonamy się, czy uda mi się jeszcze trochę bardziej ją zmniejszyć. Zgoda?

Andie wysunęła się z objęć Jima.

- Najpierw kolacja. W przeciwnym razie nie będę miała siły na to, co zamierzasz ze mną zrobić, gdy obniżysz moją odporność.

- Żadna siła nie będzie ci potrzebna - mruknął pod nosem i pochylił się nad Andie, żeby pocałować jeszcze raz.

W ramionach Jima było jej dobrze. Trzymał ją mocno, a zarazem delikatnie. Niczego nie wymuszał, do niczego nie ponaglał. Całował lekko i powoli.

- Już mnie tu nie ma - szepnęła Andie, znów wysuwając się z jego objęć.

Pobiegła na górę do łazienki. W błyskawicznym tempie wzięła prysznic. Spryskała się wodą toaletową, wysuszyła ręcznikiem i przeczesала włosy. Zrobiła prawie niewidoczny makijaż. Potem stanęła na wprost szafy z lustrem, ubrana tylko w skąpe majteczki w kwiatki i pasującą do nich

koszulkę. Dopiero wtedy uprzytomniła sobie, że wszystko robi dziś odruchowo i spontanicznie.

Będąc żoną Kevina, jak przystało na zadbaną kobietę, codziennie poddawała się czasochłonnemu i nużącemu rytuałowi. Po domowych obowiązkach, żeby przypodobać się mężowi, kąpała się i przebierała od stóp do głów. Nie lubił oglądać żony ubrudzonej pracą w ogrodzie, spoconej od kuchennej roboty lub zmęczonej opieką nad dziećmi.

Kevin życzył sobie, a jego życzenie było dla niej rozkazem, żeby w domu panował idealny porządek, dzieci były grzeczne, kolacja gotowa, a żona witała go w progu domu szklaneczką whisky z wodą sodową. Łatwiej było Andie dostosować się do tych wymagań niż znosić pełne urazy milczenie męża i jego przykre docinki, gdy usiłowała mu się przeciwstawić.

Według tego samego schematu zaczęła postępować teraz w stosunku do Jima. Nie w pracy, bo tam miała ugruntowaną, silną pozycję, lecz w domu. Tutaj przeistaczała się ponownie w kurę domową. Kobieta, jakiej życzył sobie Kevin. Bezmyślne i bezwolne stworzenie. Podnózek pana i władcy.

Andie dostrzegła jednak pewną istotną różnicę. Jim niczego na niej nie wymuszał ani się po niej spodziewał.

Była dla niego atrakcyjna także w brudnym kombinezonie i roboczych butach. Całował ją nie umytą, po całym dniu pracy. Nie żywił urazy za to, że na niego krzyknęła ani nie ganił za niekobiece zachowanie, kiedy stawiała okoniem. Nie próbował karać jej własnym milczeniem ani zmuszać do głowienia się nad tym, co złego zrobiła, z jednej prostej przyczyny. Nie uważał, że Andie postępuje źle.

Postanowiła, że dziś zadba o swój wygląd i robi to nie ze względu na to, że jakiś mężczyzna tego się po niej spodziewa. Ten, który teraz czeka w kuchni, będzie zapewne zdziwiony, ujrawszy ją zbiegającą po schodach nie w dżinsach, lecz w

bardziej kobiecym stroju. Andie uśmiechnęła się do siebie w lustrze. Postanowiła zrobić Jimowi jeszcze większą niespodziankę.

Ściągnęła bieliznę i cisnęła ją za siebie na łóżko, a potem sięgnęła do szafy po luźną, bawełnianą sukienkę i włożyła ją na gołe ciało.

Sukienka miała u góry szerokie ramiączka. Jej miękki materiał lekko ocierał się o piersi i biodra. Sięgała do połowy łydki. W tym stroju Andie poczuła się wręcz frywolnie.

Dla czekającego na dole interesującego, seksownego mężczyzny stanowiła idealną partnerkę.

Przeciągnęła palcami wzdłuż pasemek włosów wijących się wokół twarzy, w jedno ucho wpięła kolczyk z perełką i nucąc pod nosem, ruszyła na dół. Jej nagie stopy poruszały się bezszelestnie na pokrytych chodnikiem schodach i gładkiej, drewnianej podłodze w korytarzu.

Wyobrażała sobie, że zaraz stanie obok Jima i naleje mu drugi kieliszek wina. Nachylił się przy tym, tak by mógł zobaczyć, co ukrywa pod dekoltem sukienki. Potem wyląduje na jego kolanach. Przyspieszyła kroku.

W czasie gdy brała prysznic i się ubierała, Jim nie próżnował. Odszukał talerze, sztućce i serwetki. Nakrył stół w saloniku. Wyłożył pizzę na okrągły półmisek, nalał wina do kieliszków i włączył muzykę, której łagodne tony wypełniły pokój.

W szafce z porcelaną znalazł świeczniki. Ustawił je przy nakryciach i zapalił świece, mimo że na dworze było jeszcze widno. A teraz zaciągał zasłonę na szerokim oknie, żeby odciąć wewnątrz pokoju od otaczającego świata i stworzyć intymny nastrój...

Wyraz twarzy Jima w pełni zrekompensował niepokój, jaki odczuwała, ubierając się dla niego tak prosto, a zarazem frywolnie. Wpatrywał się w nią z zachwytem.

Andie zrobiło się gorąco. Wytrzymała wzrok Jima i sama ani na chwilę nie spuszczała z niego oczu.

Bez słowa zsunęła ramiączka. Powiewna sukienka opadała powoli, odsłaniając nagie ciało. Niczym współczesna wersja Wenus Botticellego, Andie stała nieruchomo, a delikatna tkanina utworzyła wokół jej nóg bładoniebieską mgiełkę. Nie próbowała niczego ukrywać przed wzrokiem Jima. Nie zasłaniała się skrzyżowanymi na piersiach rękoma. Bez zahamowań i wstydu ofiarowywała mu swe ciało.

Jim stał bez ruchu, oszołomiony zarówno śmiałością Andie, jak i widokiem jej urody. Czuł, jak szaleńczo pulsuje mu krew. Uderza do głowy.

Bez słowa zaczął się rozbierać. Usiadł na krześle stojącym przy stole i rozsznurował ciężkie, czarne buty. Wraz ze skarpetkami zostawił je na podłodze. Potem ściągnął koszulę, dżinsy i cienkie spodenki.

Stali teraz przed sobą. Jak Adam i Ewa.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie. Ich wzrok palił jak ogień. Podniecał zmysły.

Andie zadrżała.

Ciałem Jima wstrząsnęły dreszcze.

Powoli zbliżyli się do siebie. Wysunęli ręce i zaczęli delikatnie się dotykać. Zgrubiałe palce Andie przesuwały się po policzkach Jima, wzdłuż szyi, po umięśnionym torsie i ramionach aż do płaskiego brzucha.

I nagle zwały się ich usta. A zaraz potem ciała. Gorące i roznamiętnione. Gotowe do najbardziej oszałamiających pieszczot.

Złączyli się i niemal równocześnie z ich ust wydarł się okrzyk:

- Och, jak dobrze!

Niezwykłe chwile zwieńczyła niewypowiedziana rozkosz. Było to cudowne odczucie.

Jimowi wydawało się, że oddał wszystko, co miał do
zaofiarowania. Ciało i duszę Umysł i serce. Dał tej kobiecie
całego siebie i było mu z tym wspaniale.

Dlaczego tak się działo?

Przyczyna mogła być tylko jedna.

- Och, Andreo! - wyszeptał chrapliwym głosem. -
Zakochałem się w tobie.

ROZDZIAŁ 9

- Jesteś we mnie zakochany? - Andie w pierwszej chwili ogarnęła radość. - Och, Jim, ja... - I wtedy wziął górę strach przed komplikowaniem sobie życia. To niemożliwe, żeby się w niej zakochał! Wcale tego nie chciała. Podobał się jej, polubiła go, i to wszystko. Ale miłość?! - Nie bądź śmieszny! - ofuknęła go.

- Śmieszny? - powtórzył Jim, nie bardzo rozumiejąc, co Andie do niego mówi. Pławił się w rozkosznym rozleniwieniu i bodźce z zewnątrz ledwie do niego docierały. Wsłuchiwał się raczej w siebie. Uprzytomnił sobie, że jeszcze nigdy nie był tak naprawdę zakochany. Swego czasu, tuż po skończeniu studiów, a miał wówczas dwadzieścia lat, pomylił pożądanie z uczuciem i mało brakowało, aby się zaręczył. Okazało się jednak, że żadne nie było na tyle zaangażowane, żeby się poświęcić dla drugiej osoby. Cała sprawa skończyła się bezboleśnie. Umarła śmiercią naturalną.

Od tamtej pory Jim przypominał motyla, fruującego z kwiatka na kwiatek. Zdawał sobie przy tym sprawę, że gdy natrafi na właściwą kobietę, jego życie się odmieni.

I oto spotkał odpowiednią kobietę.

Tylko że...

Tylko że ona zlekceważyła jego uczucia. Jim wziął się w garść. Resztkami sił uniósł się na łokciu i popatrzył na Andie.

- Co, do diabła, widzisz śmiesznego w tym, że się zakochałem?

- Śmieszny jest sam fakt. Jestem od ciebie starsza, a ponadto...

- Sześć lat to jest nic - krótko skwitował różnicę wieku.

- A ponadto jestem matką trojga dzieci.

- No to co? Lubię dzieci.

- I dlatego, że... że... - Andie urwała. Zakochani mężczyźni wiele się spodziewają po kobiecie. Mają swoje

wymagania i potrzeby. A kobiety mają spełniać wszelkie zachcianki i maksymalnie dostosować się do męskich wymagań. - Nie sądzę, aby zależało ci na trwałym związku - dokończyła po chwili.

- Też nie sądziłem, lecz wszystko wskazuje na to, że zmieniłem zdanie.

- Nie możesz tego robić. To nieuczciwe. Nie w porządku.

- Nie w porządku? Co to, do licha, ma znaczyć? Co to ma wspólnego z uczciwością?

- Uważasz, że nic? - Andie oparła ręce na ramionach Jima i lekko go odepchnęła. - A teraz się odsuń. Jestem głodna, a pizza zdążyła już wystygnąć.

- Głodna! - Jim podparł się rękoma. - Ja ci wyznaję miłość, a ty oświadczasz, że jesteś głodna? O, nie. Poczekaj. - Uniósł się na kolana i ze złością popatrzył na Andie. - Powiedziałaś, że jestem śmieszny. Śmieszny! - Poczł się ogromnie urażony. - Jeśli ktoś jest śmieszny, to tylko ty. Leżymy nago, w saloniku na podłodze, dlatego że nie potrafiliśmy ani przez sekundę trzymać się z dala od siebie. Przed chwilą kochaliśmy się jak...

- To był seks. - Andie odsunęła się od Jima. Usiadła na podłodze. O mały włos, a rozbiłaby sobie głowę o róg stołu.

- Tylko seks.

Zabolało to Jima. Bardziej, niż mógłby przypuszczać -

- Do licha, przecież się kochaliśmy. My... - Nagle w oczach Andie wyczytał coś, co powstrzymało go przed wygłoszeniem tyrady. - Ty się boisz.

- Nie bądź śmiesz... - Urwała. - Wcale nie.

- Boisz się, boisz. - Jim ujął w dłoń podbródek Andie.

- Popatrz na mnie - poleciał, gdyż spuściła oczy. - Chyba że tego też się boisz.

Uniosła powieki i spojrzała wyzywająco. Nie potrafiła jednak ukryć swych odczuć.

- Jesteś piekielnie przerażona.

- Tak ci się tylko wydaje.

- Obawiasz się mnie? Jasne, że nie - odpowiedział sam sobie. - Gdyby tak było, nigdy byś mnie nie zaprosiła. - Klęcząc nadal na podłodze, kątem oka obserwował, jak Andie wstaje, sięga po sukienkę i usiłuje włożyć ją na siebie. - Mam rację? Chodzi ci nie o mnie, lecz o słowo na literę M. Dopiero kiedy wspomniałem o miłości, zaczęłaś zachowywać się nienormalnie.

- To ty zachowujesz się nienormalnie, a nie ja - zaprotestowała ostro. - Pomyśl tylko, znamy się dwa dni. Zaledwie dwa dni! - Wsunęła sukienkę przez głowę i próbowała obciągnąć ją na sobie. Trzęsły się jej ręce. - Po dwu dniach nikt się nie zakochuje.

- Ja się zakochałem - oświadczył Jim. Wyciągnął rękę i złapał za sukienkę Andie. - Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. - Wiedział, że to święta prawda. Od samego początku go zauroczyła. A może już wtedy, kiedy pokazano mu jej zdjęcie? Czy dlatego wziął tę robotę, chociaż wcale nie miał ochoty?

Andie przestała walczyć z oporną sukienką. Stała nieruchomo. Na chwilę zaniemówiła z wrażenia. Jak dorosły mężczyzna mógł wygadywać takie bzdury?

- Och, daj spokój - odezwała się wreszcie. - Miłość od pierwszego wejrzenia? To zdarza się tylko w filmie.

- Nie tylko. Kocham cię, Andreo.

Uwielbiała sposób, w jaki wymawiał jej imię. A także sposób, w jaki wtedy na nią spoglądał. Tylko członkowie rodziny tak się do niej zwracali. Dla wszystkich innych stała się Andie. Istotą ze wszech miar kompetentną, sprawną i całkowicie pozbawioną seksu. Andrea natomiast była kimś zupełnie innym. Kobieta, której ona sama chyba do końca nie знаła. I wcale nie była pewna, czy chciałaby nią być.

- Słyszałaś, co mówiłem? Kocham cię.

- Nie kochasz. Po bardzo udanym seksie ludziom przychodzą do głowy różne dziwne rzeczy. Ale seks to nie miłość. To tylko... Przestań patrzeć na mnie takim wzrokiem.

- To znaczy jakim?

Na wszelki wypadek Andie cofnęła się o krok.

- Tak jakbyś miał ochotę na ciąg dalszy.

- Bo mam. Musisz przyznać, że początek wieczoru był bardzo udany.

- Tak, był. Dopóki nie wyrwałeś się z tą swoją miłością. - Andie cofnęła się jeszcze bardziej, unikając wyciągniętej ręki Jima. - Podnieś się wreszcie. W takiej pozie wyglądasz śmiesznie.

Nie było w tym krzty prawdy. Jim wyglądał aż za dobrze. Wspaniale. Piekielnie seksownie. Andie zapragnęła nagle rzucić mu się w objęcia i znów znaleźć się na dywanie, ale wiedziała, że tego zrobić nie może. Jim zrozumiałby to opacznie. Następna porcja seksu jeszcze utwierdziłaby go w przekonaniu, że ją kocha. Co za idiota!

Nie ruszał się z podłogi.

- Denerwujesz się, kiedy tak przed tobą klęczę? - Uśmiechnął się lekko. - Boisz się?

Wrodzone poczucie humoru kazało mu dostrzec komizm sytuacji. Zamienili się rolami. To on powinien wygłosić mowę na temat seksu i niemylenia go z miłością, w czym celują kobiety. A Andie powinna mieć łzy w oczach i domagać się miłosnych wyznań.

- Boisz się, że ci się teraz oświadczę? - zapytał jeszcze. Wpadła w panikę. Wyszarpnęła mu z dłoni skraj sukienki.

- Zostań tutaj. Pójdę podgrzać pizzę. - Złapała ze stołu półmisek i pobiegła do kuchni.

Jim podniósł się i poszedł za nią.

- Mąż musiał ci nieźle zaleźć za skórę - zauważył spokojnym tonem.

- Były mąż - mruknęła niemal odruchowo, nastawiając piecyk. - On nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu nie interesuje mnie trwały związek. To wszystko. Bardzo sobie cenię swobodę.

- Nie prosiłem, abyś z niej zrezygnowała. - Jeszcze nie, dodał w myśli.

- A ponadto nie lubię zmieniania reguł w trakcie gry.

- Andie otworzyła drzwiczki piecyka i wsunęła pizzę do środka.

- Pierwszy raz słyszę o jakiś regułach - odparł Jim. - O niczym takim nie było mowy.

- Sadziłam, że będzie to luźny związek bez żadnych zobowiązań, a ty... ty... - Nie mogła zdobyć się na to, żeby powtórzyć słowa Jima.

On natomiast nie miał żadnych zahamowań.

- A ja zakochałem się w tobie - dokończył.

- Przestań to wreszcie powtarzać! - Andie trzasnęła drzwiczkami piecyka i odwróciła się w stronę Jima.

Stał tuż na nią, kompletnie nagi. I bardzo podniecony. Oparła dłonie na ramionach Jima i go odepchnęła.

- Włóż coś na siebie, - W jej głosie przebijała desperacja. Trudno było mu się oprzeć, kiedy był ubrany, a co dopiero tak obnażonemu...

Uchwycił dłonie Andie i położył je sobie na piersi. Cofnęła się gwałtownie i uderzyła plecami o piecyk.

- Uważaj. - Objął ją w pasie i odciągnął w bezpieczniejsze miejsce. - Możesz się poparzyć.

Za późno ją ostrzegł. Już płonęła wewnętrznym ogniem. Ale postanowiła, że tym razem się oprze. Jim użył przecież słowa na literę M, byłoby więc nieuczciwie teraz się z nim kochać.

- To nie jest dobry pomysł - powiedziała. Westchnęła, gdy nachylił się i wargami musnął lekko jej szyję. - Nie...

- Odsunęła głowę. - Nie.

- Dlaczego? - Jim przeciągnął językiem po szyi Andie, aż do ucha. Kiedy poczuł, jak drży, miał ochotę się roześmiać.

- Skoro chodzi ci tylko o seks, powinnaś wykorzystać każdą sposobność.

- Ja... To znaczy... Nie chodzi tylko o seks - wymamrotała.

- Naprawdę?

- Tak. Ja... - Andie przechyliła głowę w drugą stronę, stwarzając Jimowi łatwy dostęp do drugiego ucha. - Ja...

Zębami delikatnie drażnił jej skórę.

- Co chcesz mi powiedzieć? - zapytał.

- Ja... ja cię polubiłam.

Cofnął głowę, by spojrzeć na twarz Andie.

- Polubiłaś mnie? - Na jego wargach pojawił się lekki uśmiech.

- Tak - przyznała z poważną miną. - I to bardzo. Dlatego uważam, że nie powinniśmy znowu... tego robić. W stosunku do ciebie byłoby to nie w porządku.

- Co byłoby nie w porządku? - chciał się dowiedzieć Jim.

- To. To znaczy ponowny seks.

- Zechcesz łaskawie mi to wyjaśnić?

- Nie zamierzam cię wykorzystywać.

- Nie zamierzasz mnie wykorzystywać?

- Tak.

- Dlaczego?

Jest bardzo prawdopodobne, że on naprawdę nic nie pojmuje. Jeśli chodzi o emocjonalne, subtelności, mężczyźni są tacy okropnie tępi! - uznała w duchu Andie.

- Ze względu na to, co mi powiedziałaś. Ze mnie ko... - Znow nie potrafiła się zmusić do wymówienia tego słowa. -

Mógłbyś sobie pomyśleć, że istnieje jakaś szansa - popatrzyła z powagą na Jima - a tymczasem nie masz na co liczyć.

Niezbyt się przejął tym, co powiedziała Andie. Wiedział, że przeraziła się własnej reakcji na ich zbliżenie. Tak bardzo, że postanowiła wyprzeć się jakichkolwiek emocji.

Jim poprzysiągł sobie od tej pory postępować niezwykle ostrożnie. Musi uśpić czujność Andie.

- Miło, że troszczysz się o moje uczucia - powiedział - ale to niepotrzebne. Jestem dorosłym człowiekiem. Potrafię sam zadbać o siebie.

- Ja tylko nie chciałam cię oszukiwać.

- I nie oszukiwałaś. Wyjaśniłaś, co myślisz o tym wszystkim. Zachowałaś się uczciwie.

- Ale...

Ręce Jima wędrowały tam i z powrotem od talii Andie do jej piersi, wywołując na ciele gęsią skórę.

- Moje uczucia to wyłącznie moja sprawa. Przestań się tym przejmować.

- Ale...

Przywarł do niej, obnażony i pobudzony.

- Chcesz, żebym sobie poszedł? - zapytał.

- Ja... - Andie wiedziała, że powinna przytaknąć. Byłoby to najwłaściwsze rozwiązanie.

Przez cienki materiał sukienki odszukał sutki i musnął je palcem

- Naprawdę tego chcesz?

Andie wciągnęła nerwowo powietrze. Zebrała całą odwagę.

- Nie - szepnęła. - Chcę, abyś został.

Na twarzy Jima pojawił się zwycięski uśmiech.

- To dobrze - oświadczył - i tak bym cię nie posłuchał. Pochylił się i przylgnął wargami do jej ust. Natychmiast poddała się pieścizocie. Przywarła do Jima. Całowali się teraz

tak łąpczywie, jakby czekali na to całą wieczność. Jim posadził ją na kuchennym blacie. Czubkami palców, a potem wargami i zębami pieścił naprężone sutki. Miał ochotę szeptać słowa miłości, ale wiedział, że to by ją znów wystraszyło. Najpierw musi go poczuć każdym nerwem swego ciała, a dopiero potem zaufa jego słowom.

Jim zrozumiał także, iż nie może kochać się z Andie ani na kuchennym blacie, ani na podłodze. Kobieta potrzebuje wiele czułości. Dopiero potem będzie w stanie pojąć, że jest kochana. Do tej pory zachowywał się jak samiec. Dał tylko do zrozumienia, jak bardzo jej pożąda. Teraz musi dowieść, że darzy ją uczuciem, i sprawić, aby w to uwierzyła.

Andie była tak podniecona, że gdy Jim przerwał pieścizoty i wziął ją na ręce, natychmiast zaprotestowała.

- Jeszcze nie, słonko. Poczekaj - szepnął jej do ucha.

Objęła Jima za szyję i poddała się jego woli. Musiała uczciwie przyznać, że rola zawsze dzielnej i kompetentnej Andie Wagner była bardzo męcząca. Postanowiła na ten wieczór jeszcze raz stać się Andream i pozwolić Jimowi podejmować decyzje. Jutro znów przejmie kontrolę nad własnym życiem i sprawi, że potoczy się utartym torem.

Przy Jimie czuła się doskonale. Nie musiała pilnować się na każdym kroku ani obawiać, że jest zbyt agresywna, przemądrzała lub za bardzo wymagająca. Niczym go nie szokowała. Brał ją taką, jaka jest.

Jim zaniósł Andie na górę do sypialni i postawił obok łóżka. Patrzyła, jak sprawnie zdejmuje kapę i układa poduszki. Powoli zdjął z niej sukienkę. Potem bez słowa położył Andie na łóżku.

Leżała spokojna i odprężona. Przyglądała się Jimowi, który nago, bez skrepowania, kręcił się po pokoju. Podniósł z podłogi sukienkę i powiesił na oparciu fotela stojącego w kącie. Zaciągnął zasłony. Zapalił małą lampkę na toalecie i

ustawił tak, aby światło padało na ścianę, pozostawiając w półcieniu resztę sypialni.

Potem podszedł do łóżka. Usiadł na krawędzi, podniósł do ust dłoń Andie i zaczął je całować. Instynktownie chciała podkurzyć palce, wstydząc się chropowatych, pełnych odcisków, spracowanych dłoni, ale jej na to nie pozwolił.

- Masz ładne ręce - szepnął. - Silne. Zręczne. - Otarł o policzek jej rozwartą dłoń, gestem prosząc o pieszczotę.

Palce Andie zaczęły błądzić po twarzy Jima. Pochylił głowę i delikatnie przesunął czubkiem języka po obrysie podbródka.

- I śliczne, małe uszka - dodał.

Andie westchnęła. Miłe słowa Jima działały na nią kojąco. Rozluźniła się jeszcze bardziej. Przymknęła powieki.

Na początek wystarczy tych pieszczot, uznał Jim, przyglądając się zrelaksowanej i zadowolonej Andie. Wyciągnął się na łóżku obok niej i oparł głowę na łokciu. Postanowił uruchomić arsenał słów.

- Masz wspaniałą skórę. Mięką i jedwabistą jak u niemowlaka. - Przesunął dłońmi po jej ciele. - Twoje usta są idealne. - Ucałował oba kąci. - A ta malutka blizna przy dolnej wardze ogromnie podnieca.

Andie powoli otworzyła oczy.

- Podnieca?

- Tak. Jest bardzo seksowna. Dzięki niej wyglądasz trochę tajemniczo. Zastanawiam się, skąd się wzięła.

- Kilka lat temu uderzyłam się młotkiem, kiedy usiłowałam usunąć zgięty gwóźdź - wyjaśniła.

Jim przyłożył wargi do blizny.

- Jest piekielnie seksowna. Podniecam się od samego patrzenia. - Wzrok mu płonął - Zresztą wszystko w tobie tak na mnie działa. Usta. Oczy. A najbardziej podniecający jest chyba zapach twoich perfum. I ramiona. Są piękne.

Przyglądałem ci się w pałacu, kiedy miałaś na sobie koszulkę bez rękawów. Są silne i gładkie. A twoje małe piersi to istne dzieła sztuki.

O nic nie prosząc, głaskał Andie i obsypywał komplementami.

Jeszcze nigdy nie była tak adorowana ani tak bardzo pożądana. Jeszcze nigdy nie czuła się tak bezpiecznie. Pragnęła Jima, lecz równocześnie spokojnie czekała na to, co nastąpi. Miała do niego pełne zaufanie.

Wiedziała, że Jim spełni jej najskrytsze marzenia. Zrobi wszystko, aby zaspokoić wszelkie potrzeby i pragnienia.

Chwilę przed tym, zanim wziął ją w ostateczne posiadanie, Andie zdążyła jeszcze pomyśleć, że zakochanie się w Jimie może nie byłoby całkiem złym pomysłem.

ROZDZIAŁ 10

- Och! - Andie stanęła jak wryta. Jedną rękę trzymała jeszcze na klamce, a w drugiej kurczowo ścisnęła klucz dopiero co wyjęty z zamka. - Cholera!

Stojący z tyłu Jim, który akurat w tej chwili składał na szyi Andie ostatni pocałunek przed rozpoczęciem dnia pracy, nie musiał pytać o powód przekleństwa.

Wielki napis na ścianie foyer bił w oczy jaskrawoczerwoną farbą.

OSTRZEGAŁEM CIĘ, DZIWKO, LADACZNICO!

- Przecież frontowe drzwi były zamknięte na dwa solidne zamki - powiedziała Andie, odwracając się do Jima. - Sam widziałeś, jak przed chwilą otwierałam je dwoma różnymi kluczami.

- Do pałacu prowadzą też inne wejścia - przypomniał Jim.

- Też były pozamykane. Wszystkie cztery. Sama sprawdziłam wczoraj wieczorem, bo wychodziłam ostatnia.

- Jak widać, wandal ma tak samo mało respektu dla zamkniętych drzwi, jak dla dam pracujących na budowie. - Jim uściśnął ramię Andie i stanął przed nią. - Wróć teraz do swojej furgonetki i poczekaj na mnie. Chcę sprawdzić, który zamek sforsował.

Andie nie miała najmniejszego zamiaru nigdzie chodzić ani tym bardziej beczynnienie czekać. To była jej sprawa. Wetknęła klucze do kieszeni kombinezonu, wyminęła Jima i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę ogromnych weneckich okien w salonie. Przez nie najłatwiej było dostać się do środka.

Podobnie jak wszystkie inne okna, były zaryglowane, ale to, co Andie ujrzała w środku, napełniło ją przerażeniem i gniewem. Piękny i kosztowny kryształowy żyrandol nie nadawał się już do niczego - został doszczętnie rozbity.

Dobrze chociaż, że nie zdążyła jeszcze zamówić dodatkowych kryształków, gdyż tym razem będzie musiała sprowadzić cały nowy żyrandol.

- Nie dotykaj. - Powstrzymał ją głos Jima, gdy wyciągnęła rękę po rzucony obok łom. - Mogą być na nim odciski palców.

Skinieniem głowy przyznała mu rację. Odsunęła się od bezpowrotnie zniszczonego żyrandola. Rozgoryczona i zła, w milczeniu ruszyła na obchód. Chciała obejrzeć identyczne okna weneckie w bibliotece po drugiej stronie pałacowego budynku.

- Poczekaj. - Jim złapał Andie za rękę. Zapragnął wziąć ją w ramiona, przytulić mocno do siebie i pocieszyć. Powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Wiedział jednak, że z niechęcią przyjęłaby teraz ten gest. Pewnie zrobiłaby mu awanturę, no i nie uwierzyła jego zapewnieniom. Miałaby rację, gdyż w Pałacu Belmonta naprawdę działo się źle. - Nie chodź tam sama, bo ten łobuz może gdzieś na ciebie czekać.

Andie wyjęła z pasa solidny klucz od rur.

- Mam nadzieję, że czeka - burknęła z groźną miną.

- Co zamierzasz z tym robić? - spytał Jim. Zręcznym ruchem wyrwał Andie klucz z ręki. - Każdy może tak samo łatwo cię rozbroić.

Zmierzyła go nieprzychylnym wzrokiem.

- Andree, czas zawiadomić policję.

- Najpierw sprawdzę pozostałe pomieszczenia.

- Niech się tym zajmie policja. Za to jej płacą.

- Sama muszę wszystko obejrzeć - upierała się Andie. Nie chciała, by ktokolwiek spostrzegł, jak bardzo jest zdenerwowana.

- W porządku - ustąpił Jim. Wiedział, że nie powinien przypierać Andie do muru. Mimo że pozornie trzymała się dobrze, była, jego zdaniem, bliska załamania. - Pójdziemy

oboje. Ale trzymaj się mnie. - Ruszył w stronę obszernego foyer po drugiej stronie pałacu. - I spleć ręce na plecach, żebyś odruchowo nie dotknęła czegoś ważnego.

Drzwi do biblioteki były nie naruszone, podobnie jak służbowe wejście do kuchni i małe, boczne drzwi prowadzące do ciepłarni. Weszli na piętro i dopiero tutaj, w głównej sypialni odkryli, jak złoczyńca przedostał się do środka. W oknie była wybita szyba.

Rozejrzeli się wokoło. Na świeżo otynkowanych ścianach i dopiero co z takim staraniem odnowionym zabytkowym kominku widniały ohydne napisy, wykonane sprayem.

Dziwka. Ladacznicza. Suka.

- Na szczęście, nie zdążyliśmy położyć tu tapety - szepnęła Andie.

Szkody dawały się usunąć, lecz gdyby ktoś zniszczył jedwabną tapetę, niezwykle kosztowną imitację staroświeckiej tkaniny, budżet budowy by się załamał.

- Andrea?

Spojrzała na Jima. Stał w drzwiach łączących sypialnię z salonem. Miał dziwną minę.

Andie ogarnęło złe przeczucie. Podbiegła szybko. Gdy chciała wyminąć go w drzwiach, zamknął ją w mocnym uścisku, tak jakby chciał ochronić przed tym, co zaraz miało ją spotkać.

Na pustych ścianach salonu widniały inne napisy, a z przewracanych, otwartych skrzyń ktoś powyrzucał piękne, ręcznie malowane kafelki i porozbijał obcasem.

- Boże! - Tego już było za dużo. Andie była bliska furii, a jednocześnie ogarnął ją autentyczny lęk. Miała ochotę schronić się w ramionach Jima, lecz uznała, że powinna wziąć się w garść i działać. Odetchnęła głęboko. - Masz rację - oświadczyła spokojnym tonem. - Pora wezwać policję.

Policjanci przybyli niemal równocześnie z pracownikami, którzy zbili się w gromadę przy frontowych drzwiach.

- Niech nikt nie wchodzi do środka - nakazał funkcjonariusz w cywilnym ubraniu. - Wszyscy zostaną wkrótce przesłuchani. Proszę się nie oddalać. Pani Wagner - zwrócił się do Andie - czy zechce pani wejść ze mną do budynku?

Instynktownie odszukała wzrokiem Jima, ale inny policjant po cywilnemu wziął go już w obroty. Była to typowa taktyka. Rozdzielić świadków, tak aby nie mogli ujednoczyć wersji wydarzeń. Każdy człowiek na co innego zwraca uwagę, a pod wpływem relacji innej osoby obraz może ulec podświadomemu zniekształceniu.

Andie weszła za detektywem na schody wiodące do budynku. Po przeciwnej stronie ulicy zauważyła dwoje starych ludzi obserwujących z werandy własnego domu, co się dzieje pod pałacem.

Byli to państwo Hastings. Jak zdążyła zaobserwować, dwukrotnie w ciągu dnia, regularnie jak w zegarku, po lunchu i po kolacji wychodzili z domu, aby, jak twierdzili, „zażyć świeżego powietrza”, a przy okazji zebrać i przekazać dalej wszystkie okoliczne plotki. Andie nie miała żadnej wątpliwości, że wydarzenia w Pałacu Belmonta staną się błyskawicznie na całej ulicy tajemnicą poliszynelem.

- Panie Coffey, czy nie robicie zbyt wiele hałasu wokół tej sprawy? - spytała detektywa.

Rozpoznała w nim jednego z dawnych kolegów ojca. Zwykle w takiej sytuacji na podobne wezwanie przysyłano dwóch umundurowanych policjantów. Teraz zjawiła się cała chmara. Andie wiedziała, że zaraz jedni z nich zaczną zdejmować odciski palców, inni fotografować, a pozostali przesłuchiwać świadków i spisywać zeznania. Dlatego była

tak bardzo niechętna wzywaniu policji. Robiła stanowczo za dużo szumu.

- Sąsiedzi pomyślą, że znaleźliśmy zakopane trupy lub jeszcze coś gorszego - dodała po chwili.

Detektyw wzruszył ramionami. Był chyba tego samego zdania, ale nie wypadało mu przyznać racji stojącej obok kobiecie. Widać było, że jest poirytowana.

Andrea rzeczywiście była zdenerwowana. Zamiast towarzyszyć policjantowi i udzielać nic lub niewiele wnoszących do sprawy odpowiedzi wolałaby zajmować się w tej chwili czymś znacznie bardziej konstruktywnym. Na przykład szacowaniem szkód.

- Czy nie powinniście raczej się zająć ściganiem handlarzy narkotyków? ~ spytała cierpkim tonem.

- Kiedy pani zadzwoniła, miałem akurat dyżur w komisariacie - powiedział Coffey. - Wiem, kim pani jest. Od razu skojarzyłem nazwisko.

- A więc tylko dlatego, że jestem córką pańskiego dawnego kolegi po fachu, tak energicznie zajął się pan tą sprawą? - spytała Andie.

Detektyw wyjął notes.

- Pani Wagner, jestem przekonany, że zna pani zasady policyjnego dochodzenia. Możemy przejść do rzeczy?

Andie uprzytomniła sobie, że wyżywa się na Bogu ducha winnym człowieku. Nabrała głęboko powietrza i spokojnie i zwięźle zrelacjonowała przebieg wydarzeń. Coffey zanotował niemal każde jej słowo, a potem poszli obejrzeć miejsca przestępstwa.

- Kiedy to się zaczęło? - zapytał policjant.

- Mniej więcej dwa miesiące temu. Najpierw znajdowałam tylko napisy na ścianach.

- Tylko tyle?

- Co ma pan na myśli?

- Może dostawała pani jakieś listy lub dziwne telefony?

- Nie.

Andie nie wspomniała o telefonach, gdyż była przekonana, że nie mają nic wspólnego z tym, co działo się w pałacu. Gdyby jej ojciec się o nich dowiedział, wpadłby w szal. Kazałby natychmiast założyć podsłuch na domowej linii i śledzić każdy jej ruch.

- Tylko napisy - powtórzyła. - Nie było sensu zawiadamiać policji.

- Dlaczego nie dała nam pani znać, kiedy po raz pierwszy uszkodzono żyrandol?

Andie spojrzała podejrzliwie na Coffeya.

- A skąd pan to wie? Wzruszył ramionami.

- Przed chwilą obita mi się o uszy jakaś rozmowa na ten temat.

Było to wyjaśnienie mało prawdopodobne, ale Andie postanowiła dać spokój dalszym indagacjom.

- Kto może żywić do pani urazę? Ma pani jakieś podejrzenia?

- Wielu mężczyzn patrzy krzywym okiem na kobiety pracujące w moim zawodzie. Zwłaszcza na te, które zdecydowały się założyć własne firmy i same je prowadzą. Gdy ubiegałam się o ten kontrakt, dzwonił do mnie rozżłoszczony przedsiębiorca budowlany, dostałam też przykry list od jakiegoś innego.

- Kiedy to było?

- Och, wiele miesięcy temu. Od tamtej pory w ogóle o nich nie słyszałam.

- O co konkretnie chodziło tym ludziom?

- Pierwszy oskarżał mnie o brak kwalifikacji, a drugi nawymyślał w liście, że odbieram pracę mężczyznom, a to przecież oni utrzymują rodziny. Jestem przekonana, że żaden z tych mężczyzn nie miał nic wspólnego z tym, co tutaj się

stało. Nie działali anonimowo. Nie ukrywali przede mną swych nazwisk.

- Może mi pani je podać? Zrobiła to z niechęcią.

- A jacyś dawni adoratorzy? - pytał dalej policjant. - Dała pani ostatnio komuś kosza?

Andie zeszywniała.

- Sądzę, że to nie ma znaczenia. Wandalowi chodzi o moją pracę, a nie o życie prywatne.

- Obrzucanie pani wyzwiskami może być przejawem zazdrości zawodowej. Ale mężczyźni nie mają na ogół zwyczaju nazywać kobiet dziwkami ani ladacznicami, chyba że są w jakiś sposób zaangażowani emocjonalnie. Proszę, niech pani mi powie, czy jakiś dawny lub odrzucony adorator nie kręci się w pobliżu?

- Jest pan na złym tropie. Tu chodzi tylko o moją pracę. Kobiety na budowach są bez przerwy obrzucane wyzwiskami. Sądziłam, że pan o tym wie. .

- Wiem. Tym razem chodzi o coś więcej niż zwykłe nękanie. Ten człowiek nie jest przy zdrowych zmysłach. Mówi mi to intuicja.

- Pan Coffey poruszył ważną sprawę - rozległ się za plecami Andie głos Jima. - Mnie też cała ta historia zaczyna wyglądać na jakąś osobistą zemstę.

- Obaj się mylicie - odezwała się Andie. - Widzę jednak, że macie wyrobiony pogląd na tę sprawę i nic go już nie zmieni - dodała lodowatym tonem. Jej oczy rzuciły gniewne błyski.

- Pozwólcie więc, panowie, że was tu zostawię, a sama zajmę się czymś bardziej konstruktywnym.

Do Coffeya podeszła młoda umundurowana policjantka.

- Skończyliśmy zdejmować odciski - zameldowała przełożonemu.

- I co?

- Nie ma żadnych śladów. Ktoś wytarł do czysta łom leżący w salonie i puszkę po czerwonej farbie, którą znaleźliśmy pod rusztowaniem na parterze. To samo zrobił z parapetem okna w sypialni. Prawdopodobnie włamywacz miał rękawiczki.

- Profesjonalista? - głośno zastanawiał się Coffey, spoglądając na Jima.

Jim wzruszył ramionami.

- Może tylko naoglądał się w telewizji filmów kryminalnych.

Młoda policjantka mówiła dalej:

- Benson zrobił zdjęcia odcisków buta na podłodze, widoczne też na porozbijanych kafelkach. Jest tam wiele innych śladów pracujących na budowie ludzi. Ale na ziemi obok jednej z przewróconych skrzyń znaleźliśmy to - podniosła do góry foliową torbę. - Mógł się skaleczyć, wybijając szybę.

- To wam nic nie da - odezwała się Andie, która przysłuchiwała się rozmowie. - Ta chustka należy do mnie. Wczoraj owinęłam nią skaleczoną rękę.

- Skąd więc wzięła się tam na podłodze?

- Ja ją rzuciłem - wyjaśnił Jim. - Nalegałem na Andie, to znaczy na panią Wagner, żeby pozwoliła mi opatrzyć rękę i założyć przyzwoity opatrunek.

- Na podłogę? - z wyraźną dezaprobatą powtórzył Coffey. Westchnął ciężko. - Wielka szkoda, że byliście tak nierozważni. Zatarliście wszelkie ślady przestępstwa.

Andie uznała, że musi wystąpić w obronie Jima. Obawiała się, że Coffey wyciągnie fałszywe wnioski.

- Jim był ze mną przez cały wieczór - oświadczyła i dodała odważnie: - Oraz całą noc.

Coffey wzruszył ramionami. Zaniknął notes.

- Nikt tu nikogo o nic nie obwinia - powiedział, rzucając Jimowi dziwne spojrzenie, którego znaczenia Andie nie rozumiała. Czyżby to było jakieś ostrzeżenie? Ale skąd wziął się przy tym cień uśmiechu na twarzy detektywa?

Gdy policjanci opuścili pałac, Andie nie traciła czasu. Zagoniła pracowników do roboty.

- Czas to pieniądz. Ani jednego, ani drugiego nie możemy już więcej tracić. Mary i Tiffany, zajmijcie się nieszczęsnym żyrandolem i uprzątnijcie z podłogi szkło. Zaraz potem musimy w trójkę pomyśleć o założeniu systemu alarmowego. A ty, Dot, zabierz się do zniszczonego okna w sypialni. Pete, weź Jima i wraz z Matthew zlikwidujcie ślady farby na ścianach i kominku. Booker, pomożesz mi przy skrzyniach w salonie.

- Ja to zrobię - zaofiarował się Jim. - Brooker niech idzie z Pete'em.

- Nie! - krzyknęła Andie na cały głos, jak rozsierdzony sierżant w czasie musztry.

Wszyscy zastygli w miejscu i utkwili w szefową zdumione spojrzenia. Nigdy nie zachowywała się aż tak niegrzecznie.

- No, czemu jeszcze tu sterczycie? Ruszajcie do roboty - rozkazała ekipie. - A ty, Brooker, idź od razu wyrzucić zniszczone kafelki.

Po chwili w pomieszczeniu pozostał tylko Jim. Spoglądał na Andie jak na bombę zegarową, która lada chwila może wybuchnąć.

- Jak się czujesz? - zapytał spokojnie.

- Dobrze.

- Andreo, to nieprawda. Pogadaj ze mną chwilę. Pozwól sobie pomóc.

- Nie potrzebuję niczyjej pomocy.

- W porządku. Przepraszam. Dam ci teraz spokój. Potem o tym pogadamy.

- Nie wierzę własnym oczom - z westchnieniem ulgi odezwała się Andie. - Większość kafelków jest cała. Ktoś, kto przewrócił skrzynie, zmiądzzył tylko te sztuki, które wypadły na ziemię. Jest ich ze sto, nie więcej. Reszta się uratowała. Dzięki Bogu.

- A więc jest lepiej, niż pani sądziła? - zapytał Brooker. Andie uśmiechnęła się szeroko.

- Tak. Znacznie lepiej.

- Hej!

Stając na górnym podejściu wewnętrznych pałacowych schodów, Andie dostrzegła Pete'a i Matthew. Tuż pod sufitem wysokiego foyer, na najwyższym poziomie rusztowania, usuwali i zamalowywali ślady czerwonej farby.

- Czy któryś z was wie, gdzie jest Jim? - zawołała. Ponury jak zwykle Pete mruknął coś pod nosem i ręką wskazał podłogę.

Andie przechyliła się nad balustradą.

- Jim? Podniósł głowę.

- O co chodzi? - Jego głos dochodził z dołu. Uśmiechnęła się i zbiegła po schodach.

Rzucił w kąt szmatę brudną od farby i wyszedł spod rusztowania. Wziął Andie za rękę.

- Masz weselszą minę - stwierdził. - Co się stało? Spoglądała na niego promiennym wzrokiem, nie zważając na to, że Pete i Matthew przerwali robotę i otwarcie ją obserwują. Całą uwagę skupiła na Jimie.

- Nie zgadniesz.

- No to mi powiedz.

- Większość kafelków jest w dobrym stanie.

- To świetnie, słonko - ucieszył się. Wziął ją w objęcia. - To świetnie.

Odwzajemniła uścisk. Oparła głowę o pierś Jima, żeby ukryć oczy, które podejrzenie błyszczały.

- Andrea?

- Wszystko w porządku - zapewniła szybko. - Ja wcale nie płaczę. Tylko poczułam wielką ulgę. - Zrzuciła Jimowi rękę na szyję.

Pocałował ją. Oboje zapomnieli o bożym świecie.

- Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam - po chwili dodała Andie. - Byłam tak bardzo zmartwiona, zła i...

- W porządku, dziecino. Rozumiem. Nie powinienem...

- Tak się cieszę, że jesteś tu ze mną.

Stało się coś bardzo ważnego. Przed sekundą ona i Jim przekroczyli we wzajemnych stosunkach jakąś niewidzialną granicę. A właściwie uczyniła to ona sama. Zbliżyła się do Jima. Jeśli ma ich łączyć coś więcej niż tylko seks, to niech łączy. Postanowiła, że dopuści Jima do własnego życia.

Nagle nad głową usłyszeli jakiś głośny łomot. Ktoś krzyknął ostrzegawczo. Jim spojrzał w górę i zobaczył, że z rusztowania spada na nich coś ciężkiego. Cofnął się błyskawicznie i przyciągnął Andie do siebie. W ułamku sekundy tuż obok nich przeleciała wielka metalowa puszka i z hukiem uderzyła o ziemię.

- Jezus Maria! - wykrzyknął przerażony Matthew, przechylając się przez rusztowanie, żeby spojrzeć w dół.

- Do diabła, co to było?! - ryknął z dołu Jim.

- Puszka rozcieńczalnika! - odkrzyknął Pete.

- Jesteście cali? - chciał się dowiedzieć Matthew.

U szczytu schodów stanął Brooker. Tiffany i Mary pojawiły się w drzwiach jadalni.

- Co się stało? - spytali niemal jednocześnie.

- Nic. Wszystko w porządku - odpowiedziała Andie.

- Twierdzisz, że nic się nie stało? - oburzył się Jim. - Gdyby ta puszka uderzyła cię w głowę, byłoby już po tobie.

- Ale nie uderzyła, więc nie stało się nic złego. W sobotę jadę nad jezioro Moose, do dzieciaków - oznajmiła spokojnym

tonem. Pytającym wzrokiem spojrzała na Jima. - Wybierzesz się tam ze mną?

ROZDZIAŁ 11

Andie nie miała pojęcia, jak dwoje młodszych dzieci zareaguje na widok matki w towarzystwie mężczyzny. Ojca ledwie pamiętały. Gdy zniknął z ich życia, Emily liczyła trzy lata, a Christopher sześć. Potem miały matkę wyłącznie dla siebie. Z nikim się nią nie dzieliły. Musiała się więc liczyć z jak najgorszą reakcją.

Na szczęście, obawy Andie okazały się nieuzasadnione.

Jim podbił serce dwunastoletniej Emily atrakcyjnym wyglądem i ujmującym sposobem bycia. Chrisowi zaimponował harleyem. Tylko Nathan Bishop, ojciec Andie, nie był zachwycony obecnością gościa.

- Doszły mnie słuchy, że coś cię z nim łączy - zwrócił się do córki, z niechęcią spoglądając w stronę Jima, który stojąc po pas w jeziorze, uczył Chrisa, jak utrzymać równowagę na desce surfingowej.

Zaskoczona Andie spojrzała na ojca.

- Kto ci o tym powiedział?

- Jak wiesz, nigdy nie ujawniam źródeł informacji.

- A ja nie potwierdzam anonimowych donosów - odcięła się nieodrodna córka wytrawnego policjanta.

Nie zważając na niezadowolenie ojca, zaczęła obserwować Chrisa. Słuchał uważnie wskazówek Jima i co pewien czas kiwał głową, dając do zrozumienia, że rozumie, o co chodzi.

Emily wraz z Jennifer przysiadły na brzegu, trzymając nogi w wodzie. Córka Andie miała na sobie obcięte i wystrzępione džinsowe szorty i ciemnoróżową koszulkę bez rękawów. Jej przyjaciółka była ubrana w skąpe jaskrawozielone bikini, zbyt wyrafinowane jak na nastolatkę. Andie przez chwilę zastanawiała się, jak matka dziewczynki mogła wypuścić ją z domu w takim stroju.

- Wygląda super - oświadczyła Jennifer, mając na myśli Jima. - Jak myślisz, czy on ma dziewczynę?

- Chyba moja mama jest jego dziewczyną. - Emily zerknęła przez ramię na Andie i obdarzyła ją uśmiechem.

- Czy to prawda, proszę pani? Czy to pani chłopak? - spytała Jennifer.

Andie rozbawiło niedowierzanie na twarzy ciekawskiej dziewczynki.

- Może tak, a może nie. Jeszcze się nie zdecydowałam - odparła z rozmyślną nonszalancją.

Emily zaczęła się śmiać. Ojciec Andie prychnął z dezaprobatą.

- Moja mama mówi, że nie powinno się pozwalać czekać mężczyźnie - oświadczyła przemądrzale Jennifer. - Nie trzeba grymasić, lecz łapać ich tak szybko, jak się da. W przeciwnym razie zainteresują się inną kobietą.

- Hmm. - Andie nie miała pojęcia, co powiedzieć. Spojrzała na córkę, która z zachwytem wpatrywała się w przyjaciółkę, zbyt dojrzałą jak na swój wiek. - W dzisiejszych czasach kobiety mogą przebierać w mężczyznach - oświadczyła. - Nie muszą się trzymać kurczowo jednego partnera i nie muszą się w ogóle z nikim wiązać, jeśli to im nie odpowiada.

- Ale wtedy kobieta byłaby samotna i nikt by się nią nie zaopiekował na starość - zgłosiła obiekcje Jennifer.

- Moja mama sama potrafi o siebie zadbać - oznajmiła lojalnie Emily. - I wcale nie jest samotna. Ma mnie, Chrisa i Kyle'a, a także dziadka, ciocię Natalie i wujka Lucasa oraz... - pomachała rękoma - wiele innych osób.

Andie uśmiechnęła się z zadowoleniem. Jej córka była rozsądną dziewczynką, zdrowo myślącą, o niezależnych poglądach. Jedne wakacje spędzone w towarzystwie zbyt dojrzałej trzynastolatki nie powinny mieć na nią złego

wpływu. Na wszelki wypadek, kiedy będzie rozmawiała z Emili o chłopcach i całowaniu, dorzuci parę słów o samodzielności kobiet.

- Wiem to od Coffeya - przyznał się Nathan Bishop, gdy dziewczynki zajęły się sobą. Na jego twarzy wystąpiły krwiste rumieńce. - Podobno sama mu oświadczyłaś, że spędziłaś z tym facetem noc.

- Jeśli tak, to co z tego?

- Czy to prawda?

- Tato, to nie twoja sprawa. Skoro jednak chcesz wiedzieć, spędziłam z nim noc i zamierzam zrobić to jeszcze raz.

- Nie pozwalam - ze złością powiedział półgłosem Nathan Bishop, tak żeby nie usłyszały go dziewczynki. - Nie pod moim dachem.

- Oczywiście, że nie - szybko zgodziła się Andie. - Tutaj muszę mieć dzieci na względzie.

- Powinnaś o nich pomyśleć wcześniej, zanim wplątałaś się w tę kabałę.

- Tato, nie pytam cię o zdanie.

- Do licha, jak możesz postępować tak idiotycznie? Jesteś cenionym fachowcem. Matką dzieciom. Nie powinnaś zachowywać się jak... jak...

- Jak normalna kobieta? - Andie wyciągnęła się na leżance. - Tato, spójrz z innej strony na tę sprawę. Robię tylko to, na co namawiasz mnie bez przerwy od ośmiu lat.

- Nigdy nie namawiałem cię na robienie czegoś podobnego!

- Namawiałeś. Czy nie mówiłeś, że bym znalazła sobie jakiegoś mężczyznę? Więc posłuchałam cię i znalazłam.

- Czy on się z tobą ożeni? Andie wzniosła oczy ku niebu.

- Na razie nie było o tym mowy. A jeśli będzie, powiem: nie. - Nie miała pewności, czy rzeczywiście by tak postąpiła. - Nigdy więcej nie wyjdę za mąż - dodała stanowczym tonem.

- Kobieta potrzebuje mężczyzny, który będzie się o nią troszczył - oświadczył Nathan Bishop. - Zwłaszcza kobieta z dziećmi.

- Teraz mówisz zupełnie jak matka Jennifer - powiedziała, śmiejąc się Andie, chcąc rozweselić ojca. - Tato, niepotrzebny mi mężczyzna, który zaopiekuje się mną i dziećmi. Sama potrafię nas utrzymać. - Andie wysunęła rękę i czułym gestem dotknęła kolana ojca. - Emily to rozumie. Dlaczego ty nie potrafisz?

- Chcę, żebyś była szczęśliwa.

- Wiem, tatku. Wiem. Jestem szczęśliwa. - Podniosła się z leżanki i pocałowała ojca w czubek nosa. - Mam nadzieję, że ta rozmowa pozostanie między nami.

- Co masz na myśli?

- Chodzi mi o to, żebyś nie dręczył Jima pytaniami.

- Ojciec ma prawo zapytać mężczyznę, jakie ma zamiary wobec jego córki.

- Powinieneś martwić się nie o jego zamiary, lecz o moje. Nie zamierzam ponownie wychodzić za mąż - powtórzyła, żeby jeszcze raz przekonać o tym samą siebie. - Dlatego obaj z Jimem powinniście wybić to sobie z głowy.

- Posłuchaj, malutka...

- Tato, nie jestem dzieckiem. Mam trzydzieści osiem lat. I nie życzę sobie, abyś wtrącał się w moje sprawy. Czy to jasne?

- Jasne - z niechęcią przyznał ojciec.

- To świetnie. - Andie zwróciła się do dziewczynek: - Pora zabrać się do kolacji.

Jak było do przewidzenia, wtrącił się w jej sprawy.

Andie wyszła z sypialni, którą zajmowała wraz z córką, żeby napić się wody, i przez okno kuchenne dojrzała ojca rozmawiającego z Jimem. Siedzieli nad wodą na mostku, otoczeni poustawianymi tam wcześniej i pozapalonymi świeczkami, mającymi chronić przed komarami. Obaj mieli w rękach szklaneczki z jakimś trunkiem. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że prowadzą luźną, niezobowiązującą rozmowę, lecz Andie dostrzegła, iż są sztywni i skrepowani.

Miała ochotę wypaść przed dom i zbesztać ojca, ale w porę się powstrzymała. Jim był przecież dorosłym mężczyzną i powinien dać sobie radę bez jej pomocy. Gdyby się okazało, że nie potrafi stawić czoła jej ojcu, to i przy niej miejsca nie zagrzeje.

Wypiła wodę, odstawiła na półkę wypłukaną szklanekę i wróciła do łóżka.

- Mamo, czy on jest naprawdę twoim chłopakiem? - zapytała Emily, która wsunęła się do łóżka Andie.

- Tak. Naprawdę. Co powiesz na to? Emily wzruszyła ramionami.

- Nic. To miły facet. Lubię go. Chrisowi też się podoba. Mówi, że pan Nicolosi nie traktuje go jak dziecka. Rozmawiali o poważnych sprawach. O pracy w budownictwie. Chris pytał go o blizny na ciele. Wiesz, mamo, chodzi o te, które widać tuż nad slipkami - wyjaśniła.

- Tak? - Andie jeszcze nie pytała o nie Jima, ale była ciekawa ich pochodzenia co najmniej tak jak jej dzieci.

- Chris mówił, że pan Nicolosi spadł z jakiegoś budynku i po to, żeby potem mógł chodzić, musiał przejść operację. Podobno ma prawie całe biodro z plastyku, z metalowymi gwoździami. Czasami reagują na nie detektory na lotniskach.

- Mówił to wszystko Chrisowi?

- Aha. - Emily zamilkła na chwilę. - Mamo?

- O co chodzi, kochanie?

- Czy ty i pan Nicolosi... Czy wy się całujecie? Wahanie Andie trwało zaledwie sekundę. Ze swymi dziećmi zawsze rozmawiała szczerze.

- Tak.

- Czy to jest miłe?

- Tak, nawet bardzo.

- Wyjdiesz za niego?

- Jeszcze nie proponował mi małżeństwa.

- Co zrobisz, gdy ci się oświadczy? Andie westchnęła głęboko.

- No... sama nie wiem - odparła z wahaniem. - A co powiedziała byś na to, gdybym zgodziła się wyjść za niego?

- Chyba nic. To miły facet. - Emily przytuliła się mocniej do matki.

Było późne niedzielne popołudnie.

Andie ściągnęła z głowy kask i zawiesiła na kierownicy harleya. Jim napełniał bak na drogę powrotną do Minneapolis.

- Co powiedział ci mój ojciec?

- Kiedy? - Jim nie odrywał wzroku od szybko przesuwających się cyferek na liczniku pompy.

- Wczoraj wieczorem na mostku. - Andie przeciągnęła palcami po włosach. - Prowadziliście ożywioną rozmowę.

Nadal na nią nie patrząc, Jim wzruszył ramionami.

- Twój ojciec chciał się dowiedzieć, co wiem o wydarzeniach na budowie.

- Wypytywał cię? - spytała zaskoczona.

- Tak. Co w tym dziwnego? - Jim wyjął z baku końcówkę węża i powiesił na haku na pompie. - Przecież byłem wtedy w pałacu - dodał szybko, zauważywszy gniewny błysk w oczach Andie. - Chciał mieć dokładny rap... to znaczy usłyszeć relację świadka.

- Powinnaś się domyślić. Musiał usłyszeć relację z ust mężczyzny. Moja nie była dobra. - Zdesperowanym gestem

wyrzuciła w górę obie ręce, ale w jej oczach ukazało się lekkie rozbawienie. - A ja byłam święcie przekonana, że ojciec dręczy cię z zupełnie innego powodu.

- Z jakiego powodu miałby mnie dręczyć?

Andie wzruszyła ramionami. Była trochę zmieszana.

- Twoich zamiarów.

- Moich zamiarów?

- Tak. Wobec mnie. - Odczekała chwilę, a potem wypaliła: - Powiedziałam mu, że spaliśmy ze sobą.

- Co takiego?!

- Powiedziałam, że spaliśmy ze sobą - powtórzyła Andie. Rozbawiła ją chmurna mina Jima. - Ale już o tym wiedział. Od Coffeya. Ojciec chciał tylko potwierdzenia z moich ust.

Jim nie był w stanie ukryć zdumienia.

- Coffey mówił mu, że spaliśmy ze sobą? Andie potwierdziła skinieniem głowy.

- To bardzo bliscy koledzy - wyjaśniła - jeszcze z dawnych czasów. Jeden dla drugiego zrobiłby wszystko. To dlatego między innymi nie chciałam wzywać policji. Wiedziałam, że ojciec natychmiast dowie się o wszystkim i nie da mi spokoju. - Potrząsnęła głową. - Ale przyjął to zaskakująco dobrze. Aż byłam zaskoczona jego spokojną reakcją. Zadał tylko parę pytań, zrobił kilka uwag i szybko zaczął mówić o czymś innym. To zupełnie nie w jego stylu. Dopiero teraz zrozumiałam dlaczego. Chciał omówić sprawę z mężczyzną, a nie ze mną. Sądziłam, że może do taty zaczyna wreszcie docierać, że sama potrafię o siebie zadbać. Jaka byłam naiwna!

- Jesteś przecież jego córką - odezwał się Jim, wsuwając kartę kredytową do tylnej kieszeni dżinsów. - Nathan Bishop nigdy nie uzna, że sama potrafisz o siebie zadbać. Na to nie masz co liczyć.

- Dwa dni to stanowczo za długo - żalił się Jim, biorąc Andie w objęcia, gdy tylko przekroczyli próg jej domu. Nogą zatrzęsął frontowe drzwi, wyszarpał bawełnianą koszulkę Andie zza paska dżinsów i podciągnął do góry, żeby dostać się do piersi. - Od wyjazdu ciągle myślałem o tym, że tak właśnie będę cię pieścił. Przekonaj się sama, jak bardzo je - stem podniecony. Andreo, zlituj się nade mną.

- Skoro tak prosisz... Jestem bardzo litościwa.

- Andreo. Och, Andreo.

Jeszcze nigdy przy żadnej kobiecie nie odczuwał takich emocji. Pożądał Andie i potrzebował jej. Pragnął dać z siebie wszystko. Osłaniać ją i bronić. Mieć na własność. Uwielbiać. adorować i nosić na rękach kobietę, która potrafiła sprawić, że czuł się zwycięzcą. Chciał złożyć serce u jej stóp, ofiarować całego siebie i dokonywać dla niej wspaniałych rycerskich czynów.

Teraz jednak sprawiła, że poczuł się okropnie słaby. Ledwie potrafił wymówić jej imię.

- Andrea - wyszeptał suchymi wargami. Odetchnął głęboko. - Andrea.

Zadzwoił telefon.

Ostre sygnały przecięły powietrze jak odgłosy wystrzałów w uśpionym lesie.

- Nie zwracaj uwagi - szepnął do ucha, na chwilę odrywając wargi od jej gorących ust. - Po prostu nie słuchaj.

Niestety, włączyła się automatyczna sekretarka. Po chwili w pokoju rozległ się obcy, dziwny głos.

- Ty dziwko - powiedział ktoś schrypniętym, złowrogo brzmiącym szeptem. - Ladaczniczo bez sumienia. Uprzedzałem cię, suko. Ostrzegałem. Teraz za wszystko zapłacisz. Nadeszła pora ostatecznego wyrównania rachunków.

ROZDZIAŁ 12

Jim bez słowa ruszył w stronę kuchni. Andie poszła w jego ślady, nerwowym ruchem obciągając po drodze koszulkę. Głos nagrywany przez automatyczną sekretarkę brzmiał coraz głośniejszy, groźniejszy i coraz bardziej plugawo. Wreszcie przeszedł w krzyk.

Jim poderwał słuchawkę.

- Kto mówi? - zapytał ostro.

Na drugim końcu linii zapanowała cisza. - Do diabła, kto tam jest?

Odpowiedział mu tylko przeciągły sygnał.

Rozzłoszczony, rzucił słuchawkę na widełki i odwrócił się w stronę Andie. Od razu się domyślił, że nie po raz pierwszy spotyka ją coś podobnego.

- Od kiedy niepokoją cię te telefony? - zapytał suchym tonem, rzucając jej karcące spojrzenie.

- Takich jeszcze nie było. - Na jej twarzy malował się przestraszony wyraz.

- To znaczy jakich?

- Przedtem nigdy tak donośnie nie krzyczał. Głos miał spokojny i jakby... obojętny. Telefony były denerwujące, ale zupełnie nieszkodliwe. - Andie rozłożyła ręce. - Nie przyszło mi nawet do głowy, że mogą mieć coś wspólnego z tym, co dzieje się w pałacu, aż do...

- A więc dzwonił do ciebie od dawna? Może nawet od miesięcy, a ty na to nie reagowałaś? Nie zawiadomiłaś policji?

- Po co miałabym to robić? - obruszyła się Andie. - Ojciec natychmiast by się o wszystkim dowiedział i jeszcze bardziej skomplikowałabym sobie życie. Co może zdziałać policja? Praktycznie nic. Poradzi zmienić numer telefonu i założyć w mieszkaniu solidne zamki. Nie mam zamiaru zmieniać numeru telefonu. Za bardzo utrudniłoby mi to zawodowe kontakty. A na oknach i drzwiach mam już solidne zamki.

Sama pozakładałam. Kupiłam najlepsze, jakie były dostępne na rynku.

- Andreo, to nie są wygłupy. Czy ty nic nie rozumiesz? Ten człowiek jest chory i może się okazać bardzo niebezpieczny.

- Mówię ci, że dopiero niedawno jego słowa stały się aż tak plugawe. Przedtem nie obrzucał mnie wyzwiskami, nie krzyczał i nie groził. - Andie spojrzała odruchowo na aparat telefoniczny.

- Niedawno zacząłem u ciebie pracować - przypomniał Jim.

- Tak - potwierdziła Andie.

- I zaraz potem byliśmy z sobą.

- Tak.

- Dlaczego nawet nie wspomniałaś o tych wstrętnych telefonach?

- Już mówiłam, na początku nie kojarzyłam ich z tym, co dzieje się na budowie.

Przez cały czas Andie marzyła, żeby opowiedzieć o wszystkim Jimowi, wyjawić obawy, podzielić się kłopotami i pozwolić, żeby pomógł się z nimi uporać. Ale nie zrobiła tego. Po prostu nie mogła. Lękała się, że straci wówczas kontrolę nad własnym życiem i przeistoczy się w słabą, bezwonną i żalną istotę, jaką była dziewięć lat temu, kiedy to nawet nie potrafiła samodzielnie wybrać materiału na kuchenne zasłanki.

- Nie powiedziałam ci, bo to był, to znaczy jest, wyłącznie mój problem i już podjęłam odpowiednie kroki, aby go rozwiązać.

- A więc to twój problem - miękkiem głosem powtórzył Jim. - Rozumiem. - Gdyby Andie знаła go choć trochę lepiej, wiedziałaby, że tak łagodnie mówi tylko wtedy, kiedy jest

wściekły i ledwie nad sobą panuje. - Co zamierzasz robić dalej?

- W poniedziałek zainstaluję telefoniczny identyfikator rozmów oraz jakiś alarm.

- I jesteś przekonana, że to załatwi sprawę.

- W centrali telefonicznej uważają to za najlepsze rozwiązanie. Uzyskam numer telefonu, z którego on dzwoni, a wtedy będę w stanie powiedzieć policji coś bardziej konkretnego.

Jim nie wytrzymał. Walnął pięścią w kuchenny blat. Andie podskoczyła.

- Andro, czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach?! - wybuchnął. - Masz pojęcie, jak bardzo poważna stała się sytuacja? Facet nie gnębi cię tylko dlatego, że pozbawiłaś go roboty. Już nie. Teraz cała sprawa ma dla niego posmak czysto osobisty. Przedtem nigdy nie dawałaś mu powodów do zazdrości, a teraz to robisz. On uważa, że go zdradzasz. Ma obsesję na twoim punkcie. Czy nie rozumiesz, co to oznacza?

- Jim złapał Andie za ramiona i zaczął nią potrząsać. - Masz pojęcie, co może ci zrobić? Mój Boże, dziewczyno, czy rzeczywiście sądzisz, że głupi identyfikator rozmów i parę zamków ochronią cię przed psychopata, gdy zdecyduje się zaatakować? Brak ci piątej klepki!

- Nie jestem głupia - zaprotestowała Andie, usiłując zachować resztki godności.

- Nie powiedziałem, że jesteś. Ja...

- I masz przed sobą nie dziecko, lecz dorosłą kobietę, która potrafi przeanalizować i ocenić sytuację, a potem podjąć sensowne środki ostrożności.

- Sensowne? Uważasz, że działasz rozsądnie?

- Oczywiście! Bo co jeszcze mogłabym zrobić? - zapytała ze złością. - Kupić sobie rewolwer?

- Rewolwer! - Jim natychmiast uprzytomnił sobie ponurą statystykę ofiar zbrodni popełnionych z ich własnej broni.

- Jeszcze tego ci trzeba! Cholernej broni w domu!

- Co, twoim zdaniem, powinnam robić?! - krzyknęła Andie. - Co?

- Zadzwoń natychmiast na policje, spakować torbę z niezbędnymi rzeczami, jechać do ojca i zostać u niego, dopóki nie znajdzie się przestępca.

- Nic z tego. Nigdzie nie będę uciekała - oświadczyła ze złością. - Czy tak postąpiłby mężczyzna? Kryłby się po kątach? Czy sam też byś uciekał?

- Do diabła, nie jesteś mężczyzną, lecz kobietą. Drobną i szczupłą. Bez trudu potrafiłbym zrobić ci krzywdę, a co dopiero rozwścieczony psychopata!

Jim nadal trzymał Andie za rękę. Wyrwała się gwałtownie.

- Puść mnie!

Nie usłuchał. Wziął ją w objęcia.

- Andree, przestań. Uspokój się.

- Puść mnie, proszę - powtórzyła, tym razem bardziej opanowanym głosem. - Nie jestem histeryczką. Będę się zachowywała spokojnie.

Odsunął się niechętnie. Przytrzymał tylko jej rękę.

- Słonko, chcę ci pomóc. - Podniósł do ust i pocałował jej obie dłonie. - Dlaczego mi nie pozwalasz?

Znów zeszywniała. Uznała, że nie wolno jej okazać ani odrobiny słabości, chociaż miała na to coraz większą ochotę.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - oświadczyła, nie patrząc na Jima. - Nie potrzebuję i nie chcę - dodała z naciskiem.

Jim nie dowierzał własnym uszom. Pragnął za każdą cenę chronić tę kobietę, a ona odrzucała jego pomoc. Puściły nerwy, zbyt długo trzymane na wodzy.

- Potrzebujesz, dziecko, mojej pomocy! - wykrzyknął. - I otrzymasz ją. Bez względu na to, czy sobie tego życzysz, czy nie. Musisz się z tym pogodzić.

- Wcale nie muszę! A w ogóle to nawet nie muszę mieć z tobą do czynienia. Wyrzucam cię z pracy. Jesteś zwolniony.

- Nie masz prawa wymówić mi bez powodu. Złożę skargę w związku.

- Zostałeś przyjęty na okres próbny, czyżbyś o tym zapomniał? Mogę więc wylać cię z pracy, kiedy tylko przyjdzie mi ochota. Bez żadnych wyjaśnień. A poza tym, całkiem prywatnie, uważam, że zachowujesz się jak typowy samiec: pan i władca. - Andie zamikła na chwilę. - Jesteś prawdziwym wybrykiem natury. - Palcem wskazała drzwi. - Mam cię dość. Wynoś się z mego domu.

Jim skrzyżował ręce na piersiach i oparł się o kuchenny blat. Milczał.

- Ja nie żartuję. Chcę, żebyś sobie poszedł. I to natychmiast.

- Jeśli chcesz się mnie pozbyć, to wezwij policję.

- Tego nie zrobię.

- Jasne. Wszystko, tylko nie policja, mam rację? Andie gotowała się ze złości. Była bezradna. Nie dałaby

radę wyrzucić Jima za drzwi. Prawdę powiedziawszy, nie potrafiłaby zmusić go do niczego. Rozwścieczyło to ją jeszcze bardziej.

- Zachowujesz się jak tchórz znęcający się nad słabszymi. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Jedni, nieco bardziej kulturalni, starannie to ukrywają. Inni, prymitywni, używają gróźb lub siły. Zawsze postawisz na swoim, prawda? Ale nie tym razem. Dzisiaj będzie tak, jak ja sobie życzę. - Andie odsunęła się od Jima i sięgnęła po słuchawkę. - Wbrew temu, co mówiłeś, zadzwonię na policję. Niech cię stąd wyrzucą. Ciekawe, jak się poczujesz, kiedy cię zakują w kajdanki.

- To nie jest dobry pomysł. - Jim odebrał Andie słuchawkę i odłożył na widełki. - Twój ojciec nie byłby zadowolony.

- Mój ojciec? A co on ma z tym wspólnego? Jim popatrzył wymownie na Andie.

I nagle do niej dotarło. Jak łamigłówkę poskładała wszystkie drobne fakty, na które przedtem nie zwróciła uwagi. Strzępki rozmów. Używane przez niego fachowe, typowo policyjne zwroty.

Od samego początku nazywał ją Andream, a nie, jak wszyscy oprócz rodziny, Andie. Ta młoda policjantka, która relacjonowała przebieg oględzin, miała dziwną minę. Dlatego, że nie bardzo wiedziała, komu złożyć meldunek? A czy Coffey nie zachowywał się z podejrzanie dużą rewerencją w stosunku do Jima? Czy nie zbyt uważnie słuchał jego opinii?

A własny ojciec?

O wydarzeniach w Pałacu Belmonta w ogóle nie chciał z nią rozmawiać. Nic dziwnego. Wieczorem, na mostku, nie wypytywał Jima o jego zamiary wobec córki, lecz po prostu słuchał raportu.

Poczuła się oszukana i zdradzona.

Zastanawiała się, czy Natalie wiedziała o spisku, kiedy zjawiała się na budowie i radziła siostrze wziąć sobie kochanka.

- Jesteś policjantem - stwierdziła bezbarwnym głosem. Skinął głową.

- Melduje się Jim Nicolosi, detektyw z Minneapolis, obecnie na przedłużonym urlopie zdrowotnym.

- Mój ojciec wynajął cię dla mnie na niańkę?

- Na ochroniarza - sprostował Jim. - I wcale nie wynajął, lecz poprosił o koleżeńską przysługę.

Andie nie interesowały niuanse. Fakt pozostawał faktem. Los wziął się na nią. Widocznie przez całe życie musi mieć

do czynienia z tym czy innym mężczyzną, który manipuluje nią jak marionetką, pociągając za sznurki.

- Okłamałeś mnie.

- Nie. Ani razu. Mówiłem tylko prawdę, choć niecałą.

- Podstępem zdobyłeś u mnie pracę. Czy to nie było oszustwo?

- Ależ skąd! - obruszył się Jim. - Jestem stolarzem. I to bardzo dobrym. Żeby zarobić na studia, przez wszystkie szkolne wakacje pracowałem na budowach mojego stryja.

- A twój sfingowany wypadek?

- Wcale nie był sfingowany. Widziałaś przecież blizny. - Dotknął biodra. - Zleciałem z piętra przez barierkę schodów przeciwpożarowych w pogoni za łajdakiem, który zmasakrował swoją dziewczynę. Nadal nie jestem zupełnie zdrowy. - Jim zawahał się, lecz zaraz wyznał coś, czego przedtem nie powiedział nikomu: - Może nigdy do końca nie wydobrzeję. Ani fizycznie, ani... psychicznie. Dlatego nadal korzystam z urlopu zdrowotnego.

Na twarzy Andie odmalowało się zmieszanie.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie zamierzałam lekceważyć tego, co się stało.

- W porządku. Nie wiedziałaś.

- Tak. Nie wiedziałam - powtórzyła ze smutkiem.

- A więc teraz już wiesz - mruknął. - Masz jeszcze jakieś pytania? Chciałabyś się czegoś dowiedzieć?

- Nie - odparła miękko głosem. - Nie mam żadnych pytań.

Jim wyciągnął rękę ku Andie.

- No to chodź do mnie. Cofnęła się szybko.

- Kocham cię, Andreo - powiedział. - I to jest prawda. Chcę, żebyś mi uwierzyła.

Popatrzyła na Jima oczyma pełnymi łez.

- Kochasz nie mnie, lecz bezmyślną, słodką istotę, którą można manipulować. - Andie zacisnęła pięści. - Ja nią nie jestem.

- Nigdy nie miałem cię za słabą istotę. Zakochałem się nie w lalce, lecz w tobie. Takiej, jaka jesteś.

- Jak możesz mnie kochać? Przecież nie wiesz, kim jestem.

- Nieprawda. Od samego początku wiedziałem to dokładnie.

- Tak ci się tylko wydaje - zaproponowała cichym głosem.

- Do licha, Andreo. - Była podejrzenie spokojna. Z dwojga złego wolałby, żeby na niego wrzasnęła. - Gadasz bez sensu.

- Być może - przytaknęła, - Jestem zmęczona i zgnębiona. Chciałabym, żebyś już sobie poszedł.

- Nie mogę.

W oczach Andie pojawiły się tak dobrze znane wojownicze błyski.

- Nie możesz?

- Samej cię nie zostawię. Przecież on - Jim spojrzął odruchowo na telefon - może czaić się gdzieś w pobliżu.

- Doceniam twoją troskę. Naprawdę. Gdy tylko wyjdiesz, zaraz starannie zamknę drzwi.

- Zamkniesz, ale oboje zostaniemy w domu. - Jim wziął Andie za rękę. Zobaczył, że cała drży. - Andreo, kocham cię - powtórzył. - Ty też mnie kochasz.

Nie potrafiła wypowiedzieć ani słowa. Skinęła tylko głową.

- Tak, kochasz mnie - ciągnął Jim. - I zostaniesz moją żoną.

- Nie. - W głosie, który nagle odzyskała, przebijała panika. Wyrwała dłonie. - Nie wyjdę za ciebie. Ani za nikogo. Nie zrobię tego nigdy więcej. Chcę, żebyś sobie poszedł.

Rzeczywiście tego pragnęła, bo nie dowierzała sobie. Miała ochotę oprzeć głowę na ramieniu Jima i pozwolić mu do końca życia roztaczać nad sobą opiekę.

- Nic z tego - zaprotestował. - Zostaję.

- Jeśli nie wyjdiesz, ja to zrobię - zagroziła.

- Pójdę z tobą. Zawiozę cię do ojca i tam zostawię. W przeciwnym razie nie odstąpię ani na krok.

- A moje zdanie wcale się nie liczy?

- Nie. Nie w tej sytuacji.

- Rozumiem. To znaczy, że jestem w areszcie domowym?

- Jeśli chcesz odwiedzić kogoś z rodziny lub przyjaciół, zrób to, proszę. Zawiozę cię na miejsce.

Andie skinęła głową.

- Pojadę do Natalie, ale sama, własnym samochodem, i u niej spędzę noc. Nie zatrzymam się nigdzie po drodze ani nie będę rozmawiała z obcymi ludźmi. Jeśli chcesz, możesz jechać za mną na motorze. Wolałabym jednak, żebyś tego nie robił.

- Andrea! Co za niespodzianka! - Natalie otworzyła szeroko drzwi. - Wchodź. Pomożesz mi wybrać deser na kolację. Lucas i Ben mają dziś kawalerski wieczór i jedzą u McDonalda, a ja... - Dopiero teraz za plecami siostry ujrzała barczystego mężczyznę w skórzanej kurtce i kasku, siedzącego na potężnym harleyu. - Kto to jest? - Oczywiście Natalie rozszerzyły się ze zdumienia, gdy mężczyzna podniósł dolną część kasku. Od razu go rozpoznała. - A więc posłuchałaś mojej rady? - zapytała siostrę.

- I do końca życia będę tego żałowała - odparła Andie, zatraskując za sobą drzwi.

- Andree, to niegrzecznie! Czy on nie wejdzie do środka?

- Nie.

- Ale... - Natalie wyjrzała ukradkiem przez okno w salonie. - Będzie tam tkwił?

- Niech sobie tkwi. Nawet do sądowego dnia - mruknęła Andie. - Nic mnie to nie obchodzi.

- Chyba odjeżdża. - Natalie odeszła od okna i odwróciła się w stronę siostry.

- Mów, co się dzieje.

- Czyżbyś nie wiedziała?

- O czym?

- Och, dzięki Bogu. Myślałam... Obawiałam się. - Andie opadła ciężko na pluszową kanapę i wybuchnęła płaczem.

- Andreo, kochanie. - Natalie usiadła obok siostry. - Co się stało?

Andie opowiedziała jej wszystko. O tym, jak manipuluje nią człowiek, który oświadczył, że ją kocha. O tym, jak ignoruje jej życzenia. O tym, jak oszukali i zdradzili ją wszyscy, którym ufała.

- Ach, ci mężczyźni! - zawołała Natalie, gdy Andie skończyła swą relację. - Czasami mam ochotę ich powystrzelać. No, może nie wszystkich. Zostawiłabym tych, którzy zabijają dla nas pająki - dodała żartem, chcąc rozluźnić panujące napięcie.

- Sama mogę je sobie pozabijać - mruknęła Andie. - Ty też.

- Tak, ale mamy sporą frajdę, gdy pozwolimy mężczyznom robić to dla nas. Czują się wtedy ogromnie męscy.

Andie roześmiała się mimo woli.

- Lepiej ci? - spytała Natalie.

- Tak.

- Pogadajmy o tym, co naprawdę cię trapi.

- Już mówiłam.

- Nie sądzę. Zakochałaś się w tym facecie?

Andie miała ochotę zaprzeczyć, byłoby jej łatwiej, ale nie potrafiła.

- Tak.

- Przecież to nic złego. Nie masz się czego obawiać. Powinnaś skakać do góry z radości.

- Nie mogę. Z tobą było zupełnie co innego. Jesteś silna i pewna siebie. Nie dałaś się zdominować Lucasowi. Zawsze podziwiałam cię za to.

- Złotko, kiedy wychodziłam za Lucasa, miałam dwadzieścia osiem lat. Byłam w pełni dojrzała i wiedziałam, czego chcę. Ty zostałam żoną Kevina, starszego od ciebie o sześć lat, gdy miałaś ich zaledwie osiemnaście. Był najbardziej aroganckim i egoistycznym samcem, jakiego kiedykolwiek widziały moje oczy. To prawdziwy cud, że potrafiłaś mu się przeciwstawić.

- Wcale mi się to nie udało. Robiłam dokładnie wszystko, czego tylko zechciał. Przecież o tym wiesz. Deptał po ronie. Traktował jak podnózek.

- No tak... - Natalie wzruszyła ramionami, lecz nie zaprzeczyła - ale już niczym podnóżkiem nie jesteś.

- Wcale się nie zmieniłam - wyznała Andie. - Gdzieś tam głęboko, w środku, nadal jestem słaba i bezwolna. Chciałabym, żeby Jim decydował za mnie.

- Co w tym złego? Wszystkie czasami tego pragniemy.

- Jeśli pozwolę mu na jedno, od razu zechce więcej. Wejdzie mi na głowę.

- Czyżby już próbował?

- Przecież przyjechał tu za mną. Oświadczył, że będzie mnie ochraniał bez względu na to, czy mi się to podoba, czy nie.

- Przecież to gliniarz, Andreo. W dodatku zakochany w tobie. Ma nadopiekuńczość w genach. To, co robi, uważa za coś absolutnie naturalnego. Powiedz, czy zabronił ci tu przyjechać?

- No... nie.

- Zakazał czegoś, na co miałaś ochotę? Próbował robić z ciebie idiotkę?

- Stwierdził, że brak mi piątej klepki. - A co ty na to?

- Nawymyślałam mu od kretyńskich samców, wybryków natury.

Natalie roześmiała się głośno.

- A więc wyrównałaś rachunki. Andie wzruszyła ramionami. Milczała.

- Według mnie Jim Nicolosi jest przeciętnym samcem, czasami tępym i męczącym, ale chyba dobrze jest mieć w pobliżu kogoś takiego. - W oczach Natalie rozbłysły figlarne ogniki. - Nie mówiąc o tym, że jest na co popatrzeć. Ma takie fantastyczne ciało...

- Nie ma w nim nic przeciętnego. - Andie natychmiast stanęła w obronie Jima, tak jakby siostra widziała tylko jego złe strony. - Jest niewiarygodnie sympatyczny. Taki... słodki. I seksowny. Przy nim czuję się pożądana. I ładna.

- A więc w czym tkwi problem? - rzeczowo spytała Natalie.

- We mnie - odparła Andie.

ROZDZIAŁ 13

- Nazwała mnie kłamcą! Mnie! Powiedziała, że jestem wybrykiem natury i oskarżyła o to, że próbuję nią manipulować.

W przytulnej kuchni Janet, urządzonej w wiejskim stylu, trzy siostry Jima siedzące przy stole popatrzyły na siebie znacząco, podczas gdy on użalał się na niejaką Andreeę Wagner, kobietę, która doprowadzała go do białej gorączki.

Dawno skończyła się niedzielna, rodzinna kolacja, a oni nadal tkwili w czwórce nad stygnącą kawą. Reszta rodziny, to znaczy szacowni małżonkowie wraz z dzieciarnią, baraszkowała w basenie za domem.

Usłyszawszy ostatnią uwagę brata, Janet zrobiła zdziwioną minę, Jessie wzniosła oczy ku górze, a Julie roześmiała się na cały głos.

Jim podniósł głowę. Znad filiżanki z kawą ponurym wzrokiem zmierzył siostry.

- Co was tak cieszy, do diabła? - warknął rozzłoszczony. Był naprawdę rozgoryczony. Liczył na współczucie, a nie na wybuchy wesołości.

- Jimmy, złotko, jest mi niezmiernie przykro brać stronę twoich, hm... nieprzyjaciół - zaczęła Janet, rzucając rozbawionej Julie karcące spojrzenie. - Ty naprawdę jesteś wybrykiem natury.

Popatrzył spode łba na najstarszą siostrę. Mężnie zniosła jego pełen wściekłości wzrok. Zła mina brata nie zrobiła na niej żadnego wrażenia, podobnie zresztą jak na pozostałych siostrach.

Odstawił filiżankę.

- Żadna kobieta nigdy nie oskarżała mnie o to, że usiłuję kierować jej życiem - oświadczył z głęboką urazą w głosie.

- Pewnie dlatego, że kobiety, z którymi się spotykałeś, nie były na tyle bystre, aby zdać sobie z tego sprawę -

skomentowała Julie. Nigdy nie ceniła wysoko kobiet, z jakimi umawiał się jej brat.

- A co ja robię? Co ja, do licha, robię?

- Jak to co? - zdziwiła się Julie. - Taranujesz je jak czołg - wyjaśniła. - Zrównujesz z ziemią - wykonała ręką odpowiedni gest - kiedy tylko ośmiała się mieć własne zdanie, inne od twojego.

- To lekka przesada. - Jessie, prawniczka, lekko klepnęła w ramię młodszą siostrę. - On zazwyczaj nie musi zrównywać z ziemią swych kobiet, gdyż większość z nich od razu pada plackiem na widok tej ślicznej buźki. - Powiedziawszy to, pogładziła Jima po policzku. - I robią wszystko, zanim on nawet sobie tego zażyczy.

Jim cofnął głowę.

- Teraz ty przesadzasz.

- Wcale nie - włączyła się Janet. - Większość kobiet, z którymi spotykałeś się do tej pory...

- Nie większość, lecz wszystkie - poprawiła ją Julie.

- Większość - powtórzyła Janet własne słowa. - Większość kobiet, którymi kiedykolwiek się interesowałeś, była z natury uległa.

- Były bezwolne, bez charakteru. I dlatego żadna nie miała ci za złe, kiedy się przy nich szarogęsiłeś - wyjaśniła bratu Julie.

- Ze względu na twoją śliczną buźkę - dodała Jessie. Jim puścił mimo uszu ich słowa.

- A co z kobietami, które nie są uległe? - zapytał, bo tylko to go interesowało.

- Po prostu ich nie zauważałeś. A jeśli nawet tak się stało, to szybko miały cię dość i odchodziły w siną dal. Jak na przykład Michele - powiedziała Janet, wspominając dziewczynę, z którą jako dwudziestokilkulatek Jim był niemal zaręczony.

- Michele i mnie zależało na zupełnie innych rzeczach - wyjaśnił.

- A ty nawet nie kiwnąłeś palcem, żeby znaleźć jakieś rozwiązanie, które byłoby do przyjęcia dla obu stron.

- Równie dobrze mogła to zrobić Michele - mruknął Jim.
- Ale co to wszystko ma wspólnego z tym, co teraz się dzieje? Zupełnie tego nie rozumiem.

- Z tym, co teraz się dzieje, to wszystko ma tyle wspólnego, chłopcze - zaczęła Julie - że Michele była niezależną, samodzielnie myślącą kobietą, mającą własne przekonania i poglądy. Z tego, co nam opowiadałeś, wynika, że dama, którą się teraz interesujesz, jest taka sama. Kobieta niezależna bardzo niechętnym okiem patrzy na mężczyznę pouczającego ją, jak ma kierować własnym życiem. Odnosi się to zwłaszcza do kobiet, które w przeszłości miały dominujących mężów.

- Ale ja wcale jej nie mówię, jak ma kierować własnym życiem - ostro zaprotestował Jim. - Ja tylko usiłuję ją ochraniać.

- Być może ona sobie tego nie życzy. Czy taka możliwość nie przyszła ci w ogóle do głowy?

- Och, ona teraz sama nie wie, czego właściwie chce. Znalazła się w trudnej sytuacji, ma poważne kłopoty i jest zgnębiona. Nie potrafi sensownie myśleć. Gdyby potrafiła, od razu przyznałaby mi rację.

Trzy kobiety milcząco wymieniły spojrzenia, a potem popatrzyły z politowaniem na Jima i pokiwały smętnie głowami.

- Mam nadzieję, że jej tego nie powiedziałeś - odezwała się Janet.

- Och, świetnie wiesz, że tak właśnie zrobił - nie miała złudzeń Jessie. - W przeciwnym razie nie siedziałby tutaj z

nami, lamentując nad swym ostatnim nieszczęśliwym romansem.

- Uważacie, że powinnam mu łopatologicznie wszystko wyjaśnić? - spytała Julie. - A może któraś z was zechciałaby dostąpić tego zaszczytu?

Pozostałe siostry zrezygnowały z wątpliwej, ich zdaniem, przyjemności. Zdały się na Julie.

- Słuchaj, Jim - zaczęła - Jesteś z pewnością przekonany, że postępujesz właściwie. Wiemy to z doświadczenia, bo tak jest z tobą zawsze. Jeśli jednak nie chcesz utracić tej kobiety, tak jak Michele, to powinieneś tym razem ustąpić i dać jej wolną rękę.

- Wcale nie utraciłem Michele - obruszył się Jim. - Wspólnie doszliśmy do przekonania, że powinniśmy przestać się spotykać.

- A czy nie zauważyłeś, że jesteś znów w niemal identycznej sytuacji? Tym razem Andrea Wagner podjęła jednostronnie taką właśnie decyzję. Nie ma ochoty więcej cię oglądać.

- Zmieni zdanie, gdy tylko skończą się jej kłopoty i będzie miała szansę uspokoić się i wszystko przemyśleć. - Już ja tego dopilnuję, w myśli poprzysiągł sobie Jim.

- Nie zmieni zdania, jeśli nadal będziesz wywierał na nią presję - oświadczyła Jessie. Była zgnębiona uporem i tępotą ukochanego brata. Nie pojmował niczego. - Z tego, co nam mówiłeś, wynika, że ta kobieta ma potąd - kantem wyprostowanej dłoni Jessie dotknęła głowy nad czołem - dominujących i nadopiekuńczych mężczyzn, przekonanych, że doskonale wiedzą, co dla niej najlepsze. Chociaż niektórzy z nich być może kierują się szlachetnymi pobudkami, ona ich z pewnością odrzuci. Wiem, że to uczyni. - Jessie popatrzyła na pozostałe siostry.

- Wszystkie jesteśmy o tym głęboko przekonane.

Po raz pierwszy rozległ się ostrzegawczy sygnał w głowie Jima. Przypomniał sobie, że Andrea oskarżała go o dominowanie i nadopiekuńczość.

Czyżby więc siostry miały rację?

Czy naprawdę groziła mu utrata Andrei?

- Wiemy, że zakochałeś się na zabój - po krótkiej chwili odezwała się Janet współczującym tonem. - Masz to wypisane na twarzy. Czy nie przyszło ci do głowy, że z tego powodu reagujesz zbyt emocjonalnie? Może cała sprawa nie jest aż tak poważna, jak ci się wydaje.

- Jest. - Jim pokiwał głową. Tego był absolutnie pewny.

- Ona potrzebuje ochrony. Do diabła, przecież jest w niebezpieczeństwie!

- Ale czy to koniecznie ty masz ją ochraniać?

- Co za pytanie! - obruszył się Jim. - Jasne, że ja. To moja kobieta. I ja ponoszę za nią odpowiedzialność.

- Och, braciszku! - Jessie westchnęła, ubolewając nad uporem Jima. - Czy ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z własnej gigantycznej arogancji?

- Jestem arogancki? To bzdura. A zresztą co ma do rzeczy arogancja? Powiedziałem prawdę. Ta kobieta należy do mnie i ja muszę się nią opiekować. Bez względu na to, czy sobie tego życzy, czy nie.

- Ty głupku, ona należy do siebie, a nie do ciebie - nie wytrzymała Julie. Odsunęła krzesło, podniosła się zza stołu, żeby móc z góry popatrzeć na brata. - Jest dorosła, doskonale potrafi podjąć decyzję w każdej sprawie.

- A co się stanie, jeśli to będzie decyzja błędna?

- Nadal będzie to jej własna decyzja. Jim także wstał.

- Dość tego, wy dwoje. - Janet skarciła rodzeństwo, dokładnie tak jak własne dzieci. - Uspokójcie się i siadajcie. Oboje.

Julie i Jim zmierzyli się wzrokiem. Zajęli miejsca za stołem.

- Wiem, że zrobisz to, co uznasz za stosowne, bez względu na nasze ostrzeżenia i rady - powiedziała Janet do brata. - Zastanów się nad jednym. Twierdzisz, że ta kobieta potrzebuje ochrony. W porządku. Może tak jest. Jako fachowiec od tych spraw wiesz to lepiej niż ja, więc nie zamierzam dyskutować z tobą na ten temat. Ale czy osobiście musisz ją ochraniać? - Zobaczywszy minę Jima, Janet podniosła rękę. - Nie patrz tak na mnie. Przecież wcale nie twierdzę, że nie potrafisz. To, że masz urlop zdrowotny, jest absolutnie bez znaczenia. Świetnie wiemy, na co cię stać, i ile jesteś wart. Powiedziałeś jednak, że ta kobieta podjęła już pewne kroki, żeby się chronić. Założyła w domu dobre zamki. Instaluje identyfikator rozmów telefonicznych i system alarmowy. Zawiadomiła policję i wprowadziła elektroniczną ochronę swego miejsca pracy. Wszystko to świadczy niezbicie, że jest rozsądną kobietą...

Rozsądną. Właśnie coś takiego powiedziała mu Andrea. A więc czy ona i jego siostry mają rację? Czy to oznacza, że on sam zachowuje się nierozsądnie?

- ...która przedsięwzięła odpowiednie środki zapobiegawcze, adekwatne do sytuacji - mówiła dalej Janet. - Jim, jeśli naprawdę uważasz, że tej kobiecie potrzebna jest ochrona, to dlaczego nie zaproponujesz, żeby wynajęła sobie kogoś wedle własnego gustu? Podkreślam, zaproponujesz, ale nie nakazesz, bo wtedy niechybnie przegrasz. Kiedy postąpisz tak, jak ci radzę, ona otrzyma ochronę, twoim zdaniem niezbędną, a ty nie będziesz musiał mówić jej, co ma robić.

- A jeśli nikogo nie wynajmie?

- Wówczas, jak już mówiła Julie, będzie to też jej własna decyzja, z której skutkami musi się pogodzić.

- Ale ja się nie pogodzę - oświadczył Jim. - Nie mógłbym.

Przekonany przez siostry, Jim zatelefonował do Natalie. Andrei u niej nie było.

- Wyszła pół godziny temu - poinformowała go. - Mówiła, że jedzie do domu.

- Pozwoliła jej pani wyjść?

- Moja siostra jest dorosła - oświadczyła Natalie. - Nie musi mnie prosić o pozwolenie.

- Powinna pani ją zatrzymać - powiedział niezadowolony i rozczarowany Jim.

- A niby jak? Andie nie chciała słuchać żadnych rozsądnych argumentów. Miałam ją zwięzać?

- Tak byłoby najlepiej - odparł Jim i odwiesił słuchawkę. W pierwszym odruchu chciał jechać do domu Andrei, upewnić się, czy jest zdrowa i cała. A potem zbesztać ją za nieposłuszeństwo. Siostry przekonały go jednak, że przedtem powinien zatelefonować.

- Tylko nie oświadczaj, że zaraz przyjedziesz - ostrzegały. - Poproś o zgodę.

Andrea nie odebrała telefonu. Nawet gdy przedstawił się automatycznej sekretarce.

- Do diabła, do diabła, do diabła - powtarzał pod nosem ze złością. - Nie powinienem zostawiać jej samej. Nie powinienem!

- Nie stało się nic złego - uspokajała go Jessie.

- Na pewno - potwierdziła Julie. - Nie chce z tobą rozmawiać, dlatego nie podnosi słuchawki.

- Wobec tego czemu nie wyłączyła telefonu?

- Przecież ma dzieci - przypomniała Janet. - Nie zrobiła tego ze względu na nie. W każdej chwili mogą zadzwonić.

Jim z trudem opanował ogarniającą go panikę. Jeszcze raz wykręcił numer Andrei.

Nadal nie odbierała.

Było prawdopodobne, że nie ma jej w domu. Równie możliwe było jednak to, że nie może podejść do telefonu.

Rzucił słuchawkę na widełki i jak szalony wybiegł na dwór i wskoczył na motor. Musiał natychmiast sprawdzić, co dzieje się z Andream.

Drogę przebył w zawrotnym tempie. Podjechał pod jej dom, rzucił się do drzwi, żeby skontrolować, czy nie ma śladów włamania lub walki. Wszystko wyglądało jednak dokładnie tak, jak wówczas, gdy oboje odjeżdżali do Natalie.

- Andreo, gdzie ty się podziewasz? - wyszeptał. - Gdzie jesteś? Dokąd pojechałaś?

Nasuwała się tylko jedna logiczna odpowiedź.

Do Pałacu Belmonta.

Tak jak powiedziała siostrze, Andie naprawdę zamierzała wrócić do domu. Jednak myśl, że zostanie tam sama, nie była przyjemna. Oczyma duszy widziała, jak będzie nerwowo krążyć po pokojach, nie mogąc skoncentrować się na żadnym zajęciu. Tak właśnie na początku się zachowywała, gdy Emily i Chris pojechali z dziadkiem nad jezioro Moose, a Kyle odleciał do Kalifornii.

Później wolny czas poświęciła na zaległe prace domowe. Poreperowała w domu wszystkie ciekące krany, zdjęła z zawiasów, zheblowała i ponownie zawiesiła od lat zacinające się, opuszczone drzwi. Następnie odmalowała pokoje chłopców, zmieniła tapety u Emily, a w dużym pokoju po obu stronach kominka zainstalowała półki na książki. Wszystko to robiła po to, aby mniej odczuwać nieobecność dzieci.

Teraz tęskniła nie tylko do dzieci, lecz także do Jima Nicolosiego, który podstępem wkradł się w jej życie i szybko zajął w nim ważne miejsce. Wcale tego nie chciała, ale stało się.

Andie zdawała sobie sprawę, że się okłamuje. Po uszy zakochała się w Jimie, chyba niemal od pierwszego wejrzenia.

Gorzej było z zaufaniem. Nie dowierzała sobie, a nie Jimowi. Uprzytomniła jej to rozmowa z Natalie.

Jim Nicolosi jest dobrym i wartościowym człowiekiem, w pełni zasługującym na jej miłość i zaufanie. Andie męczyła jednak inna sprawa. Czy ona sama potrafi dać mu to, czego potrzebował i pragnął? Czy zdoła odciąć się od przeszłości, żeby bez psychicznych urazów i innych obciążeń radzić sobie z teraźniejszym i przyszłym życiem wspólnie z innym człowiekiem?

Musi poznać odpowiedź na te dwa ważne pytania. Najszybciej jak to możliwe.

Teraz jednak nie potrafiłaby beczynnie usiedzieć w domu, kiedy jej myśli krążyły niespokojnie wokół Jima. Postanowiła zająć się jakąś robotą. Niemal bezwiednie skierowała samochód w stronę Pałacu Belmonta.

Dotarła na miejsce wczesnym wieczorem. Słońce skryło się za wierzchołkami drzew rosnących wzdłuż brzegu jeziora. Na wodzie i między malowniczymi, starymi domkami kładły się długie, różowe i złote cienie.

Andie zaparkowała na podjeździe sfatygowaną furgonetkę, wysiadła i niemal odruchowo owinęła się w talii pasem z narzędziami. Ruszyła w stronę budynku.

Ani na frontowym trawniku, ani przed głównym wejściem do pałacu nie było już tablic zakazujących wstępu. Wokół panowała niczym niezmacona cisza.

Z kieszeni dzinsów wyciągnęła pęk kluczy. Dwoma z nich otworzyła zamki. Pchnęła drzwi i stanęła na progu.

- Ładny mamy wieczór. - Tuż za jej plecami rozległ się męski głos.

Podskoczyła przerażona.

- Och, przepraszam, nie chcieliśmy pani przestraszyć.

- Tym razem głos zabrzmiał łagodniej niż poprzednio.

Andie odwróciła się.

Stali przed nią państwo Hastings.

- Dobry wieczór - powitała sąsiadów. - W jaki sposób...

- W tej chwili rozległ się głośny brzęczyk. - Przepraszam na chwilę. Muszę wcisnąć kod, zanim włączy się alarm. - Podeszła do tablicy kontrolnej i wystukała czterocyfrowy numer. Brzęczyk zamilkł. U góry tablicy zgasł rząd sygnalizacyjnych lampek. Oznaczało to, że system alarmowy został wyłączony. - Teraz lepiej - oznajmiła Andie, wycofując się przed dom. - Co u państwa?

- U nas wszystko w porządku - zapewnił ją pan Hastings w imieniu własnym i żony. - Odbywamy codzienny spacer. Dobrze robi na serce.

- A jak ty się czujesz, dziecko? - W głosie pani Hastings zabrzmiał niepokój. - To było okropne wydarzenie. Denerwujące. - Stara dama wyciągnęła rękę i poklepała Andie po ramieniu. - Szkoda, że nie byliśmy w stanie pomóc temu młodemu oficerowi policji.

- Byli państwo przesłuchiwani? - spytała Andie.

- Tak. Ale nic nie widzieliśmy, bo wszystko wydarzyło się w nocy - dodała pani Hastings z wyraźnym żalem.

- Wandal wybił okno z tyłu budynku, więc i tak nie mogliby państwo nic zauważyć i pomóc policji - powiedziała Andie. - Przepraszam, nie chcę być niegrzeczna, ale czas na mnie...

- Moja droga, chcesz iść do pałacu zupełnie sama? - zaniepokoiła się pani Hastings. - Wiemy, że często wracasz tu wieczorami. Czy to rozsądne po tym, co się stało?

- Będę całkowicie bezpieczna - zapewniła Andie. - W środku znowu włączę system alarmowy. Nikt się do mnie nie dostanie, chyba że uruchomi syrenę. A wtedy - Andie uśmiechnęła się - będzie ją słychać w całej okolicy.

Pan Hastings położył rękę na ramieniu żony.

- A więc dobrej nocy.

Po chwili Andie była już w budynku. Mimo że panował tu idealny spokój, czuła się nieswojo. Postanowiła rozmontować staroświecką, mahoniową obudowę wanny, na co wcześniej nie starczyło jej czasu.

Kłęcząca na ziemi, oświetlona z góry bateryjną latarką, i rozkręcała drewniane płyty, gdy z dołu budynku dobiegł ją jakiś hałas. Znieruchomiała. Zacisnęła palce na śrubokręcie. Wyteżyła słuch.

Nie mogły to być niczyje kroki, tego była pewna. Przecież włączyła alarm.

Mimo to słyszała wyraźne stąpanie. Ktoś wspinał się po schodach. Kto znał kod alarmu? Tylko Dot i Jim.

A więc to był on. Na pewno. Z uczuciem ogromnej ulgi Andie szybko podniosła się z kolan i pobiegła mu na spotkanie.

- Jak to dobrze, że przyszedłeś! - zawołała. - Mam ci tyle do powiedzenia.

To nie był Jim.

Andie stanęła na górnym podeście schodów i popatrzyła na idącego pod górę mężczyznę.

- To ty, Pete? - spytała niepewnym głosem. Czyżby on też znał kod? Pewnie tak.

Z uśmiechem na twarzy zaczęła schodzić w dół.

- Co tutaj robisz o tak późnej porze? - Spojrzała na zegarek. - Dochodzi dziewiąta.

Podniosła wzrok wprost na twarz stojącego przed nią mężczyzny. Na widok jego obłąkanych oczu zdrętwiała z przerażenia.

- Ostrzegałem cię - powiedział.

ROZDZIAŁ 14

Andie nie próbowała przemówić mu do rozsądku. Z szaleńcami nie prowadzi się dyskusji. Z całej siły rzuciła w Pete'a latarką, odwróciła się i pobiegła w górę schodów. W pierwszym odruchu chciała go wyminąć i dostać się na dół, do frontowego wyjścia. Była to jedyna szansa ucieczki. Pete jednak był postawnym, potężnie zbudowanym mężczyzną i Andie bała się, że zagrozi jej drogę.

Natychmiast zorientował się w sytuacji i popędził za nią. Na szczęście, miała na nogach tenisówki, a nie ciężkie, robocze buty, co dawało jej odrobinę przewagi. Wbiegła do ciemnej, bocznej sali. Gdy Pete minie prowadzące do niej drzwi, postara się uciec po schodach w dół.

- Nie uciekniesz! Jesteś bez szans! - wołał, przebiegając przez hol.

Andie przylepiła się plecami do ściany. Ścisnęła w rękę śrubokręt. Czekwała w napięciu. Pete zatrzymał się pod drzwiami sali.

- Andrea, wiem, że tam jesteś! - wykrzyknął. - Zaraz cię ukarzę.

Wstrzymała oddech. Musiała czekać. Kiedy Pete wejdzie głębiej, spróbuje się wymknąć. W drzwiach zamajaczył cień jego potężnej sylwetki.

- Nie posłuchałaś mnie - mówił dalej. - Nie posłuchałaś. Niech jeszcze się zbliży, modliła się w duchu.

- A na dodatek zdradziłaś mnie. Zaczęłaś się puszczać. - Pete urwał, uniósł głowę i jak wężące zwierzę nosem wciągnął powietrze. - Muszę cię za to ukarać. I to surowo.

Andie przywarła plecami do ściany. Łudziła się, że po ciemku Pete jej nie zauważy.

Sekundę później gwałtownym ruchem złapał ją za ramię. Krzyknęła i z całej siły wbiła mu w dłoń śrubokręt.

- Dziwka! - ryknął i puścił ją.

Rzuciła się do ucieczki. Jeszcze nigdy w życiu nie biegła tak szybko. Przez hol, do głównych schodów. Nagle poczuła rękę Pete'a zaciskającą się z tyłu na jej koszulce. Krzyknęła. Ledwie utrzymała równowagę. Była już na samym dole, w foyer, kiedy ją zaatakował. Upadli na podłogę.

Andie krzyczała i kopała Pete'a. Usiłowała wsadzić mu palce do oczu. Zwarci, tarzali się po ziemi. Czowała na twarzy jego oddech. Z trudem chwytiała powietrze. Z przerażenia niemal oślepla. Usiłując wyrwać się z rąk napastnika, z sekundy na sekundę traciła siły.

Krzyczał tak głośno jak ona. Lżył ją i groził.

Cudem udało się Andie wyrwać z żelaznego uścisku. Na kolanach odczołgała się najdalej, jak tylko mogła. Pete złapał ją za nogę. Kopnęła go w szyję. Rozluźnił uchwyt.

Nadal był bliżej drzwi, blokując Andie jedyną drogę ucieczki. Podniósł się i rzucił na nią. Złapała latarkę, która po schodach stoczyła się tu na dół, i z całej siły uderzyła nią nie w Pete'a, lecz w dużą szybę okienną w pobliżu drzwi.

Kątem oka zauważyła, że na tablicy kontrolnej mrugają lampki. Oznaczało to, że system alarmowy jest nadal włączony. Jeśli uda się go uruchomić, syrena postawi na nogi całą okolicę.

Udało się. Rozległo się przeraźliwe wycie.

- Dziwka! - ryknął Pete i z jeszcze większą furją runął na Andie. - Dziwka!

Zrobiła unik. Wymknęła mu się z rąk i rzuciła w stronę rusztowania. Po paru sekundach pięła się w górę.

Jim usłyszał syrenę o dwie przecznice od pałacu. Przyspieszył i jak szalony na czerwonym świetle przejechał skrzyżowanie. Wpadł na podjazd, zatrzymał harleya obok furgonetki Andie i rzucił się w stronę wejścia. Kątem oka zobaczył zbliżających się ludzi.

- Tu policja Minneapolis! - krzyczał w biegu. - Niech ktoś zadzwoni pod 911 i powie, że to napad i oficer potrzebuje wsparcia. Szybko!

Drzwi wejściowe były zamknięte. Jednym silnym kopnięciem wyważył je i wpadł do środka.

Ogromne foyer było pogrążone w ciemnościach. W pierwszej chwili Jim niczego nie dostrzegł.

- Andreo! - krzyknął.

- Jestem tutaj!

Syrena wyła tak głośno, że ledwie usłyszał jej głos. Dochodził gdzieś z góry.

- Gdzie? - zawołał.

- Wysoko. Na rusztowaniu. Dzięki Bogu, że to ty. Jim, ja...

Usłyszał jej krzyk. Mrozący krew w żyłach krzyk kobiety w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Podniósł głowę i dopiero teraz ją zobaczył.

Zwisała na rękach z rusztowania na wysokości pierwszego piętra, starając się wyswobodzić nogi z rąk mężczyzny, który usiłował ściągnąć ją w dół.

- Dziwka! Ladacznic! - ryczał.

Jim zapomniał o lęku wysokości. Bez zastanowienia rzucił się na rusztowanie i wspiał w górę. W parę chwil znalazł się obok Petera Lindstroma. Ściągnął go na poprzeczną deskę. Ochroniła ich od upadku z dużej wysokości. Jim poczuł przejmujący ból w plecach i ramieniu, lecz nie puścił Pete'a.

Nagle ucichła syrena, a zamiast niej rozległy się sygnały radiowozów.

Pete zaczął wrywać się Jimowi. W pewnej chwili stracił równowagę i spadł z rusztowania. Niemal pod nogi policjantów, którzy wpadli do środka.

- Och, mój Boże! - zawołała Andie. Na czworakach zaczęła zsuwać się z najwyższej kondygnacji rusztowania.

Dotarła do Jima, złapała go za pasek i koszulę i pomogła mu dostać się na wąską kładkę. - Co z tobą? O Boże! Co z biodrem? To wszystko moja wina. - Nie zważając na policjantów stojących pod rusztowaniem, płakała i całowała Jima - Czy coś ci dolega?

- Nic, słonko. Nic. - Czuł, że coś złego stało się z jego lewym ramieniem, bo potwornie bolało, ale postanowił nie mówić o tym Andie. Drugą ręką objął ją i przyciągnął do siebie. - A co z tobą? - zapytał z niepokojem w głosie. - Bardzo cię pobił ten drań?

- Nie. Już mi dobrze. Odkąd jesteś tu ze mną.

W szpitalu zabrano ich na badanie do osobnych pomieszczeń.

Jim miał wybite ramię. Nastawiono mu je i unieruchomiono. Jakimś cudem jego uszkodzone biodro wyszło z wypadku bez szwanku. Przynajmniej zyskał jedno. Chyba na dobre pozbył się lęku wysokości.

Obrażenia Andie, głównie potłuczenia i pokaleczenia, okazały się, na szczęście, lekkie. Tylko na głowie miała guz wielkości kurzego jajka.

Peter Lindstrom, który spadł z dużej wysokości, był w znacznie gorszym stanie. Wymagał natychmiastowej interwencji chirurgicznej.

- Ma paskudne, otwarte złamanie lewej nogi - poinformował Andie policjant, który siedział za zieloną zasłoną, kiedy ją opatrywano. - Wykryto też krwawienie wewnętrzne, ale je opanowano. Lekarz mówi, że chyba z tego wyjdzie.

- Co z nim się stanie? - chciała wiedzieć Andie, gdy pielęgniarka odciągnęła zasłonę i zezwoliła policjantowi na spisanie zeznania.

- Najpierw posłają go do zakładu zamkniętego, a potem - policjant wzruszył ramionami i otworzył notes - kto wie?

Wszystko będzie zależało od zaawansowania choroby psychicznej. Od jego stanu.

- Nie mam pojęcia, co go napadło - mówiła Andie do policjanta, relacjonując przebieg wydarzeń. - Znałam Pete'a od kilku lat, ale nigdy nie miałam z nim bliższych kontaktów. Nasza znajomość była zupełnie luźna. Dwukrotnie pracowaliśmy na tych samych budowach. A kiedy wygrałam przetarg na remont Pałacu Belmonta i szukałam stolarzy, Pete zgłosił się do pracy. Nigdy ani przez sekundę nie okazał, że coś do mnie czuje.

Ciągle zerknęła w stronę drzwi.

- Czy spisał już pan zeznanie Jima? - spytała policjanta.

- Jima? - powtórzył, chyba nie bardzo wiedząc, o kogo jej chodzi.

- Mówię o detektywie Nicolosim. Przywieziono go tu wraz ze mną.

- Coffey zabrał go do sąsiedniego pokoju - wyjaśnił policjant. - Chwileczkę, proszę pani - powiedział, widząc, że Andie zsuwa się ze stołu, na którym ją opatrywano. - Wolno pani chodzić? Czy nie powinna pani poruszać się na wózku?

Andie zignorowała pytania policjanta i ruszyła do wyjścia. Tuż za drzwiami natknęła się na Jima.

- Czemu tu stoisz? - spytała. - Dlaczego nie wszedłeś do środka?

- Chciałem dać ci wolną rękę.

- Wolną rękę? O czym ty mówisz?

Jim wzruszył ramionami, lecz natychmiast skrzywił się z bólu.

- Sądziłem, że potrzeba ci trochę swobody. Po tym, co cię spotkało.

- Powiem ci, kiedy będę miała na nią ochotę. - Andie ujęła Jima za zdrowe ramię i wciągnęła do pokoju.

Zwróciła się do policjanta, który dopiero co ją przesłuchiwał:

- Czy jestem jeszcze panu potrzebna?

- Nie, proszę pani. Na razie mam wszystko, czego mi trzeba.

- Wobec tego czy może pan zostawić nas samych? Zauważywszy wahanie na twarzy policjanta, Jim powiedział z uśmiechem:

- W porządku, Madison. Ona nie jest uzbrojona. Andie od razu przeszła do rzeczy.

- Czemu mnie unikasz?

- Wcale tego nie robię. Usiłuję zachowywać się delikatnie.

Andie przymrużyła oczy.

- Myślałam, że mnie kochasz - oświadczyła rozzalonym głosem.

- Jasne, że cię kocham.

- Byłeś mi potrzebny. I to bardzo. A poszedłeś z Coffeyem do sąsiedniego pokoju.

- Chwileczkę. - Jim podniósł zdrową rękę. - Czegoś tu nie rozumiem. Czy to nie ty zarzucałaś mi, że chcę cię kontrolować i rządzić twoim życiem? Czy to nie ty oświadczyłaś, że nie potrzebujesz ani mnie, ani żadnego innego mężczyzny?

- Czyżbym twierdziła coś takiego? Jim zmarszczył brwi.

- Andreo...

- Już dobrze. Mówiłam. I wtedy tak sądziłam, ale...

- Ale co?

- Miałam sporo czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć. I... myliłam się. Jesteś mi potrzebny. Nie ufałam tylko sobie.

- Sobie?

- Bałam się, że jeśli oprę się w życiu na tobie, stanę się bezwolną istotą, jaką kiedyś byłam.

- Ty? Bezwolną istotą? Słonko, to niemożliwe! Jesteś mądra i dzielna jak lwica. Niewiele kobiet zdobyłoby się na to, co dzisiaj zrobiłaś. Należy ci się medal za odwagę. Kocham tę twoją waleczność.

Andie miała oczy pełne łez.

- No i te śliczne piersiątko - dodał uczciwie. Wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

- Dziś dowiedziałam się o sobie czegoś bardzo ważnego - szepnęła mu do ucha. - Że jestem tak silna, iż ze wszystkim sobie poradzę. - Podniosła wzrok. - I że cię kocham. Gdy na rusztowaniu walczyłam z Pete'em, myślałam tylko o tym, że nie mogę umrzeć, dopóki nie wyznam ci mego uczucia.

- Andreo, kochanie. - Jim przytulił ją mocno do siebie i pocałował czule.

Do pokoju weszła pielęgniarzka.

- Och, przepraszam - powiedziała spłoszona na widok obejmującej się pary i szybko wycofała się za drzwi.

Andie wtuliła się mocniej w ramiona Jima.

- Co, kochanie?

- Ożenisz się ze mną?

- Co takiego?!

Andie podniosła głowę i spojrzała Jimowi w oczy.

- Ożenisz się ze mną? - powtórzyła. Roześmiał się z całego serca.

- Możesz powiedzieć, co cię tak rozbawiło? - spytała z lekką urazą w głosie, gdy się uspokoił.

- Poczuję się zupełnie jak Doris Day - wyznał i znów parsknął niepohamowanym śmiechem.

EPILOG

Dwa lata później

- Chodźcie, pospieszmy się - ponaglała Emily, przestępując z nogi na nogę na chodniku przed Pałacem Belmonta. - Spóźnimy się na przyjęcie. Już wszyscy są w środku.

- Idź przodem - polecił Jim. Wyciągnął ręce do Andie, żeby pomóc jej wysiąść z samochodu. - Pójdziemy za tobą, ale to jeszcze chwilę potrwa.

- Mam iść pierwsza? - z wahaniem spytała Emily.

- Tak - odezwała się Andie. Gruba i ocieżała, z trudem wydostała się z samochodu. Była w ostatnim miesiącu ciąży i wyglądała tak, jakby zaraz miała rodzić. - Zajmij mi dobre miejsce. A wy - zwróciła się do synów - biegnijcie razem z nią. - Weźcie z sobą prezent dla dziadka.

Stała w otwartych drzwiach wozu, wsparta na ramieniu męża i patrzyła na trójkę dzieci wbiegających do pałacu. Kyle i Chris nieśli prezent urodzinowy dla dziadka, własnoręcznie wykonaną wędkę. Obok nich podrygiwała Emily. W nowej sukience wyglądała uroczo.

Były to dobre dzieciaki. Andie była z nich dumna.

Kyle i Chris skończyli już dwadzieścia i siedemnaście lat. Mieli ogromne powodzenie u dziewcząt, które wydzwaniały do nich o różnych porach dnia i nocy. Emily właśnie skończyła czternaście lat i na razie, na szczęście, nie sprawiała matce większych kłopotów, typowych dla dziewcząt w okresie dorastania. Andie miała zostać matką po raz czwarty.

Będąc w ciąży w tym wieku, powinna czuć się idiotycznie. Ale oprócz bólu krzyża i spuchniętych kolan nie dokuczało jej nic więcej. Jeszcze nigdy nie była bardziej szczęśliwa niż teraz. Zawdzięczała to stojącemu obok mężczyźnie.

Pobrali się prawie dwa lata temu. Był to pierwszy ślub w odrestaurowanym z pietyzmem Pałacu Belmonta. Remont zabytkowego budynku przyniósł Andie i jej w większości damskiej brygadzie zasłużone pochwały. Teraz już nie musiała zabiegać o klientów. Sami się do niej zgłaszali.

Incydent z Peterem Lindstromem też na krótko zwiększył popularność Andie. Opisała go cała lokalna prasa. Pete'a uznano za niepoczytalnego i wysłano na leczenie. Podobno parę miesięcy temu został wypisany ze szpitala i od tamtej pory prowadzi spokojne, rodzinne życie w stanie Wisconsin. Jim ma tam kolegę w policji, który na wszelki wypadek dyskretnie śledzi poczynania Pete'a. Zwłaszcza te, które mogłyby ponownie przywieść go do Minneapolis.

- Wszystko w porządku? - zapytał Jim, kładąc dłoń na pękającym brzuchu żony.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Tak. Wspaniale. - Podsunęła mu twarz do pocałunku. Całowali się, dopóki nie poczuli kopnięć dziecka.

- Obudziliśmy ją - stwierdził Jim.

- Podobnie jak jej mama, już teraz jest łasa na twoje pieśszczoty. - Andie niechętnie odsunęła się od męża. - Chodźmy, bo tata zacznie się niepokoić i przyjdzie sprawdzić, co nas tu zatrzymuje.

Na dwa tygodnie przed terminem uroczyste obchodzili ukończenie przez Nathana Bishopa siedemdziesięciu lat, gdyż rozwiązanie miało nastąpić dokładnie w rocznicę urodzin seniora rodu, a nikt nie chciał, żeby Andie rodziła na przyjęciu. Jej ojciec był przekonany, że następne wnuczę przyjdzie na świat punktualnie jak w zegarku.

Kiedy Andie i Jim stanęli w drzwiach pałacu, przywitały ich radosne okrzyki całej rodziny.

Nagle z ust Andie wydarł się cichy jęk:

- Och!

- Andrea, co się dzieje? - zapytał zaniepokojony Jim.
- Właśnie odchodzą mi wody.
- Słonko, przecież miałaś rodzić dopiero za czternaście dni.
- Niespodzianka - z bladym uśmiechem na twarzy oświadczyła Andie. - Nawet ty, kochanie, nie masz wpływu na ten fakt.